

TERRY PRATCHETT



KAPELUSZ PEŁEN NIEBA

OPOWIEŚĆ ZE ŚWIATA DYSKU

Przełożyła Dorota Malinowska - Grupińska

Tytuł oryginału

A HAT FULL OF SKY

A STORY OF DISCWORLD



WSTĘP

**Wyjątek z pozycji „Stwory z baśni i jak ich unikać” autorstwa panny Roztropnej Tyk
Fik Mik Figle**

(zwane też praludkami, Wolnymi Ciutludźmi, a także Osobnikiem lub Osobnikami
Nieznanymi, podejrzanymi o posiadanie broni)

Spośród baśniowych postaci Fik Mik Figle są osobnikami najgroźniejszymi, szczególnie w stanie nietrzeźwym. Uwielbiają pijatyki, bijatyki i kradzieże - można śmiało powiedzieć, że ukradną wszystko, co nie jest przybite na amen. A jeśli jest przybite tylko młotkiem, to i tak, jak amen w pacierzu, ukradną to na pewno.

Jednakowoż ci, którym udało się ich poznać i przeżyć, twierdzą, że są one również zadziwiająco lojalne, silne, wierne, dzielne i zachowują swoisty pion moralny (na przykład nigdy nie okradną kogoś, kto nic nie ma).

Przeciętny Figiel rodzaju męskiego (kobiety Figle występują dość rzadko - patrz dalej) ma jakieś sześć cali wzrostu, rude włosy, skórę gęsto pokrytą niebieskimi tatuażami wykonanymi urzędem barwierskim, a skoro znalazłeś się tak blisko, by to zobaczyć, najprawdopodobniej za chwilę oberwiesz.

Ich hierarchiczność określają tatuaże. Figle noszą spódniczki wykonane z bardzo dziwnych materiałów. Niektóre mają hełmy z czaszek królików lub zdobią swoje brody piórkami i innymi przedmiotami, w których znajdują upodobanie. Z całą pewnością są uzbrojone w miecze, choć te służą głównie na pokaz, ponieważ Figle wolą używać jako narzędzi walki buta lub głowy.

Historia Figli ginie w pomroce czasu. Twierdzą, że Królowa przepędziła ich z Krainy Baśni, ponieważ sprzeciwiali się jej złośliwej tyranii. Słyszcy się także wersję, iż zostali zwyczajnie wyrzuceni za pijaństwo.

Na temat ich religii wiadomo niewiele poza jednym: uważają, że nie żyją. Podoba im się nasz świat, słońce, góry, błękitne niebo i fakt, że ciągle trafia się pretekst do bójki. Uważają też, że tak cudowne miejsce nie powinno być otwarte dla wszystkich. Raczej należy je traktować jako rodzaj raju czy Walhali, gdzie po śmierci trafiają najdzielniejsi z wojowników. Stąd wywodzą wniosek, że żyli gdzieś indziej, a potem umarli i dostąpili zaszczytu trafienia tutaj. Oczywiście dzięki wspaniałym dokonaniom.

To rozumowanie jest całkowicie nieuprawnionym wymysłem, ponieważ jak wszyscy wiemy, wszystko jest na odwrotną.

Kiedy jakiś Figiel umiera, żałoba nie zabiera im zbyt wiele czasu, a smutno jest im tylko dlatego, że brat nie spędził z nimi więcej czasu przed powrotem do krainy żywych, którą nazywają również Ostatnim Światem.

Zwyczaje i siedliska

Klany Figli mieszkają w kopcach pogrzebowych starożytnych rycerzy, w przytulnych jaskiniach pełnych złota. Szczyty takich kopców najczęściej porastają krzaki lub stare drzewa - to szczególnie odpowiada upodobaniom Figli, które używają pustych pni jako kominów nad paleniskami. Wejście do kopca będzie oczywiście wyglądać jak królicza nora. Wokół znajdują się królicze bobki, a jeśli dany klan myśli szczególnie twórczo, to również kawałki króliczego futra.

Na dole świat Figli przypomina nieco ul, tyle że mniej tam jest miodu, a więcej smrodu.

Najprawdopodobniej wynika to z faktu, że rzadko trafiają się osobniki rodzaju żeńskiego. I może właśnie dlatego kobiety Figle rodzą mnóstwo dzieci, bardzo często i bardzo szybko. Kiedy dzieci przychodzą na świat, są wielkości groszku, ale potem dobrze karmione błyskawicznie rosną (dlatego też Figle lubią osiedlać się w pobliżu ludzkich siedzib, skąd kradną mleko od krowy czy owcy).

Szefowa klanu, zwana wodzą, w miarę upływu czasu staje się matką wszystkich w klanie. Jej męża zaś nazywa się Wielkim Człowiekiem. Kiedy rodzi się Figiel dziewczynka - a zdarza się to naprawdę niezwykle rzadko - pozostaje ona ze swoją rodzicielką, by nauczyć się wszelkich cyt cyt tajemnic, sekretów wodzostwa. Gdy jest na tyle duża, by wyjść za mąż,

musi opuścić klan, zabierając ze sobą kilku braci, którzy będą jej strażnikami podczas długiej podróży.

Zazwyczaj podróżuje ona do klanu, w którym nie ma wodzy. Bardzo, ale to bardzo rzadko zdarza się, jeśli takiego nie ma na podorędziu, że tworzy zupełnie nowy klan z Figli różnego pochodzenia, wtedy zamieszkują w nowym kopcu i nadają sobie nowe imię. A ona oczywiście wybiera sobie spośród nich męża. Od tej chwili jej słowo staje się rozkazem dla każdego z klanu, jest władczynią absolutną, lecz już wtedy rzadko oddala się od swego kopca. Jest jednocześnie królową i więźniarką.

Zdarzyło się jednak raz, choć tylko na kilka dni, że wodzą została ludzka dziewczynka...

Słowniczek Figli, przygotowany dla wrażliwców

Barany - wbrew pozorom chodzi o wełniane istoty żywiące się trawą. W stadzie bywają wymieszane osobniki żeńskie i męskie, ale trudno je wtedy rozróżnić

Cierpliwie znosić swój los - akceptować to, co los dla nas zgotował (lub jeśli ktoś woli: upichcił)

Czarownica - czarodziejka lub wiedźma, zależnie od wieku

Czarowanie/czynienie czarów - wszystko to, co robi czarownica

Cyt cyt tajemnice - sekrety

Głupi Jaś - osoba nic niewarta

Na litość! - okrzyk, który może oznaczać praktycznie wszystko, od „Dobry Boże” do „Właśnie wychodzę z nerw, a kłopoty to moja specjalność”

Nicpota - patrz: Głupi Jaś

Niesamowity - dziwaczny. Z jakichś powodów niekiedy oznacza również prostokąt

Odrażający drab - ktoś naprawdę nieprzyjemny

Ojejjejjej - wyraz rozpacz

Pleciugi - bzdury, nonsensy

Powinność - bardzo ważne zadanie, za którym stoi tradycja lub magia. Nie ma nic wspólnego z winem lub winą

Specjalny Płyn dla Owiec - najprawdopodobniej księżycowa whiskey. Piszę to z dużą przykrością. Nikt nie wie, jak się ma ona do owiec, ale mówi się, że kropla tego płynu znakomicie robi pasterzom w chłodną noc, a Figlom o każdej porze dnia i nocy. Nie należy próbować samodzielnej produkcji

Spfujnowany - zapewniano mnie, że oznacza to osobę zmęczoną

Starka - stara kobieta

Wielkiedziela - osobniki ludzkie

Wygódka - miejsce, gdzie nawet król chadza piechotą



ROZDZIAŁ PIERWSZY

ODEJŚCIE

Napłynęło nad wzgórza z cichym brzęczeniem, niczym niewidzialna mgła. Jakby ruch bez ciała, które mogłoby się zmęczyć. Przesuwało się bardzo powoli. Teraz nie myślało. Upłynęły całe miesiące od jego ostatniej myśli, ponieważ umysł, który za niego myślał, umarł. One zawsze umierają. Więc teraz znowu było obnażone i przestraszone.

Mogło się ukryć w jednym z tych niekształtnych białych stworzeń, które beczwały nerwowo, kiedy przetaczało się ponad trawą. Ale ich umysły były bezużyteczne, zdolne myśleć tylko o trawie i o robieniu innych stworzeń robiących bee. O nie. One z całą pewnością nie były odpowiednie. Potrzebowało, naprawdę potrzebowało czegoś lepszego. Silniejszego umysłu, umysłu posiadającego prawdziwą moc, umysłu, który zapewni mu bezpieczeństwo.

Szukało długo...

Nowe buty nie nadawały się zupełnie do niczego. Były sztywne i lśniące. Lśniące buty! To hańba. Czyste buty to coś zupełnie innego. W odrobinie pasty, która zabezpiecza buty przed wilgocią, nie ma nic złego. Ale buty powinny pracować na siebie, a nie lśnić.

Akwila Dokuczliwa stała na chodniczku przed łóżkiem, potrząsając głową. Postanowiła je szybko zużyć. Jak najszybciej.

No i jeszcze nowy słomkowy kapelusz ze wstążką. Co do niego też miała wątpliwości.

Spróbowała się przejrzeć, ale zadanie okazało się dość karkołomne, ponieważ lusterko było niewiele większe od jej dłoni, na dodatek popękane i z plamami. Musiała je przesunąć, by zobaczyć tak dużo z siebie jak to możliwe, a na dodatek pamiętać poszczególne kawałki, by potem je poskładać w całość.

Dzisiaj... no cóż, zazwyczaj nie robiła w domu takich rzeczy, ale ten dzień był szczególny i wyjątkowo zależało jej, by ładnie wyglądać, a ponieważ nikogo nie było w pobliżu...

Odłożyła lustro na rachityczny stolik stojący tuż przy łóżku pośrodku przetartego dywanika, zamknęła oczy i powiedziała:

- Zobacz mnie.

A gdzieś na wzgórzach coś, co nie miało ciała ani mózgu, ale czym kierował przeokropny głód i nieskończony lęk, poczuło siłę.

Gdyby miało nos, zaczęłoby niuchać w powietrzu.

Ale szukało.

I znalazło.

Znalazło dziwny umysł, jakby jeden w drugim, coraz mniejsze i mniejsze! Taki mocny! I tak blisko!

Zmieniło nieco kierunek i przyspieszyło. Poruszając się, brzęczało cicho, jakby przelatywał rój muszek.

Owce zaniepokojone czymś, czego nie mogły zobaczyć, usłyszeć ani powąchać, zabeczały...

...i powróciły do przeżuwania trawy.

Akwila otworzyła oczy. Oto była, tylko o kilka kroków od samej siebie. Widziała tył własnej głowy.

Uważnie przesuwiała się po pokoju, nie patrząc na siebie w ruchu, ponieważ z wcześniejszych doświadczeń już wiedziała, że jeśli tak zrobi, sztuczka zawiedzie.

Było to dość trudne, ale wreszcie znalazła się na wprost siebie, lustrując się z góry na dół.

Brązowe włosy do pary do brązowych oczu... na to nic nie mogła poradzić. Przynajmniej włosy były czyste, twarz zresztą też.

Miała na sobie nową sukienkę, co poprawiało ogólny stan rzeczy. Ponieważ w rodzinie Dokuczliwych rzadko kupowało się nowe rzeczy, sukienka była oczywiście na wyrost. Ale przynajmniej była jasnozielona i tak naprawdę nie sięgała do ziemi. Akwila w swych lśniących nowych butach i słomkowym kapeluszu wyglądała... jak farmerska córka, z porządnej rodziny, wybierająca się do swej pierwszej pracy. Nie było co grymasić.

Mogła też dostrzec na swej głowie spiczasty kapelusz, ale na to już musiała bardzo wyteńczyć wzrok. Trójkątny kształt był jak lśnienie, które znikало w momencie, gdy tylko sieje zauważało. To z jego powodu tak martwiło ją dodatkowe słomkowe nakrycie głowy, ale okazało się, że jemu nic nie przeszkadzało. A to dlatego, że w pewnym sensie wcale go nie było. Był niewidzialny, no chyba że padało. Słońce i wiatr przechodziły przez niego, jednak deszcz i śnieg jakoś go wyczuwały i traktowały jak rzecz materialną.

Spiczasty kapelusz otrzymała od największej czarownicy na całym świecie, prawdziwej wiedźmy w czarnej sukni, w czarnym kapeluszu i o wzroku, który przenikał przez ciebie jak terpentyna przez chorą owcę. Był to rodzaj nagrody. Ponieważ Akwila posługiwała się magią, i to całkiem poważną. Zanim to zrobiła, nie wiedziała, że potrafi; kiedy to robiła, nie widziała, że to robi, i potem nie wiedziała, jak tego dokonała. Teraz miała się tego nauczyć.

- Przestań mnie widzieć - zażyczyła sobie. I jej wizerunek... czy cokolwiek to było, bo nie była pewna, na czym właściwie ta sztuczka polega... zniknął.

Kiedy po raz pierwszy to jej się udało, była w szoku. A przecież zawsze wiedziała, że potrafi samą siebie zobaczyć, przynajmniej we własnej głowie. Wszystkie jej wspomnienia były niczym małe obrazki, na których widniała Akwila, która coś robiła albo się czemuś przyglądała, a nie widoczki wpadające do jej mózgu przez dwoje oczu. Jakaś jej część przez cały czas się jej przyglądała.

Panna Tyk - kolejna wiedźma, ale łatwiej się z nią dało rozmawiać niż z tą od kapelusza - powiedziała kiedyś, że wiedźma musi umieć „stać z boku” i że dowie się na ten temat więcej, kiedy jej talent się rozwinie, więc Akwila przypuszczała, że „zobacz mnie” stanowiło część tej umiejętności.

Niekiedy Akwili przychodziło na myśl, że powinna porozmawiać o tym z panną Tyk. O uczuciu, że wychodzi z własnego ciała, ale jej ciało ma samodzielną własność poruszania się niczym zombi. Wszystko działało dobrze do momentu, kiedy oczy z jej braku ciała nie spojrzały na jej ciało i nie dostrzegły, że tym właśnie się stała. Bo wtedy jakaś część jej umysłu wpadała w panikę i natychmiast wracała do materialnej powłoki. Jednak Akwila postanowiła zachować wiedzę na ten temat dla siebie. Uważała, że nie musi opowiadać się nauczycielce ze wszystkim. Trzeba przy tym przyznać, że trik był dobry, zwłaszcza kiedy nie miało się lustra.

Panna Tyk była kimś w rodzaju łowcy talentów. W ten właśnie sposób wiedźnowatość mogła przetrwać. Niektóre z czarownic rozglądały się za dziewczętami

wykazującymi odpowiednie skłonności, a potem przydzielano im starszą wiedźmę, która służyła pomocą. Nie uczyły, jak czarować. Uczyły, jak rozpoznawać, kiedy się czaruje.

Wiedźmy przypominają nieco koty. Nie przepadają specjalnie za swoim towarzystwem, ale lubią wiedzieć, gdzie znajdują się wszystkie inne, tak na wszelki przypadek. Na przykład by poinformować cię, całkiem po przyjacielsku, że zaczynasz sama do siebie gadać.

Wiedźmy nie są strachliwe, tak mówiła jej panna Tyk, ale właśnie te najpotężniejsze bały się (choć nie rozmawiały na ten temat) zejścia na złą drogę. Tak łatwo wstąpić na ścieżkę bezmyślnego okrucieństwa tylko dlatego, że dysponuje się mocą, a inni nie, tak łatwo uwierzyć, że inni się nie liczą, tak łatwo uznać, że jest się ponad takie wartości jak dobro i zło. A na końcu tej drogi czekała chatka z piernika, w której porosła brodawkami samotna Baba Jaga mamrotała coś do siebie.

Wiedźmy musiały mieć świadomość, że inne czarownice przyglądają im się przez cały czas.

I właśnie po to, pomyślała Akwila, nosi się kapelusz. Zawsze mogła go dotknąć, jeśli tylko zamknęła oczy. Miał za zadanie przypominać...

- Akwilo! - krzyknęła jej matka, stając u schodów. - Przyszła panna Tyk.

Poprzedniego dnia Akwila pożegnała się z babcią Dokuczliwą.

Wysoko na wzgórzach żelazne koła starego wozu pasterskiego zapadły się do połowy w trawie. Brzuchaty piec koślawie oparty o trawę poczerwieniał od rdzy. Kredowe wzgórza pochłaniały je, tak jak wcześniej zabrały babcine kości.

Chata została spalona w dniu śmierci babci. Żaden z pasterzy nie ośmieliłby się w niej zamieszkać, a nawet spędzić noc. Babcia Dokuczliwa zbyt wiele miejsca zajmowała w umysłach różnych ludzi, zbyt trudno było ją zastąpić. Nocą czy dniem, przez wszystkie pory roku, ona stanowiła kwintesencję Kredy: była najlepszym pasterzem, najmądrzejszą kobietą i wspólną pamięcią. Tak jakby zielone wzgórza miały duszę wędrującą w zniszczonych butach, w fartuchu z worka, paliły starą fajkę i leczyły terpentyną owce.

Pasterze mówili, że babcia Dokuczliwa panuje nad pogodą. Nazywali nawet małe pierzaste białe obłoczki, które często pojawiały się na letnim niebie, Jagnętami babci Dokuczliwej". I chociaż mówiąc tak, uśmiechali się, nie do końca traktowali to jako żart.

A więc ani jeden pasterz nie ośmieliłby się zamieszkać w jej chacie na kołach, żaden z nich.

Wycięli murawę i pochowali babcię w kredzie, potem obficie podlali trawę, żeby nie pozostał żaden ślad, a następnie spalili chatę.

Owczyna wełna, tytoń Wesoły Żeglarz i terpentyna...

...tym pachniała pasterska chata, tym też pachniała babcia Dokuczliwa. To pozostaje po ludziach bliskich naszemu sercu. Wystarczyło, że Akwila poczuła ten zapach, by przenieść się do cieplej, cichej i bezpiecznej chaty. Tutaj zawsze biegła, gdy miała jakieś zmartwienie lub gdy coś ją szczególnie ucieszyło. A babcia Dokuczliwa zawsze się uśmiechała, robiła herbatę i nic nie mówiła. W pasterskiej chacie nie mogło się wydarzyć nic złego. To była twierdza obronna przed złem tego świata. I nawet teraz, gdy babcia odeszła, Akwila wciąż lubiła tam chodzić.

Teraz stała tam, podczas gdy wiatr targał trawę, a z oddali dochodziło brzęczenie owczych dzwoneczków.

- Ja muszę... - odchrząknęła. - Muszę odejść. Muszę... zdobyć wiedzę, jak porządnie czarować, a tutaj nie ma nikogo, kto mógłby mnie nauczyć, rozumiesz, prawda? Teraz odejdę... żeby potem pilnować tych wzgórz, tak jak ty to robiłaś. Bo widzisz, ja potrafię... robić pewne rzeczy, ale ich nie rozumiem, a panna Tyk twierdzi, że to, czego nie rozumiemy, może nas zabić. Chcę być równie dobra jak ty. Wróć! Wróć jak najszybciej! I obiecuję, że będę wtedy mądrzejsza.

Niebieski motyl niesiony podmuchem wiatru zboczył z kursu i usiadł Akwili na ramieniu, raz czy dwa poruszył skrzydełkami, a potem odleciał.

Babcia Dokuczliwa nigdy nie czuła się dobrze w towarzystwie słów. Kolekcjonowała ciszę, tak jak inni zbierają kawałki sznurka. A jednak zawsze potrafiła wyrazić nic niemówieniem wszystko, co trzeba.

Akwila została jeszcze trochę, czekając, by jej łyzy obeschły, a potem zeszła ze wzgórza, pozostawiając tam wiecznie trwający wiatr, by krążył między zardzewiałymi kołami i gwizdał w kominie brzuchatego piecyka. Życie toczyło się dalej.

* * *

Fakt, że dziewczynka w wieku Akwili szła „na służbę”, nie był niczym niezwykłym. Zazwyczaj oznaczało to pracę służącej lub pokojówki. Zgodnie z tradycją pierwszy krok stanowiło pomaganie jakiejś starszej, mieszkającej samotnie damie, która nie mogła wiele za taką usługę zapłacić, ale też praca początkującej dziewczyny nie jest przecież wiele warta.

Trzeba przyznać, że we własnym domu Akwila praktycznie sama prowadziła mleczarnię, jeśli tylko ktoś pomógł jej z ciężkimi bańkami na mleko, tak więc rodzice dość się zdziwili, słysząc, że ich najmłodsza córka chce się wybrać na służbę. Ale Akwila

oznajmiła, że przecież każda to robi. Poznaje wtedy trochę świata. Spotyka nowych ludzi. Nigdy nie wiadomo, do czego to doprowadzi.

W ten sprytny sposób przeciągnęła na swoją stronę matkę. Pewna zamożna krewna po kądzieli zaczęła od pozycji pomywaczki, potem została pokojówką, a wreszcie wyszła za rzeźnika i zamieszkała w bardzo porządnym domu. Co prawda nie był to jej dom i mieszkała w nim tylko przez chwilę, ale stała się dzięki temu prawdziwą damą.

Tego Akwila nie planowała. To był tylko podstęp. Wymyślony zresztą przez pannę Tyk.

Za czarowanie nie można brać pieniędzy, więc czarownice wykonują też inne prace. Panna Tyk zazwyczaj występowała w przebraniu nauczycielki. Podróżowała wraz z innymi nauczycielami, którzy wędrowali z miejsca na miejsce, ucząc wszystkich o wszystkim w zamian zajedenie lub stare ubrania.

To był bardzo dobry sposób podróżowania, ponieważ ludzie na Kredzie z natury nie ufali wiedźmom. Podejrzewali je, że tańczą w świetle księżyca, w dodatku bez reform. (Akwila dowiadywała się, jak z tym naprawdę jest, i ku swej uldze usłyszała, że wiedźma nie musi tego robić. Co prawda takie zachowanie było dopuszczalne, ale tylko pod warunkiem że się chciało i tylko gdy się było pewnym, że wokół rosną pokrzywy, oset i kolczasty żywopłot).

Trzeba jednak powiedzieć, że w stosunku do nauczycieli ludzie też byli nieufni. Mówiono, że zdarza im się zwędzić kurczaka, który wcale dzięki temu nie stawał się wędzony, i że wykradają dzieci (co w pewien sposób było prawdą), i że podróżują od wioski do wioski w swych jarmarcznych budach, nosząc długie suknie ze skórzanymi łatami na rękawach i dziwaczne płaskie kapelusze, a na dodatek rozmawiając między sobą, używając barbarzyńskich wyrażeń, których nikt nie potrafi zrozumieć, jak na przykład: „Aleajacta est” czy „Quid pro quo”. Panna Tyk bez trudu się pomiędzy nich wmieszała. Jej spiczasty kapelusz też występował w przebraniu, udając zwykły czarny słomkowy kapelusz ozdobiony papierowymi kwiatami - do właściwej postaci wracał po pociągnięciu za specjalny sznurek.

Podczas minionego roku Akwila nieustannie dziwiła, a nawet martwiła swą matkę, zdradzając niezaspokojony głód wiedzy. Ludzie w wiosce uznawali zaspokajanie go w sposób umiarkowany za zdrowy, jednak dawki zbyt duże nie były zalecane.

A miesiąc temu nadeszła wiadomość: Bądź gotowa.

Panna Tyk, wystrojona w swój kwiecisty kapelusz, odwiedziła ich farmę, by poinformować pana i panią Dokuczliwych, że pewna starsza dama mieszkająca w górach usłyszała o nadzwyczajnej biegłości Akwili w robieniu sera i jest gotowa zaoferować jej

posadę służącej za cztery dolary miesięcznie, z jednym dniem wolnym w tygodniu, własnym łóżkiem i tygodniowymi wakacjami na Strzeżenie Wiedźm.

Akwila знаła swoich rodziców. Trzy dolary miesięcznie uznaliby za kwotę zbyt małą, a pięć dolarów za podejrzenie dużą, choć biegłość w robieniu sera zasługiwała z pewnością na dodatkowego dolara. A już własne łóżko było mile widzianą premią. Zanim większość siostr Akwili wyprowadziła się z domu, spanie po dwie w łóżku uważano za coś całkiem normalnego. Oferta była po prostu dobra.

Ponadto panna Tyk zrobiła na rodzicach Akwili wrażenie, można powiedzieć też, że nieco się jej bali, ale ponieważ zostali wychowani w przeświadczeniu, że ludzie, którzy wiedzą więcej od ciebie, a na dodatek znają długie słowa, są wyżej postawieni, więc wyrazili zgodę.

Przypadkowo Akwila usłyszała ich rozmowę na ten temat wieczorem, kiedy już poszła do łóżka. Nie jest zbyt trudno przypadkowo usłyszeć, o czym ktoś rozmawia na dole, jeśli się postawi na deskach podłogi odwróconą szklankę i całkiem przez przypadek przyłoży do niej ucho.

Usłyszała tatę, który powiedział, że Akwila w ogóle nie musi nigdzie iść.

Usłyszała mamę, która odparła, że wszystkie dziewczyny są ciekawe, jak wygląda świat, więc lepiej niech go sama zobaczy. Szczególnie że jest dziewczynką potrafiącą o siebie zadbać, z mądrą głową mocno osadzoną na ramionach. A jeśli będzie ciężko pracować, to kto wie, może pewnego dnia zostanie służącą u kogoś ważnego i zamieszka w domu z wygodką w środku.

Tato odparł, że szorowanie podłóg wszędzie wygląda tak samo.

No cóż, w takim razie po rokuja to znudzi, odparła matka, i wróci do domu, a tak przy okazji, co to znaczy biegłość?

Wprawa w wykonywaniu czegoś, pomyślała Akwila. Chociaż mieli w domu stary słownik, jednak mama nigdy go nie otwierała, ponieważ widok tak wielu słów wywoływał u niej melancholię. Akwila zaś przeczytała go od deski do deski.

I w ten sposób całkiem szybko, choć zupełnie nie nagle, zawijała swe stare buty noszone przed nią przez jej wszystkie siostry w kawałek czystego materiału, by schować je do kupionej dla niej przez mamę używanej torby, która wyglądała jak zrobiona ze zniszczonej tektury lub ze sprasowanych pestek winogron połączonych woskowiną i musiała być związana sznurkiem.

Potem nastąpiły pożegnania. Trochę popłakała, a jej mama płakała bardzo, wtórował im mały Bywart, który liczył, że na pociechę otrzyma coś słodkiego. Ojciec nie płakał, ale dał

jej srebrnego dolara i dość burkliwie nakazał co tydzień pisać list do domu, co jest męską odmianą płaczu. Akwila pożegnała się też z serami w mleczarni, owcami na wybiegu i nawet z kotem Szczurołowem.

A jeszcze potem wszyscy poza serami i kotem stali przy bramie i machali za nią i za panną Tyk - no tak, i poza owcami również - aż doszły do kredowobiałej dróżki prowadzącej w stronę wioski.

A jeszcze potem nie słyhać już było nic poza stukaniem butów o krzemioną drogę i nieskończoną pieśnią skowronków uwijających się nad głowami. Była końcówka sierpnia, panował dziki skwar. Nowe buty cisnęły.

- Na twoim miejscu bym je zdjęła - oświadczyła panna Tyk po pewnym czasie.

Akwila usiadła na skraju drogi i wyciągnęła z torby swe stare buty. Nie naprzykrzała się pytaniem, skąd panna Tyk wie, że jej nowe buty są za ciasne. Wiedźmy umieją patrzeć. Stare buty, choć musiała do nich wkładać kilka par skarpet, były o niebo wygodniejsze i łatwiej się w nich szło. Ich marsz rozpoczął się na długo przed narodzinami Akwili i znakomicie wiedziały, jak się to robi.

- Czy zobaczymy dzisiaj któregoś... z małych ludzi? - zapytała panna Tyk, kiedy ruszyły znowu w drogę.

- Nie wiem - odparła Akwila. - Miesiąc temu powiedziałam im, że odchodzę. O tej porze roku są bardzo zajęte. Ale zawsze jeden czy dwóch mnie pilnuje.

Panna Tyk natychmiast się rozejrzała.

- Niczego nie widzę. Ani nie słyszę.

- I właśnie dlatego z całą pewnością gdzieś tutaj są - potwierdziła Akwila. - Kiedy mnie pilnują, zawsze jest nieco ciszej. Ale póki pani jest ze mną, nie pokażą się. Troszkę się boją wiedźm. To nic osobistego - dodała szybko.

Panna Tyk westchnęła.

- Kiedy byłam małą dziewczyną, wciąż marzyłam, że zobaczę praludka. Wystawiałam dla nich spodeczki z mlekiem. Oczywiście później dowiedziałam się, że nie to powinnam zrobić.

- Nie, powinna pani zaproponować im mocniejszy trunek - przytaknęła Akwila. Podniosła wzrok na żywopłot i przez chwilę wydało jej się, że mignęła tam ruda czupryna. Dziewczynka uśmiechnęła się trochę nerwowo.

Akwila była, choć tylko przez kilka dni, królową tych postaci z baśni, przynajmniej na tyle, na ile ludzka istota może nią zostać. Trzeba też przyznać, że nazywała się wodzą, nie

królową, i że powiedzieć w twarz Fik Mik Figlom, że są postaciami z bajki, może tylko ktoś, kto się prosi do bójk. Z drugiej jednak strony Fik Mik Figle zawsze są chętne do bitki i zawsze sprawia im ona wielką radość, tak że gdy nie mają wroga zewnętrznego, radzą sobie, bijąc się między sobą, a gdyby tak się zdarzyło, że któryś z Figli wylądowałby na bezludnej wyspie, przyłożyłby samemu sobie w nos, żeby nie wyjść z wprawy.

Technicznie rzecz biorąc, były mieszkańcami Krainy Baśni, z drugiej jednak strony zostały z niej wyrzucone, najprawdopodobniej za przebywanie w stanie nietrzeźwym. A teraz, ponieważ nigdy nie zapominają swojej wodzy...

...zawsze będą tam gdzie ona.

Nieustannie choć jeden z nich kręcił się gdzieś na farmie albo zataczał koła nad wzgórzami, latając na myszolowie. Pilnowały jej, by ją chronić i by jej pomagać, czy chciała tego, czynie. Starła się znosić to grzecznie. Pamiętnik ukryła w głębi szuflady, zatkała wszystkie szpary w wygodce zwiłkami papieru, uszczelniła też deski w podłodze sypialni. Ostatecznie trzeba pamiętać, że choć mali, byli to mężczyźni. Co prawda starali się pozostać niewidoczni, aby jej nie niepokoić, ale nauczyła się bardzo dobrze ich wypatrywać.

Fik Mik Figle spełniały życzenia - nie takie bajkowe trzy życzenia, których spełnienie zawsze się źle kończy, ale zwyczajne codzienne prośby. Były nieprawdopodobnie silne i nieulękłe, a także niesamowicie szybkie, ale nie potrafiły zrozumieć, że ludzie nie zawsze mówią to, o co im naprawdę chodzi. Pewnego dnia Akwila w mleczarni powiedziała do siebie: „Chciałabym mieć ostrzejszy nóż do krojenia sera” i zanim się obejrzała, najostrzejszy nóż jej matki leżał już przed nią.

Najprawdopodobniej stwierdzenie: „Chciałabym, żeby się przejaśniło” nie było groźne, ponieważ Figle czarować nie potrafiły, ale rozumiała, że musi bardzo uważać, by nie poprosić o coś, co było osiągalne dla grupy małych, zdeterminowanych, silnych, odważnych i szybkich mężczyzn, którzy przy okazji nie mieliby nic przeciwko małej utarcze.

Nad życzeniami warto się zastanawiać. Akwila nigdy nie była skora do wypowiedziania na głos pragnień w stylu: „Chciałabym poślubić przystojnego księcia”, ale dodatkowa świadomość, że po powiedzeniu tych słów można by stanąć twarzą w twarz z osłupiałym księciem, związanym księdzem i gromadą uszczęśliwionych Fik Mik Figli gotowych do roli družbów, z pewnością czyniła ją jeszcze rozważniejszą. Ale potrafiły być przydatne często w zaskakujący sposób i przyzwyczała się, by zostawiać dla nich rzeczy niepotrzebne już rodzinie, dla których mogli znaleźć zastosowanie mali ludzie, jak na przykład łyżeczki do musztardy, szpilki czy miseczkę do zupy, która znakomicie nadawała się dla Figli na kąpiel. Na wypadek gdyby nie rozumiały sugestii, dołożyła kawałek mydła. Mydła nigdy nie kradły.

Ostatnim razem odwiedziła starożytny kopiec pogrzebowy wysoko na wzgórzach, w którym mieszkały praludki, z okazji zaślubin Rozbója, Wielkiego Człowieka klanu, z Joanną znad Długiego Jeziora. To ona miała zostać nową wodzą i spędzić większą część swego życia w głębi kopca, rodząc kolejne dzieci, niczym królowa pszczół.

Figle z innych klanów stawiały się na uroczystości jak jeden mąż, ponieważ jeśli jest coś, co Figle lubią bardziej od udanego przyjęcia, jest to wielkie udane przyjęcie, a jeśli jest coś lepszego od wielkiego udanego przyjęcia, to wielkie udane przyjęcie, gdzie ktoś stawia napitki. Uczciwie mówiąc, Akwila czuła się tam nieco nie na miejscu, bo była dziesięć razy większa od najwyższego praludka, ale wszyscy odnosili się do niej bardzo grzecznie, a Rozbój wygłosił nawet na jej cześć mowę, określając ją ich pierwszorzędną wielką ciutwiedźmą, a stało się to, zanim jeszcze padł twarzą w pudding. Było tam bardzo gorąco i bardzo głośno, lecz przyłączyła się do okrzyków, kiedy Joanna przeciągnęła Rozbója przez maleńki kij od szczotki leżący na podłodze. Zgodnie z tradycją państwo młodzi powinni wspólnie przez ten kijaszek przeskoczyć, ale również zgodnie z tradycją żaden szanujący się Figiel nie mógł być trzeźwy w dniu swego ślubu.

Potem poradzono jej, żeby opuściła kurhan, ponieważ kolejnym zwyczajem miała się właśnie rozpocząć bójka między klanem pana młodego a klanem panny młodej, trwająca zazwyczaj aż do piątku.

Akwila pokłoniła się przed Joanną, ponieważ to właśnie robią wiedźmy, a przy okazji dobrze się jej przyjrzała. Wodza była maleńka, słodka i bardzo ładna. Miała też błysk w oku i uniesioną dumnie bródkę. Wśród Figli dziewczęta stanowiły rzadkość, więc wzrastały w świadomości, że pewnego dnia zostaną wodzami. Akwila czuła, że Rozbój poślubił większą spryciarę, niż mu się to śniło.

Smutno jej było ich opuszczać, ale nie bardzo smutno. Byli na swój sposób mili, lecz niekiedy zaczynali jej grać na nerwach. A ponadto miała już jedenaście lat i czuła, że w pewnym wieku nie powinno się zjeżdżać do dziury w ziemi na pogawędkę z małymi facetami.

Co więcej spojrzenie, jakim obdarzyła ją Joanna, było wprost zabójcze. Akwila odczytała jego znaczenie, nie pozwalając, by ją zraniło. Była wodzą tego klanu, choć tylko przez kilka dni. Była też zaręczona z Rozbójem i miała pewnego dnia go poślubić, choć wszyscy uznali to za sprytny polityczny trik. Joanna wiedziała o tym wszystkim bardzo dobrze. Ale jej wzrok teraz mówił: On jest mój. To miejsce należy do mnie. Nie chcę cię tutaj. Trzymaj się z daleka!

* * *

Za Akwilą i panną Tyk rozciągał się obszar ciszy, ponieważ wszystko, co hałasuje w krzakach, starało się nie hałasować, kiedy w pobliżu znajdowały się Fik Mik Fikle.

Dotarli do placu pośrodku wioski, usiadły na skraju, by poczekać na furmankę, która przemieszczała się nieco szybciej niż wędrujący człowiek, była więc szansa, że w ciągu pięciu godzin dowiezie je do Dwóch koszul, gdzie - tak przynajmniej myśleli rodzice Akwili - złapią powóz kursujący przez wysokie góry i jeszcze dalej.

W chwili gdy Akwila usłyszała nadjeżdżającą furmankę, doszedł ją też tętent kopyt galopującego konia. Odwróciła się i jej serce jednocześnie podskoczyło i opadło.

To był Roland, syn barona, na pięknym karym rumaku, z którego zeskoczył, zanim zwierzę zdążyło się zatrzymać. Stał przed nią, przestępując z nogi na nogę.

- Zauważyłam właśnie bardzo piękny i interesujący kawałek... hmmm.. kamienia, o tam - odezwała się panna Tyk głosem słodkim jak ulepek. - Pozwolisz, że się oddalę, by go obejrzeć.

Akwila miała ochotę ją za to uszczypnąć.

- To znaczy, że wyjeżdżasz - powiedział Roland, kiedy panna Tyk odeszła.

- Tak - odparła Akwila.

Roland wyglądał, jakby miał za chwilę eksplodować z nerwów.

- Mam coś dla ciebie. Kazałem to zrobić ludziom ze Skowytu. - Podał jej pakuneczek zawinięty w miękki papier.

Akwila wzięła go i włożyła ostrożnie do kieszeni.

- Dziękuję - powiedziała i leciutko dygnęła. Prawdę mówiąc, było to normalne zachowanie w towarzystwie szlachcica, ale na twarzy Rolanda pojawił się rumieniec.

- O... otwórz to później - zająknął się. - Mam nadzieję, że będzie ci się podobało.

- Dziękuję - powtórzyła Akwila ze słodyczą.

- O, jest furmanka. Pewnie chcecie już... wsiąść.

- Dziękuję - powtórzyła jeszcze raz Akwila i kolejny raz dygnęła, tak spodobał jej się osiągnięty wcześniej efekt. Było to odrobinę okrutne, ale czasami trzeba się tak zachować.

Co więcej, na furmankę nie sposób było nie zdążyć. Gdyby się biegło, dałoby się ją nawet przegonić. Poruszała się tak wolno, że słowo „stop” nigdy nie przychodziło niespodziewanie.

W środku nie było miejsc. Właściciel tego pojazdu przejeżdżał przez wioski co drugi dzień, zbierając głównie przesyłki. Kiedy trafiali się ludzie, mieścili się wygodnie między pudłami owoców i belami materiału.

Akwila usiadła z tyłu. Jej stare buty dyndały w powietrzu, bujając się do przodu i w tył, gdy furmanka podskakiwała na nierównej drodze.

Panna Tyk siedziała obok. Wkrótce jej czarną sukienkę pokrył do kolan kredowy pył.

Akwila zauważyła, że Roland nie zawrócił konia aż do chwili, gdy furmanka zniknęła mu z oczu.

Ale знаła pannę Tyk. Wiedziała, że wiedźma zaraz wybuchnie od niezadanych pytań, ponieważ czarownice nienawidzą nie wiedzieć. I rzeczywiście, kiedy tylko zostawiły za sobą wioskę, panna Tyk, usadowiwszy się wygodnie i kilkakrotnie odkaslnąwszy, wyrzuciła z siebie pierwsze z nich:

- Nie zamierzasz go otworzyć?

- Czego otworzyć? - zapytała Akwila, nie patrząc na nią.

- Dał ci prezent - podsunęła panna Tyk.

- Wydawało mi się, że oglądała pani kamień nadający się do czarów - oskarżycielsko rzuciła Akwila.

- No cóż, okazał się jedynie czarownie ładny. - Panna Tyk nie czuła się ani odrobinę speszona. - Więc...?

- Zaczekam z tym - odparła dziewczynka. Nie życzyła sobie dyskusji na temat Rolanda ani niczego w tym stylu.

Nie chodziło o to, że go nie lubiła. Odnalazła go w krainie należącej do Królowej Baśni i można powiedzieć, że go uratowała, choć on był przez większość czasu nieprzytomny. Nagłe spotkanie z Fik Mik Figłami, zwłaszcza gdy się bardzo starają, może się tak właśnie skończyć. Lecz oczywiście, choć nikt tak naprawdę nie skłamał, w domu wszyscy wierzyli, że to syn barona ją uratował. Uzbrojona w patelnię dziewięciolatka nie może przecież ratować trzynastoletniego chłopaka, który na dodatek ma przy sobie miecz.

Akwili wcale to nie przeszkadzało. Dzięki temu ludzie nie zadawali pytań, na które nie chciałyby odpowiadać, nawet gdyby wiedziała jak. Ale on... nie przestawał się koło niej kręcić. Wpadała na niego przypadkiem podczas spacerów znacznie częściej, niż to było możliwe przypadkiem, nigdy też nie opuszczał spotkań w wiosce, na które i ona przychodziła. Zawsze był grzeczny, ale patrzył na nią niczym kopnięty spaniel, a tego nie potrafiła znieść.

Jednocześnie trzeba było przyznać - choć niechętnie - że nie był już takim matołkiem jak niegdyś. Z drugiej jednak strony poziom, z jakiego startował, dawał olbrzymie możliwości.

A potem pomyślała: koń, i zastanowiła się, dlaczego do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że choć jej oczy spoglądają na krajobraz wokół, umysł wciąż patrzy w przeszłość.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam - odezwała się panna Tyk.

Kreda całkiem niespodziewanie po tej stronie wzgórz wydobywała się z płaskowyżu. Przed nimi rozciągała się niewielka dolina między wzgórzami, a w miejscu gdzie zakręcała, widniała rzeźba naskalna. Pasy murawy wycięto w taki sposób, że goła kreda ukazywała sylwetkę zwierzęcia. Akwila przyjęła ten widok jak starego przyjaciela.

- To Biały Koń - poinformowała swą towarzyszkę.

- Dlaczego tak to nazwano? - zapytała panna Tyk.

Akwila popatrzyła na nią.

- Ponieważ kreda jest biała? - podsunęła, nie chcąc, by zabrzmiało to tak, jakby panna Tyk była nieco tępa.

- Nie, nie o to pytałam. Dlaczego koń? Nie przypomina konia. To po prostu... płynne linie...

...które wyglądają tak, jakby były w ruchu, pomyślała Akwila.

Ludzie powiadali, że zostały wycięte w murawie w dawnych czasach, przez tych samych ludzi, którzy budowali kamienne kręgi i chowali swych królów w wielkich ziemnych kopcach. Wycięli linie na jednym końcu niewielkiej zielonej doliny, narysowali konia dziesięć razy większego od prawdziwego i jeśli patrzyło się bez dobrego nastawienia, kształt też nie był odpowiedni. A jednak nie było wątpliwości, że znali konie, posiadali konie, widywali je każdego dnia i na pewno nie byli głupi, choć żyli w tak odległych czasach.

Akwila zapytała kiedyś ojca o wygląd konia, kiedy przyjechali do doliny na jarmark z owcami, a on powiedział jej to, co babcia Dokuczliwa powiedziała także i jemu, kiedy był małym chłopcem. Przekazał jej słowo po słowie, co sam usłyszał, a Akwila to samo zrobiła teraz.

- Nie chodzi o to, jak koń wygląda, tylko o to, czym koń jest.

- Aha - potakiwała panna Tyk. A ponieważ była nie tylko wiedźmą, ale też nauczycielką, w związku z czym nie potrafiła się powstrzymać i dodała: - Oczywiście, choć jest to nieco zabawne, nie istnieje w powszechnie używanej nomenklaturze coś takiego jak biały koń. Mówi się o nich: siwki*.

- Tak, wiem - stwierdziła Akwila. - Ale ten jest biały – dodała zdecydowanie.

To na jakiś czas uspokoiło pannę Tyk, lecz coś nie dawało jej spokoju.

* Musiała to powiedzieć, ponieważ była nauczycielką i wiedźmą, a to straszliwa kombinacja. One zawsze chcą, by wszystko było jak należy. Lubią, by sprawy układały się zgodnie z porządkiem. Jeśli chcesz zdenerwować czarownicę, nie musisz bałaganić z czarami i zaklęciami, wystarczy, że powiesz w jej pokoju niezbyt równo obrazek. Na pewno usłyszysz jej wrzask.

- Pewnie smutno ci opuszczać Kredę? - zapytała, jakby turkot wozu coś jej uprzytomnił.

- Nie - odpowiedziała Akwila.

- Nie byłoby w tym nic złego - dodała panna Tyk.

- To miło z pani strony, ale naprawdę nie jest mi smutno.

- Jeśli masz ochotę sobie popłakać, to nie musisz udawać, że wpadł ci do oka paproch ani nic takiego...

- Czuję się całkiem dobrze - odparła Akwila. - Słowo daję.

- No bo wiesz, jeśli teraz będziesz blokowała te uczucia, nie wiadomo, jakie szkody może to przynieść później.

- Nie blokuję, panno Tyk.

Prawdę mówiąc, sama Akwila była nieco zdziwiona, że łzy się nie pojawiły, ale tego nie zamierzała zdradzać. Zostawiła w umyśle miejsce, które mogło stać się ich sadzawką, ale się nie napełniło. Może dlatego że opakowała wszystkie swe uczucia i wątpliwości, i pozostawiła je na wzgórzu koło brzuchatego pieca.

- I oczywiście jeśli się czujesz w tym momencie nie do końca szczęśliwa, mogłabyś otworzyć prezent, który... - spróbowała znowu panna Tyk.

- Proszę mi opowiedzieć o panie Libelli - odezwała się szybko Akwila. O damie, u której miała zamieszkać, wiedziała tylko, jak się nazywa i gdzie żyje, choć trzeba przyznać, że adres brzmiał nie najgorzej: „Panna Libella, Chatka w Lasach koło martwego dębu przy przesiece Zagubionego Człowieka, Wysoki Nawis, listy można zostawić w starym bucie przy drzwiach”.

- Ach tak, panna Libella - poddała się panna Tyk. - Cóż, tak naprawdę nie jest bardzo stara, ale twierdzi, że przyda jej się trzecia para rąk.

Przy Akwili nie powinny się nikomu wymykać słowa, nawet pannie Tyk.

- Czy to oznacza, że już tam ktoś poza nią jest? - zapytała Akwila.

- Hm... nie. Niezupełnie.

- W takim razie czy ona ma czworo rąk? - dopytywała się Akwila. Coś w głosie panny Tyk powiedziało jej, że czarownica wolalaby uniknąć rozmowy na ten temat.

Panna Tyk westchnęła. Rozmowa z kimś, kto przez cały czas zachowuje czujność, nie należała do najłatwiejszych. I zbijała z tropu.

- Poczekaj, aż ją poznasz. Cokolwiek ci teraz powiem, nie da ci prawdziwego obrazu. Jestem pewna, że się dogadacie. Ona znakomicie radzi sobie z ludźmi, a w wolnym czasie

prowadzi badania. Hoduje pszczoły... a także kozy. Chyba się nie mylę, że ich mleko jest bardzo dobre ze względu na ujednolicony poziom tłuszczu.

- Jakie badania prowadzą czarownice?

- To bardzo stare rzemiosło. Poznając, jak naprawdę działały stare uroki, stara się tworzyć nowe. Wiesz, o czym mówię: „Ucho nietoperza i palec żaby”, prawda? To nigdy nie działa, ale panna Libella jest przekonana, że powodem jest nasza niewiedza, jakiej żaby należy użyć i którego palca....

- Bardzo mi przykro, ale nie zamierzam nikomu pomagać w odrąbywaniu kawałków jakiejś niewinnej żaby czy nietoperzowi - oświadczyła zdecydowanie.

- Ależ ona nigdy nie zabija żadnego stworzenia! – wykrzyknęła panna Tyk. - Używa tylko tych, które umarły w sposób naturalny, zostały przejechane lub popełniły samobójstwo. Żabom zdarza się popadać w ciężkie depresje.

Furmanka toczyła się po pyłce na biało drodze, aż zniknęła z widoku.

Nic się nie stało. Skowronki śpiewały tak wysoko, że nie było ich widać. W powietrzu unosiły się nasiona trawy. Owce beczwały ponad wzgórzami Kredy.

Nagle jednak coś pojawiło się nad drogą. Poruszało się jak powolna trąba powietrzna, więc można było dostrzec tylko wirujący pył. Kiedy się przesunęło, brzęczało jak chmara much.

A potem to także znikło u stóp wzgórza...

I wtedy z wysokiej trawy, która porastała pobocze drogi, odezwał się głos:

- Na litość! Nie ma wątpliwości, że podąża za nią!

A drugi głos mu odpowiedział:

- Ale stara czarownica wkrótce to zauważy?

- Co? Nauczycielka? Nie, ona nie jest do końca wiedźmowata!

- Przecież ma spiczasty kapelusz ukryty pod kwiatami, Duży Ja nie. - Drugi głos nie rezygnował, można powiedzieć, że brzmiał w nim wyrzut. - Sam widziałem. Naciska ciutsprężynkę, a wtedy pokazuje się czubek!

- Masz rację, Hamiszu, powiedziałbym, że z czytaniem i pisanem radzi sobie całkiem dobrze, ale nie wie za wiele o tym, czego nie ma w książkach. I ja nie mam zamiaru się pokazać w jej obecności. Z pewnością by zaraz wszystko spisała! Chodź, musimy opowiedzieć o tym wodzy!

* * *

Fik Mik Figle z Kredy nienawidziły pisania z wielu powodów, ale jeden był najważniejszy: to, co napisane, zostaje. Przyspila słowa na wieki. Człowiek powie, co mu

ślina na język przyniesie, a potem jakiś nieprzyjemny ciutgłupek spisz to i skąd wiadomo, co z tymi słowami zrobi? Może nawet przybić człowiekowi cień do ściany.

Ale teraz mieli przecież nową wodzę, a nowe wodze przynoszą nowe pomysły. Tak to właśnie zostało pomyślane. Dzięki temu klan nie staje się zbyt skostniały. Wodza Joanna pochodziła z klanu znad Długiego Jeziora, a tam pisano.

Nie rozumiała, czemu jej mąż nie mógłby tego robić także. I w ten sposób Rozbój bardzo szybko się przekonał, że Joanna jest prawdziwą wodzą.

Obficie się pocił.

Kiedyś w pojedynkę pokonał wilka. Teraz z radością zgodziłby się na powtórzenie tego eksperymentu, i to z zamkniętymi oczami i jedną ręką przywiązaną na plecach, byle tylko nie robić tego, czego wymagała od niego żona.

Dwa pierwsze etapy pisania, tak jak on to rozumiał, opanował do perfekcji.

1) Ukraść papier.

2) Ukraść ołówek.

Niestety, na tym się nie kończyło.

Właśnie w tej chwili zaciskał obie dłonie na końcówce ołówka, usiłując się wycofać, podczas gdy dwóch jego braci pchało go z całych sił w stronę kartki papieru przyszpilonej do ściany komnaty (był to stary rachunek za dzwonki owiec, zwędzony z farmy). Reszta klanu rozsiadła się na galeriach i przyglądała z przerażeniem pomieszanim z fascynacją.

- Może powinienem podejść do tego łagodniej - protestował, wbijając się butami w klepisko. - Może wystarczyłoby, gdybym zaczął od przecinka lub kropki.

- Ty jesteś tu szefem, Rozbój, należy się więc, byś pierwszy zabrał się do pisania - oświadczyła Joanna. - Nie mogę mieć męża, który nie potrafi nawet się podpisać. Przecież ci pokazywałam, jak wyglądają litery.

- O tak, kobieto, ohydne, pokrętne i pogarbione! - jęczał Rozbój. - Takemu Q nigdy bym nie zawierzył. Podstępna litera dźgają - ca żądlęm, ot co!

- Trzymaj tylko ołówek nad papierem, a ja już ci powiem, jakie znaki masz stawiać. - Joanna wyciągnęła w jego kierunku ramię.

- Ale z pisania mogą wyniknąć nieliczne kłopoty - bronił się Rozbój. - To, co człowiek napisze, potrafi zaprowadzić go na stryczek!

- No, dosyć już! Przecież to dziecinnie proste! - zachnęła się jego żona. - U wielkichdział już maluchy potrafią robić to, czego nie umie całkiem dorosły Figiel!

- To, co jest napisane, trwa nawet po śmierci człowieka! - Rozbój machał ołówkiem, jakby odganiał złe duchy. - Nie powiesz mi, że to w porządku.

- Ach, więc ty po prostu boisz się liter, prawda? - Joanna starannie wymawiała słowa.
- Jeśli tak, dobrze, dam ci spokój. Wszyscy duzi mężczyźni to w rzeczywistości tchórze. Zabierz mu ołówek, Jasiu. Nie możemy prosić, by zmierzył się ze swymi lękami.

W kopcu zapanowała całkowita cisza, gdy Głupi Jaś wyjmował ołówek z rąk swego brata. Wszystkie oczy zwrócone były na Rozbója. Jego dłoń zaciskała się i otwierała nerwowo. Wpatrywał się w pustą kartkę, oddychając ciężko. Nagle wysunął brodę do przodu.

- Twarda z ciebie kobieta, Joanno Mik Figiel! – powiedział wreszcie. Klasnął w dłonie i wyrwał ołówek z rąk Głupiego Jasia. - Daj mi to narzędzie tortur! Litery nie poznają, kto w nie wymierzył.

- Oto mój dzielny chłopak! - wykrzyknęła jego żona, gdy Rozbój pochylił się nad papierem. - Zaczynamy więc. Pierwsza litera to R. Ta, która wygląda niczym maszerujący grubas, pamiętasz?

Zebrane praludki obserwowały, jak Rozbój, solidnie postępując, z wystawionym językiem, ciągnął ołówek po zakrętach i liniach liter. Po ukończeniu każdej z nich spoglądał w oczekiwaniu na wodzę.

- Znakomicie - powiedziała wreszcie. - Pięknie!

Rozbój zrobił krok w tył i krytycznie przyjrzał się kartce papieru.

- To wszystko? - zapytał.

- Tak. Napisałeś swoje własne imię!

Rozbój znowu popatrzył na litery.

- Czy teraz mnie wezmą do więzienia? - zapytał.

Spoza Joanny doszło go grzeczne kasznięcie. Dźwięk ten wydał ropuch. Nie miał żadnego imienia, ponieważ ropuchy nie przepadają za imionami. Mimo wysiłków złowieszczych sił, które kazały ludziom myśleć inaczej, żadna ropucha nie została nazwana na przykład ropucha Roland. To się po prostu nie zdarza.

Ropuch był kiedyś prawnikiem (ludzkim, ropuchy się obywają bez prawników) i został przemieniony w ropucha przez dobrą wróżkę, która zamierzała zmienić go w żabę, ale trochę się jej pokreśliło. Teraz mieszkał w kopcu Figli, pożywiając się glistami i pomagając praludkom w sprawach wymagających głębszego namysłu.

- Mówiłem już panu, że samo zapisanie pańskiego imienia nie stanowi żadnego problemu - oświadczył teraz. - Nie ma nic nielegalnego w słowie „rozbój”. Chyba że - tu ropuch roześmiał się sucho, jak to mają w zwyczaju prawnicy - oznaczałoby czyn.

Żaden z Figli się nie roześmiał. Lubili, gdy żarty są nieco, no, śmieszniejsze.

Rozbój wpatrywał się w swoje bardzo chybotliwe pisanie.

- To moje imię? - zapytał.

- Zdecydowanie tak, panie Rozbój.

- I nic złego się nie dzieje - zauważył Rozbój. Przyjrzał się bliżej literom. - A skąd wiadomo, że to jest moje imię?

- A, ta część nazywa się czytaniem - wyjaśniła Joanna.

- Czy wtedy litery tworzą dźwięki w twojej głowie? - dopytywał się Rozbój.

- To deser - odezwał się ropuch. - Ale uważamy, że wolałbyś zacząć od bardziej fizycznych aspektów procedury.

- Czy nie mógłbym nauczyć się samego pisania, a czytanie zostawić dla kogoś innego? - zapytał Rozbój głosem, w którym nie było nadziei.

- Nie, mój mężczyzna musi umieć jedno i drugie - powiedziała Joanna, składając przed sobą ręce. A kiedy Figiel żeńskiego rodzaju robi coś takiego, to znaczy, że nie pozostaje nic więcej, jak tylko się poddać.

- To okropne dla mężczyzny, gdy jego kobieta nasyla na niego ropucha - powiedział Rozbój, potrząsając głową. Ale gdy powrócił wzrokiem do zapisanego skrawka papieru, na jego twarzy pojawiło się coś na kształt dumy. - I co, nadal jest tam moje imię, czyż nie? - zapytał z uśmiechem.

Joanna skinęła głową.

- Ot tak po prostu, nie na liście gończym ani czymś w tym stylu. Moje imię zapisane przeze mnie.

- Tak, Rozbój - jeszcze raz potwierdziła młoda wodza.

- Moje imię moją ręką. I żaden drań nie może nic z tym zrobić, prawda? Czy moje imię jest całkiem bezpieczne?

Joanna spojrzała na ropucha, który wzruszył ramionami. Ci, którzy znali Fik Mik Figle, wiedzieli, że mózgów używają u nich dziewczyny.

- Mężczyzna jest prawdziwym mężczyzną, kiedy jego własne imię znajduje się tam, gdzie nikt inny nie może go tknąć - wygłosił Rozbój. - To poważna magia i...

- R jest napisane odwrotnie i zapomniałeś o „b” - przerwała mu Joanna, ponieważ rolę żony jest powstrzymać męża, któremu grozi pęknięcie z dumy.

- Kobieto, przecież nie wiedziałem, w którą stronę maszeruje ten grubas! - Rozbój machnął lekceważąco ręką. - Nie należy ufać grubasom. Takie rzeczy po prostu się wie, jeśli ma się naturalną skłonność do pisania. Jednego dnia facet może iść w jedną stronę, a drugiego w przeciwną.

Uśmiechnął się promiennie, spoglądając na swoje imię:

Rozój

Joanna westchnęła. Dorastała wśród siedmiuset braci i wiedziała, jak i dokąd prowadzi ich myślenie. Zazwyczaj było bardzo prędkie i wiodło w bardzo złym kierunku. A jeśli nie potrafili nagiąć myśli do świata, naginali świat do myśli. Matka mówiła jej, że zazwyczaj nie warto z nimi dyskutować.

Prawdę mówiąc, w klanie znad Długiego Jeziora tylko kilka Figli umiało biegle czytać i pisać. Uważano ich zresztą za odmieńców, dziwaków. Ostatecznie do czego ta umiejętność niby miała służyć, kiedy już się rano wstało z łóżka? Nie trzeba znać liter, by mocować się z pstrągiem, zaatakować królika czy upić się. Wiatru nie da się przeczytać, a na wodzie pisać nie można.

Ale to, co zostało zapisane, trwało. W ten sposób słyszano głosy tych Figli, którzy dawno już zmarli, a byli za swego życia świadkami dziwnych wydarzeń lub poczynili niezwykle odkrycia. Nową umiejętność nabywali ci, którzy się jej nie bali. Klanu Długiego Jeziora nie przejmowała groźba. A Joanna chciała dać swemu nowemu klanowi to co najlepsze.

Bycie młodą wodzą nie jest wcale łatwe. Zjawiasz się w nieznaną rodzinę, a towarzyszy ci tylko kilku braci, bierzesz ślub i w ten sposób masz nagle parę setek szwagrów. Gdyby się nad tym zacząć zastanawiać, można by stracić głowę. W czasach gdy mieszkała na wyspie na Długim Jeziorze, mogła przynajmniej porozmawiać z matką, ale wodza nigdy nie wraca do domu.

Wodza jest samotna, ma do towarzystwa tylko kilku braci - opiekunów.

Joanna tęskniła za domem, bała się przyszłości i dlatego mogła się pomylić...

- Rozbój!

Przez fałszywą króliczą dziurę, która stanowiła wejście do kopca, wpychali się Hamisz z Dużym Janem.

Rozbój popatrzył na nich gniewnie.

- Jesteśmy zajęci litera... kością - oświadczył.

- Oczywiście, Rozbój, ale pilnowaliśmy dużej ciutwiedźmy, że by wyjechała bezpiecznie, tak jak powiedziałeś, i zobaczyliśmy, że podąża za nią współzycz! - wyrzucił z siebie Hamisz.

- Jesteś pewien? - Rozbój wypuścił ołówek z rąk. - Nigdy nie słyszałem, by któryś z nich się pojawił w tym świecie!

- A jednak - potwierdził Duży Jan. - Od jego brzeczzenia aż mnie rozboleły zęby!

- Więc dlaczego jej nie powiedziałeś, durniu? - zapytał Rozbój.

- Ona podróżuje w towarzystwie - powiedział Duży Jan. - Jest z nią ta wykształcona wiedźma.

- Panna Tyk? - zapytał ropuch.

- Tak, ta z buźką jak mleczny budyń - potwierdził Jan. - I mówiłeś, że mamy się nie pokazywać.

- No tak, ale w tej sytuacji... - zaczął Rozbój i zamilkł.

Nie był nazbyt długo mężem, lecz po ślubie mężczyzna wykształca w mózgu dodatkowe zmysły i jeden z nich właśnie go ostrzegał, że wdepnął w kłopoty, i to głęboko.

Joanna postukiwała rytmicznie stopą o podłogę. Ramiona miała wciąż złożone przed sobą. I uśmiechała się leciutko. Takiego uśmiechu uczą się kobiety po ślubie i oznacza on: „O tak. Wdepnąłeś głęboko w kłopoty, ale pozwolę ci zanurzyć się w nich jeszcze głębiej”.

- Czy mówicie coś na temat tej dużej ciutwiedźmy? - zapytała głosem cichym i potulnym, niczym mysz wytrenowana w Szkole Skrytobójców dla Gryzoni.

- Och, no wiesz, ja tylko... - Rozbój poszarzał na twarzy. - Nie pamiętasz jej, kochanie? Gościła na naszym weselu. Była naszą wodzą przez dzień czy dwa, opowiadałem ci o tym. Nasza stara wodza kazała ją zaprzysiąc, po tym jak odeszła do Ostatniego Świata - dodał na wypadek, gdyby przypomnienie życzenia starej wodzy mogło powstrzymać nadchodzący sztorm. - Lepiej mieć na nią oko, no wiesz, jest tutejszą czarownicą i...

To, co malowało się na twarzy Joanny, zmroziło mu głos w gardle.

- Prawdziwa wodza musi poślubić Wielkiego Człowieka - padły lodowate słowa. - Tak jak ja poślubiłam ciebie, Rozbójcu Figlu. Czy nie jestem dobrą żoną?

- Świetną, naprawdę świetną - wyrzucił z siebie Rozbój. - Ale...

- Nie możesz poślubić dwóch żon, ponieważ to by była bigamia, czy się mylę? - Głos Joanny brzmiał niebezpiecznie słodko.

- To nie było nic tak poważnego. - Rozbój rozpaczliwie się rozglądał, szukając drogi ucieczki. - I tylko czasowo, to przecież zwykła dziewczynka, z tym że potrafiła myśleć.

- Ja także potrafię myśleć, Rozbójcu, i jestem wodzą tego klanu, czyż nie? Wodza może być tylko jedna, prawda? I ja myślę, że nie będziesz więcej ganiał za tą dużą ciutdziewuchą. Powinieneś się wstydzić. Jestem pewna, że ona też by nie chciała, żeby ktoś taki jak Duży Jan szpiegował ją przez cały czas.

Rozbój zwiesił głowę.

- No tak... ale...

- Ale co?

- Współłycz ściga tę biedną ciutdziewczynę.

Przez długą chwilę panowała cisza, wreszcie Joanna zapytała:

- Jesteś tego pewien?

- Tak, wodzo - odparł Duży Jan. - Jeśli ktoś raz słyszał to buczenie, nigdy go już nie zapomni.

Joanna zagryzła wargę. Wreszcie podniosła na nich wyraźnie pobladłą twarz i zapytała:

- Mówiłeś, że będzie z niej potężna czarownica, Rozbóju, prawda?

- Tak, ale nikt nigdy nie umknął przed współłyczem! Nie można go zabić ani zatrzymać, ani...

- Ale czy nie opowiadałeś mi, jak ta wielka ciutdziewczyna walczyła z Królową i ją zwyciężyła? Załatwiła ją za pomocą patelni, tak mówiłeś. A to chyba oznacza, że jest naprawdę dobra? Jeśli jest prawdziwą czarownicą, poradzi sobie sama. Każda z nas musi sama dźwigać swój krzyż. Ona też musi się zmierzyć z tym, co ją czeka. Jeśli sobie nie poradzi, nie jest prawdziwą czarownicą.

- No tak, ale współłycz jest gorszy niż...

- Pojechała, by nauczyć się czarowania od innych wiedźm - oświadczyła Joanna. - A ja muszę się nauczyć, jak być wodzą całkiem sama. Pozostaje ci mieć nadzieję, że ona będzie się uczyć równie szybko jak ja, Rozbóju.



ROZDZIAŁ DRUGI

DWIEKOSZULE I DWA NOSY

Dwiekoszule było tylko miejscem, gdzie droga zmieniała kierunek, które posiadało nazwę. Nie było tam nic poza karczmą dla dylżansów, kuźnią i sklepikiem z optymistyczną informacją „Pamiętki” wypisaną na kawałku deski i ustawioną w oknie. To wszystko. W okolicy, oddzielone od tego miejsca przez pola i lasy, znajdowały się zagrody, dla których mieszkańców Dwiekoszule wydawały się duże i ważne. Cały świat pełen jest miejscowości takich jak Dwiekoszule. Miejscowości, z których ludzie przybywają, ale gdzie nikt się nie wybiera.

W tym momencie miejscowość Dwiekoszule przycupnięta dawała się ogrzewać gorącemu popołudniowemu słońcu. Dokładnie na środku drogi leżał stary brązowy spaniel w białe cętki i drzemał w pile drogi.

Dwiekoszule były większe od wioski, z której pochodziła Akwila, a na dodatek dziewczynka nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego jak pamiętki. Weszła do sklepu i wydała pół pensa na małe drewno z wrytymi dwiema koszulami wiszącymi na sznurze oraz na dwie pocztówki z napisem „Widok na Dwiekoszule”, na których widniał sklep z pamiętkami i pies niezwykle podobny do tego, który spał teraz na słońcu. Niska staruszka, która stała za ladą i zwracała się do Akwili per „młoda damo”, powiedziała jej, że w miejscowości jest znacznie gwarniej w drugiej połowie roku, kiedy przybywają tu ludzie nawet z zabudowań odległych o milę, by brać udział w Festiwalu Ugniatania Kapusty.

Gdy dziewczynka wyszła ze sklepu, ujrzała pannę Tyk stojącą nad śpiącym psem i wpatrującą się ze zmarszczonym czołem w kierunku, z którego przybyły.

- Czy coś się stało? - zapytała Akwila.

- Co? - Panna Tyk wyglądała tak, jakby zapomniała o obecności dziewczynki. - O... nie. Ja tylko... myślałam... posłuchaj, może byśmy poszły coś zjeść.

Przez chwilę wydawało się, że w gospodzie nie ma żywej duszy, ale panna Tyk zawędrowała do kuchni i znalazła tam kobietę, która obiecała im kilka maślanych bułek i herbatę. Kobieta sama była zdziwiona swoimi słowami, bo wcześniej nie zamierzała niczego podawać, tak się składało, że był to jej wolny dzień aż do przyjazdu powozu, ale panna Tyk umiała pytania zadawać w ten sposób, by otrzymywać odpowiedzi, których sobie życzyła.

Czarownica poprosiła także o jedno świeże nie gotowane jajko w skorupce. Wiedźmy też nie najgorzej sobie radzą z prośbami, na które druga osoba nie odpowie pytaniem „dlaczego”.

Usiadły na ławeczce przed gospodą i tam spożyły w słońcu swój posiłek. Dopiero wtedy Akwila wyciągnęła pamiętnik.

Nie ten, który trzymała w mleczarni, gdzie notowała wszystko, co dotyczyło produkcji sera i masła. Ten był osobisty. Kupiła go u obwoźnego sprzedawcy, bardzo tanio, ponieważ daty dotyczyły ubiegłego roku. Ale przecież liczba dni się nie zmieniła.

Pamiętnik miał mały mosiężny zameczek ze skórzaną kłapką. I zamykający ten zameczek małeńki kluczyk. Właśnie on zachwycił Akwilę. W pewnym wieku dostrzega się wagę rzeczy małych.

Teraz zapisała w nim „Dwiekoszule”, a po dłuższym zastanowieniu dodała: „miejsce, w którym droga zmienia kierunek”.

Panna Tyk wciąż wpatrywała się wstecz.

- Panno Tyk, czy coś jest nie tak? - zapytała jeszcze raz Akwila, podnosząc na nią wzrok.

- Nie... jestem pewna. Czy ktoś się nam przygląda?

Akwila rozejrzała się. Dwiekoszule drzemały w słońcu. Nikt na nią ani na pannę Tyk nie patrzył.

- Nie, panno Tyk.

Nauczycielka ściągnęła kapelusz, wyjęła z niego kilka drewników i szpulkę z czarną nicią. Podwinęła rękawy, rozejrzała się wokoło na wypadek, gdyby w Dwóchkoszulach ekspresowo wykiełkowała zwiększona populacja, urwała dobry kawałek nici i uniosła jajko w górę.

Jajko, nic i palce przez chwilę były jakby nieostre, a po paru sekundach jajko zwiisało z dłoni panny Tyk na czarnej nitce.

Akwila była pod wrażeniem.

Ale panna Tyk jeszcze nie skończyła. Zaczęła wyciągać różne rzeczy z kieszeni, a czarownice zazwyczaj posiadają wiele kieszeni. Paciorki, kilka piórek, okulary i jeden czy dwa paski kolorowego papieru, wszystko to splątane wełnianymi i bawełnianymi niciami.

- Co to jest? - zapytała Akwila.

- Chaos.

- Czy to magia?

- Niezupełnie. Raczej sztuczka - odpowiedziała panna Tyk.

Podniosła lewą dłoń. Piórka, paciorki, jajko i cały kieszonkowy bałagan zawirował w sieci utworzonej przez wielobarwne nici.

- Hm - mruknęła. - No to zobaczmy, co tu się da zobaczyć...

Wepchnęła palce prawej dłoni pomiędzy sieć i pociągnęła...

Jajko, szkiełko, koraliki i piórka tańczyły, Akwila dałaby głowę, że w pewnym momencie jedna nitka przecięła drugą.

- Och! - wyszeptała. - To jak kocia kołyska!

- Bawiłaś się w to, prawda? - rzuciła panna Tyk tylko trochę skoncentrowana na chaosie.

- Potrafię zrobić wszystkie normalne figury – powiedziała Akwila. - Klejnoty, kołyskę, dom i stado, i trzy staruszki, jedna zezowata, niosąca kosz ryb na rynek, gdzie spotyka osła... chociaż do tego potrzeba dwóch osób i robiłam to tylko raz, a Ela Dwarzez podrapała się w nos w nieodpowiednim momencie i musiałam przynieść nożyczki, żeby odciąć jej...

Palce panny Tyk pracowały jak krosna.

- To zabawne, że dzieci się w to teraz bawią - mruknęła i dodała, wpatrując się w skomplikowaną pajęczynę, którą uplotła:

- Aha...

- Czy coś pani widzi? - zapytała Akwila.

- A czy pozwolisz mi się skoncentrować, dziecko? Dziękuję...

Śpiący na drodze pies ziewnął i przeciągając się, stanął na nogi. Podeszedł do ławki, na której siedziały, spojrzał na Akwilę z wyrzutem, po czym ułożył się u jej stóp. Pachniał starym wilgotnym dywanem.

- Widzę... coś... - powiedziała panna Tyk bardzo cicho.

Akwila poczuła, jak ciśnienie dociska ją do ziemi, pcha ją w i w dół. Panna Tyk zamarła w przerażonym bezruchu.

Tylko nici poruszały się, całkiem samodzielnie. Jajko tańczyło, szkło wysyłało na wszystkie strony błyski, a koraliki ślizgały się i przeskakiwały z jednej nitki na drugą...

Jajko się rozprysło.

Na podwórze wjechał dyliżans.

Zjawił się w chmurze dymu, hałasu i stukotu kopyt, przywożąc ze sobą świat. Na chwilę znikło słońce. Otworzyły się drzwi. Zadzwończyły uprząże. Konie parowały. Spaniel podniósł się, z nadzieją machając ogonem.

Cisnienie opadło, ale nie do końca.

Panna Tyk wyciągnęła chusteczkę i zaczęła wycierać jajko z sukienki. Pozostałe przedmioty dziwnie szybko zniknęły w czeluściach jej kieszeni.

Uśmiechnęła się do Akwili, a potem powiedziała, nie zmieniając w ogóle wyrazu twarzy, co wyglądało nieco obląkańczo:

- Nie podnoś się, nic nie rób, po prostu siedź cichutko jak myszka.

Akwila nie była w stanie robić nic poza siedzeniem bez ruchu. Czula się jak obudzona z koszmaru.

Bogatsi pasażerowie wysiadali z dyliżansu, biedniejsi schodzili z dachu. Prostowali nogi, podskakując i wznecając tumany pyłu, za którym znikali, ruszając przed siebie drogą.

- A teraz - powiedziała panna Tyk, kiedy drzwi oberży zamknęły się z hukiem - my wybierzemy się na... spacer. Widzisz ten zagajnik? To nasz cel. A kiedy pan Zrzedzian, woźnica, zobaczy jutro twojego ojca, powie mu, że wysadził cię tuż przed przyjazdem dyliżansu i... i... wszyscy będą zadowoleni, a nikt nie będzie musiał kłamać. To bardzo ważne.

- Panno Tyk? - odezwała się Akwila, sięgając po torbę.

- Tak?

- Co się właśnie wydarzyło?

- Nie wiem - odparła wiedźma. - Czy dobrze się czujesz?

- No... tak. Ma pani kawałek żółtka na kapeluszu.

I zachowuje się pani podejrzanie nerwowo, myślała Akwila. A to ją poważnie martwiło.

- Przykro mi z powodu pani sukienki - dodała.

- Przechodziła już gorsze rzeczy - odparta panna Tyk. - Idziemy.

- Panno Tyk - spróbowała znowu Akwila, gdy odeszły kilka kroków.

- Tak?

- Pani się bardzo zaniepokoiła. Jeśli powie mi pani dlaczego, podzielimy to między siebie, co oznacza tylko połowę niepokoju dla każdej z nas.

Panna Tyk westchnęła.

- To prawdopodobnie nic takiego.

- Przecież jajko wybuchło!

- Tak. No cóż. Bo widzisz, chaos można wykorzystać jako prosty detektor i wzmacniacz pola magicznego. To bardzo proste urządzenie, ale bardzo przydatne w stanach zamieszania. Wydaje mi się... że zrobiłam coś nie tak. Czasami trafia się też na przypadkowy ładunek magii.

- Badała to pani, ponieważ coś panią zaniepokoiło - powiedziała Akwila.

- Zaniepokoiło? Ależ skąd. Nigdy się nie niepokoję - zachnęła się panna Tyk. - Jeśli jednak już poruszyłaś ten temat, to rzeczywiście coś wywołało mój niepokój. I myślę, że to coś znajdowało się blisko.

Ale prawdopodobnie nie ma to znaczenia. Już się czuję dużo lepiej.

Wcale nie wygląda pani na uspokojoną, pomyślała Akwila. A ja się myliłam. Dwie osoby oznaczają podwójny niepokój. Oczywiście całkowicie przeciwnie miałyby się rzecz z pokojem.

Z pewnością jednak Dwiekoszule nie miały w sobie niczego magicznego. To było tylko miejsce, w którym droga zmieniała kierunek.

* * *

Dwadzieścia minut później pasażerowie wyszli z gospody i wsiedli do powozu. Woźnica zauważył, że konie są wciąż bardzo spocone, wydawało mu się też, że słyszy brzęczenie much, nie wiedział tylko, czemu ich nie widzi.

Psa, który wcześniej wylegiwał się na drodze, znaleziono jakiś czas potem skulonego i skomlącego w jakimś kącie stajni.

Panna Tyk i Akwila zmieniały się przy niesieniu bagażu. Droga do lasu zabrała im mniej więcej pół godziny. Nie był to jakiś specjalny las, głównie składał się z buków, ale gdy się wie, że buki wytwarzają truciznę, która spada na ziemię, dzięki czemu pod drzewami jest podejrzenie czysto, można być pewnym, że ich drewno nie jest znowu takie zwyczajne.

Usiadły na pniu i czekały na zachód słońca. Panna Tyk wyjaśniała Akwili, co robiła z paciorkami, nitkami i chaosem.

- Więc one nie są zaczarowane? - dopytywała się Akwila.

- Nie, ale dzięki nim można czarować.

- To tak jak z okularami, które pozwalają widzieć, ale same nie widzą?

- Dobre porównanie. Czy teleskop jest magiczny? Z całą pewnością nie. To tylko rura i szkło, ale możesz dzięki niemu policzyć, ile smoków tańczy na księżycu. Podobnie... używałaś kiedyś łuku? Nie, raczej nie. Ale chaos działa podobnie jak łuk. Na łuk przenosi się siła mięśni, z którą łucznik naciąga strzałę, i ta siła potem przenosi strzałę dużo dalej, niż łucznik potrafiłby ją rzucić. A chaos możesz stworzyć ze wszystkiego, byle tylko wyglądał.. jak trzeba.

- I wtedy można stwierdzić, czy dzieje się coś magicznego?

- Tak, do tego właśnie służy. A jeśli ma się wprawę w używaniu go, pomaga również w samej magii, bo dzięki niemu można się dokładnie skupić na zadaniu. Daje się go też wykorzystać jako ochronę, taką siatkę, przez którą nie przeniknie żadne zaklęcie, możesz też za pomocą niego wysłać czar lub... wiesz, to tak jakbyś używała scyzoryka, który ma różne ostrza, pilniczek, korkociąg i wykałaczkę. Chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, by któraś wiedźma wykorzystywała chaos do dłubania w zębach, cha, cha! Każda młoda czarownica uczy się, jak stworzyć chaos. Panna Libella pomoże ci.

Akwila rozglądała się po lesie. Cienie się wydłużały, ale nie wywoływały w niej lęku. Skrawki nauk panny Tyk błękały się po jej głowie: Zawsze stawaj twarzą w twarz ze swym lękiem. Staraj się mieć tyle pieniędzy, ile ci trzeba, nigdy za wiele. I kawałek sznurka. Nawet jeśli coś się stało nie z twojej winy, ty ponosisz odpowiedzialność. Wiedźmy załatwiają różne sprawy. Nigdy nie stawaj pomiędzy dwoma lustrami. Nie jazgocz. Czyń swoją powinność. Nie kłam, ale nie zawsze musisz być całkiem prawdomówna. Nie wypowiadaj życzeń ani na głos, ani w duszy. A zwłaszcza gdy spoglądasz w gwiazdy, bo to wyjątkowo głupie. Otwórz oczy, a potem jeszcze raz otwórz oczy.

- Czy panna Libella ma długie siwe włosy? - zapytała teraz dziewczynka.

- Tak.

- Czy jest wysoką damą, z lekką nadwagą, obwieszoną łańcuszkami? - pytała dalej. - I czy na jednym łańcuszku wiszą okulary? I chodzi w butach na zadziwiająco wysokich obcasach?

Panna Tyk nie była głupia. Rozejrzała się.

- Gdzie ona jest? - zapytała.

- Stoi tam za drzewem - odparła Akwila.

Mimo tej informacji panna Tyk musiała zmrużyć oczy, by ją dostrzec. Akwila już jakiś czas temu zauważyła, że wiedźmy wypełniają przestrzeń. Choć trudno powiedzieć, dlaczego tak się dzieje, wydają się bardziej realne niż wszystko, co je otacza. Bardziej je po prostu widać. Ale kiedy nie chcą być widziane, zadziwiająco, jak trudno je zobaczyć. Nie

chowają się, nie używają magii, by zniknąć, chociaż nieraz tak by się mogło zdawać, ale gdyby ktoś miał opisać dane miejsce, mógłby przysiąc, że żadnej czarownicy tam nie było.

- No tak, doskonale - oświadczyła panna Tyk. – Ciekawa byłam, kiedy ją dostrzeżesz.
Akurat! - pomyślała sobie Akwila.

Panna Libella stawiała się coraz bardziej realna, idąc w ich stronę. Ubrana była cała na czarno i idąc, pobrzękiwała leciutko z powodu całej tej czarnej biżuterii, która na niej wisiała. Miała też okulary, co Akwili wydało się dziwne w przypadku wiedźmy. Panna Libella przypominała dziewczynce zadowoloną z siebie kurę. I miała dwie ręce, całkiem normalnie.

- Witaj, panno Tyk - powiedziała. - A ty z pewnością jesteś Akwilą Dokuczliwą.

Akwila wiedziała, że należy się pokłonić (czarownice z reguły nie dygają, chyba że chcą speszzyć Rolanda).

- Przepraszam cię, Akwilo, ale chciałabym zamienić z panną Libellą słówko na osobności, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza - odezwała się dość górnolotnie panna Tyk.
- Starszyzna ma swoje sprawy.

Akurat! - znowu pomyślała Akwila, tym razem ponieważ jej się słówko spodobało.

- Przejdę się więc, żeby popatrzeć na drzewa, dobrze? - zapytała, mając nadzieję, że brzmi to wystarczająco sarkastycznie.

- Na twoim miejscu skorzystałabym z krzaków, kochanie! - zawołała za nią panna Libella. - Nie chciałabym się zatrzymywać, kiedy będziemy już w locie.

Rzeczywiście, kilka kęp ostrokrzewu tworzyło wspaniały parawan, ale Akwila uznała, że nikt nie będzie do niej przemawiał jak do dziesięciolatki, lepiej już niech pęcherz jej pęknie.

Pokonałam Królową z Krainy Baśni, rozmyślała, spacerując po lesie. To nic, że nie jestem już nawet pewna jak, ponieważ wszystko wydaje się dziś snem, ale zrobiłam to!

Sposób, w jaki została odesłana, ją rozgniewał. Odrobina szacunku by nie zaszkodziła, prawda? Tak właśnie mówiła stara wiedźma Weatherwax: Ja okażę ci szacunek, jeśli ty z kolei okażesz szacunek mnie”. Panna Weatherwax, wiedźma, jaką wszystkie inne w skrytości pragnęły być, okazała mi szacunek, więc można by pomyśleć, że pozostałe też postarają się nieco.

- Zobacz mnie - powiedziała Akwila.

...i wyszła z siebie. Jako niewidzialny duch zawróciła w stronę panny Tyk i panny Libelli. Nie patrzyła pod nogi z lęku, że nie zobaczy tam swoich stóp. Kiedy obejrzała się na swoje ciało, stało spokojnie przy ostrokrzewach na tyle daleko, by nie słyszeć niczych rozmów.

Podkraǳła się bliżej polanki.

- ...lecz przedwcześnie rozwinięta, wręcz przerażająco - mówiła właśnie panna Tyk.

- Ojej! Nigdy nie radziłam sobie ze zbyt sprytnymi ludźmi - odparła panna Libella.

- Ale w głębi serca to dobre dziecko - dodała panna Tyk, a to rozgniewało Akwilę bardziej niż „przedwcześnie rozwinięta”.

- Oczywiście, znasz moją sytuację - mówiła panna Libella.

Akwila przysunęła się jeszcze bliżej.

- Tak, moja droga, ale pani osiągnięcia to równoważą - tłumaczyła panna Tyk. - Dlatego panna Weatherwax zaproponowała właśnie panią.

- Obawiam się tylko, że bywam roztargniona. - Panna Libella nie ukrywała swego zmartwienia. - Lot tutaj był dość koszmarny, bo jak gapa zostawiłam moje okulary krótkowidza na drugim nosie...

Na drugim nosie? - powtórzyła w myślach Akwila.

Czarownice w tym samym momencie zamarły.

- Nie mam jajka! - wykrzyknęła panna Tyk.

- Noszę żuka w pudełku po zapalkach, na wypadek takich wyjątkowych sytuacji! - szepnęła panna Libella.

Sięgnęły do kieszeni, by za chwilę wydobyć z nich koraliki, piórka i kolorowe szmatki...

Wiedząc, że tutaj jestem, pomyślała Akwila i wyszeptała: Przestań mnie widzieć!

Kiedy wskakiwała w cierpliwie stojącą przy krzakach postać, jej ciało się zachybotało na piętach. Widziała z odległości, że panna Libella próbuje jak najszybciej stworzyć chaos. Panna Tyk rozglądała się w tym czasie po lesie.

- Akwilo, chodź tu jak najszybciej! - zawołała.

- Już idę, panno Tyk! - Ruszyła w ich stronę jak najgrzeczniejsza dziewczynka.

Odkryły mnie, pomyślała. No cóż, ostatecznie są wiedźmami, choć moim zdaniem niezbyt dobrymi...

I w tej samej chwili poczuła ciśnienie. Wydawało się, że coś zgniata łas, miało się okropne wrażenie, że stoi tuż za tobą. Upadła na kolana, przyciskając dłonie do uszu, okropny ból świdrował jej głowę.

- Gotowe! - wykrzyknęła panna Libella. Trzymała w dłoniach chaos. Był zupełnie inny od chaosu panny Tyk, powstał ze sznurków, piór kruka, lśniących czarnych koralików, a pośrodku wisiało zwyczajne pudełko na zapalki.

Akwila krzyknęła. Ból był jak rozgrzane do czerwoności szpile, uszy wypełniało jej brzęczenie pszczoł.

Pudełko eksplodowało.

A potem była już tylko cisza, śpiewały ptaki i nic, poza spadającymi na ziemię kawałkami pudełka, nie wskazywało, że coś się wydarzyło przed chwilą.

- Ojej! - jęknęła panna Libella. - To był bardzo dobry żuk, oczywiście jak na żuka...

- Akwilo, nic ci się nie stało? - zapytała panna Tyk.

Dziewczynka spoglądała na nią ze zdziwieniem. Ból minął tak szybko, jak nadszedł, pozostawiając tylko zamazane wspomnienie. Podniosła się na nogi.

- Chyba nie, panno Tyk - odparła.

- W takim razie powiedz mi coś, z łaski swojej... - Panna Tyk szła, wymijając drzewa, a wreszcie stanęła przed dziewczynką.

- Słucham, panno Tyk.

- Czy... czy coś zrobiłaś? Coś... wezwałaś?

- Nie! Przecież w ogóle bym nie wiedziała, jak to zrobić!

- To znaczy, że to nie twoi mali ludzie? - W głosie panny Tyk pojawiło się z wątpienie.

- Oni nie są moi. I oni nie robią takich rzeczy. Oni krzyknęliby „Na litość” i zaczęli atakować po kostkach. I nie miałyby pani wątpliwości, że to oni.

- No cóż, cokolwiek to było, najwyraźniej sobie poszło - stwierdziła panna Libella. - I na nas też już czas, inaczej będziemy lecieć po nocy. - Sięgnęła za pień drzewa i wyciągnęła wiązkę różg. A przynajmniej coś, co tak wyglądało. - Mój wynalazek - oświadczyła skromnie.

- Tu na wzgórzach nic nie wiadomo, prawda. A rączka wyskakuje, kiedy się naciśnie ten guzik... O, przepraszam, czasem się tak dzieje. Czy któraś z was widziała, gdzie poleciało?

Trzonek wylądował w krzakach i wbił się w ziemię.

Akwila, która potrafiła słyszeć to, co ludzie mówią naprawdę, przyglądała się teraz uważnie pannie Libelli. Z całą pewnością na jej twarzy widniał tylko jeden nos i wyobrażanie sobie, gdzie mógł znajdować się drugi i do czego był używany, budziło niepokój.

Potem panna Libella wyciągnęła z przepastnej kieszeni linę i podała ją komuś, kogo nie było.

To właśnie zrobiła. Tego Akwila była całkiem pewna. Nie upuściła jej, nie rzuciła, po prostu podała albo powiesiła na niewidzialnym haku. Lina wylądowała na ziemi. Panna Libella spojrzała na nią, potem na przyglądającą się jej dziewczynkę i wybuchnęła nerwowym śmiechem.

- Gapa ze mnie! Myślałam, że tam stoję! Następnym razem zapomnę własnej głowy!

- No cóż... jeśli ma pani na myśli tę, która znajduje się na pani szyi - ostrożnie powiedziała Akwila, nie mogąc przestać myśleć o drugim nosie - to wciąż ją pani ma.

Stara torba została przywiązana tuż koło witek do miotły, która teraz wisiała spokojnie kilka stóp nad ziemią.

- Będzie się na niej dobrze siedziało - stwierdziła panna Libella. Przypominała teraz kłębek nerwów, w jaki zamienia się większość ludzi, którzy czują na sobie spojrzenie Akwili.
- Trzymaj się tu za mną. Tak jak ja zazwyczaj robię.

- Zazwyczaj się pani trzyma tuż za sobą? - zapytała Akwila. - Jak...?

- Akwilo, zawsze zachęcałam cię do zadawania kłopotliwych pytań - wtrąciła się głośno panna Tyk - teraz jednak byłabym szczęśliwa, mogąc cię pochwalić za doskonałe opanowanie sztuki milczenia! Proszę, usiądź za panną Libellą, z pewnością chciałaby ruszyć, póki jeszcze mamy trochę dziennego światła.

Miotła podskoczyła, kiedy tylko właścicielka jej dosiadła. Czarownica poklepała ją zachęcająco.

- Nie masz lęku wysokości, prawda, kochanie? - zapytała, gdy Akwila wdrapała się koło niej.

- Nie - odparła dziewczynka.

- Zobaczmy się na Próbach Czarownic! - krzyknęła jeszcze panna Tyk, gdy miotła zaczęła się lekko unosić. - Uważajcie na siebie!

Już po chwili okazało się, że panna Libella, pytając o lęk wysokości, zadała Akwili niewłaściwe pytanie. Dziewczynka nie bała się niczego co wysokie. Potrafiła spacerować pomiędzy wysokimi drzewami i nawet okiem nie mrugnęła. Spoglądanie na wysokie góry też nie wywoływało żadnych sensacji.

Natomiast bała się (choć nigdy wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy) głębokości. Bała się spadania tak długiego, że zdąży wykrzyczeć sobie płuca, zanim uderzy o skałę tak twardą, że jej ciało zamieni się w coś galaretowatego, a kości połamią na drobne kawałeczki. Tak naprawdę bała się podłoża. I kontaktu z nim. Panna Libella powinna była lepiej precyzować pytanie, zanim je zadała.

Akwila przywarła do pasa czarownicy, nie odrywając wzroku od jej sukni.

- Czy fruwałaś już wcześniej? - zagadnęła panna Libella, gdy nadal się wznosiły.

- Oj! - Tylko tyle wydobyła z siebie Akwila.

- Jeśli masz ochotę, mogę zrobić koło - mówiła dalej panna Libella. - Będziesz miała wspaniały widok na twoją krainę.

Powietrze świstało. Było zimno. Akwila nie odrywała wzroku od ubrania wiedźmy.

- Miałabyś ochotę? - Czarownica podniosła głos, by przekrzyczeć wiatr. - To nie zabierze dużo czasu.

Akwila nie zdążyła odpowiedzieć „nie”, poza tym była pewna, że gdy otworzy usta, skończy się to bardzo niedobrze. Poczuła, jak kij pod nią się przechyla, a wraz z nim cały świat.

Nie chciała patrzeć, ale uświadomiła sobie, że wiedźma jest zawsze ciekawska, wręcz wścibska. Aby zostać wiedźmą, musiała popatrzeć.

Zaryzykowała zerknięcie i zobaczyła pod sobą świat. Czerwono - złota poświata zachodu otulała ziemię. Dwiekoszule kładły wysokie cienie, a dalej za kolejnymi lasami i wioskami dostrzegła zaokrąglony grzbiet Kredy...

...gdzie kredowy Biały Koń lśnił złotem niczym wisior jakiegoś olbrzyma. W gasnącym świetle popołudnia, kiedy cienie wydłużały się i wydłużały, wyglądał jak żywy.

W tym momencie Akwila zapagnęła zeskoczyć z miotły i polecieć tam z powrotem, zamknąć oczy, znaleźć się w domu, stuknąć obcasami i być tam, zrobić cokolwiek...

Nie! Przecież te myśli już udało jej się zdusić, czyż nie? Musiała się uczyć, a na wzgórzach nie było dla niej żadnej nauczycielki!

Ale Kreda była jej światem. Chodziła po niej każdego dnia. Czuła pod stopami jej prastare życie. Czuła tę ziemię w swoich kościach, jak mawiała babcia Dokuczliwa. Ta ziemia była też w jej imieniu, które w starożytnym języku Fik Mik Figli znaczyło wodę, i w wyobraźni potrafiła spacerować po tych głębokich prehistorycznych głębiach, kiedy Kreda powstawała z milionów skorupki stworzeń żyjących w oceanach. Deptała tę ziemię, którą stworzyło życie, oddychała nią, słuchała jej i myślała jej myślami. A teraz patrzeć na ten splachetek, tak małeńki pośród wielkiego świata, wydawało jej się zbyt trudne. Musiała tam wrócić.

Miotła na chwilę zatrzymała się w powietrzu.

Nie! Przecież wiem!

Miotła szarpnęła, Akwili zrobiło się niedobrze, a po chwili już zawracały, kierując się w stronę gór.

- Musiałyśmy wpaść w drobne turbulencje - rzuciła przez ramię panna Libella. - A tak przy okazji, czy panna Tyk przypominała ci o ciepłych wełnianych kałesonach, kochanie?

Akwila jeszcze ciągle nie doszła do siebie. Wykrztusiła coś, co zabrzmiało jednak jak „nie”. Co prawda panna Tyk mówiła jej o kałesonach, podkreśliła nawet, że co wrażliwsze czarownice wkładają po trzy pary, by chronić się przed lodowatym wiatrem, ale dziewczynka całkiem o tym zapomniała.

- Oj, niedobrze! - jęknęła panna Libella. - Lepiej będzie, jeśli polecimy bardzo nisko. Miotła opadła w dół jak kamień.

Akwila nigdy nie zapomniała tego lotu, choć nie można powiedzieć, że nie próbowała. Leciały tuż nad ziemią, która pod jej stopami wyglądała jak zamazana. Za każdym razem kiedy trafiały na płot lub żywopłot, panna Libella przeskakiwała go z okrzykiem: „No to hop!” lub „Hopaj siupaj!”, co miało najprawdopodobniej wprowadzić Akwilę w lepszy nastrój. Nie wprowadziło. Dwa razy zwracała.

Panna Libella leciała z głową pochyloną tak nisko, jak się tylko dało, trzymając ją prawie na poziomie miotły, aby spiczasty kapelusz zajął najbardziej aerodynamiczną pozycję. Był dość pękaty i krótki, zaledwie kilka cali, trochę jak kapelusz klauna, tyle że bez pomponów. Akwila dowiedziała się potem, że wiedźma wybrała taki, by nie musieć go zdejmować, gdy wchodzi do domów o niskich powalach.

Po chwili - z punktu widzenia Akwili była to wieczność - zostawiły za sobą pola uprawne i zaczęły manewrować między wzgórzami. Po jakimś czasie zalesione pagórki też zostawiły z tyłu i teraz leciały ponad bystrzymi nurtami białej szerokiej rzeki usianej kamiennymi głazami. Woda pryskała im na buty.

- Mogłabyś się odchylić nieco w tył - doszedł ją głos starszej wiedźmy. - To trochę niebezpieczne!

Akwila zaryzykowała jedno zerknięcie nad ramieniem czarownicy i aż jej dech zaparło.

Na Kredzie nie było zbyt wiele wody, poza niewielkimi strumykami, które ludzie tam nazywali potokami. Spływały ze wzgórz na wiosnę, a latem wysychały. Wielkie rzeki otaczały Kredę, ale toczyły swe wody powoli i spokojnie.

A woda przed nimi nie była ani powolna, ani łagodna. Spadała pionowo.

Rzeka wznosiła się aż po ciemnobłękitne niebo, sięgała do gwiazd. Miotła ruszyła wzdłuż niej.

Akwila odsunęła się do tyłu i zaczęła krzyczeć, nie przestała aż do chwili, gdy znalazły się ponad wodospadem. Słowo to oczywiście знаła, ale słowo nie było ani takie wielkie, ani takie mokre, a przede wszystkim nie było takie głośne.

Wszechobecny pył wodny przemoczył ją do nitki. Hałas wdierał się w jej uszy. Trzymała się kurczowo pasa panny Libelli, kiedy przedzierały się przez ten grzmot i powietrze, które też było wodą, i czuła, że jeszcze chwila, a nie da rady...

...potem nagle wyleciała do przodu, hałas wodospadu został gdzieś z tyłu, a miotła, znowu poruszająca się raczej wzdłuż niż pod, przyspieszyła ponad powierzchnią wody, która choć nadal podskakiwała i gulgotała, miała jednak na tyle przyzwoitości, by robić to na ziemi.

Wysoko ponad głową Akwila zobaczyła most. Rzekę po obu stronach obejmowały ściany zimnej skały, ale stawały się coraz niższe, rzeka coraz spokojniejsza, a powietrze coraz cieplejsze, wreszcie miotła prześlizgnęła się po spokojnej tafli jeziora, które najprawdopodobniej wcale się nie spodziewało, co się z nim stanie. Srebrna ryba umknęła, widząc ich cień na powierzchni.

Następnie panna Libella skręciła znowu w stronę pól, mniejszych, ale też bardziej zielonych od tych, które Akwila zostawiła w domu. Znowu pojawiły się drzewa, a nawet lasy porastające głębokie doliny. Ponieważ jednak nawet wspomnienie słońca schowało się już za horyzont, ziemia pogąrzyła się w ciemnościach.

Akwila musiała przysnąć, kurczowo trzymając się wiedzy, bo nagle obudziło ją zatrzymanie się miotły. Ziemia była kawałek pod nimi, ale ktoś ustawił krąg z czegoś, co okazało się ogarkami świeczek w starych słojach.

Delikatnie, powoli się obracając, miotła opadała, aż wreszcie wylądowała na trawie.

Dopiero w tym momencie Akwila zdecydowała się rozplątać nogi i upadła.

- No, no, wstajemy - pogoniła ją pogodnie panna Libella. - Poradziłaś sobie bardzo dobrze.

- Przepraszam, że krzyczałam i że było mi niedobrze... - wydusiła z siebie dziewczynka, potykając się o jeden ze słoików i wykopując z niego świeczkę. Usiłowała coś dostrzec w otaczających ją ciemnościach, ale kręciło jej się w głowie. - Kto zapalił te świeczki, panno Libello?

- Ja. Chodźmy do środka, robi się zimno...

- Magia jest wspaniała - stwierdziła Akwila, która nadal czuła się niezbyt przytomnie.

- No cóż, można to zrobić za pomocą magii - parsknęła śmiechem panna Libella. - Ja jednak wolę zapalki, które wymagają znacznie mniej wysiłku, zresztą same w sobie są magiczne, gdy już o tym pomyśleć. - Odwiązała torbę od kija szczotki i dodała: - Jesteśmy. Mam nadzieję, że będzie ci się tu podobało!

Znowu ta dziwna wesołość. Akwila, choć wciąż było jej niedobrze i kręciło jej się w głowie, i marzyła tylko o tym, by znaleźć się jak najszybciej w odosobnieniu, wciąż jednak miała działające uszy i mózg, i choćby nie wiem jak próbowała, nie potrafiła nie myśleć. A nie dawała jej spokoju myśl: Ta wesołość się siepie. Coś się w niej nie zgadza...



ROZDZIAŁ TRZECI

TYLKO JEDEN UMYŚŁ

Zapadł już zmrok, więc Akwila niewiele widziała, ale dostrzegła zarysy domku. Otaczał go jabłoniowy sad. Coś, co zwiisało z gałęzi, musnęło ją, gdy posuwała się niepewnym krokiem za panną Libellą. I odskoczyło, wydając z siebie dźwięk dzwoneczka. Z oddali dochodził jednostajny huk.

Panna Libella otworzyła drzwi. Prowadziły wprost do niewielkiej, jasno oświetlonej i niezwykle czystej kuchni. W żelaznym piecyku wesoło płonął ogień.

- Hm... ponieważ mam być kimś w rodzaju terminatora - odezwała się Akwila, która nadal nie doszła do siebie po locie - przygotuję coś do picia, jeśli tylko pokaże mi pani, gdzie co jest...

- Nie! - wykrzyknęła panna Libella, podnosząc obie dłonie. Okrzyk najwyraźniej ją samą przestraszył, bo gdy opuszczała ręce, dygotała. - Nie... nawet by mi to przez myśl nie przeszło - odezwała się już normalniejszym głosem i spróbowała się uśmiechnąć. - Masz za sobą długi dzień. Pokażę ci twój pokój i gdzie jest łazienka, a potem przyniosę ci trochę gulaszu. Terminowanie możemy zacząć od jutra. Nie ma pośpiechu.

Akwila spojrzała na garnek z gulaszem, który pyркаł sobie smakowicie na kuchni, a potem na bochenek na stole. Zapach wyraźnie mówił, że jest to świeżo upieczony chleb.

Kłopot Akwili polegał na tym, że jej myślenie było trzeciego stopnia*.

Myślała więc: jeśli panna Libella mieszka samotnie, w takim razie kto rozpałił ogień? Gulasz w garnku trzeba od czasu do czasu zamieszać. Kto to robił? I ktoś zapalił świece. Kto?

- Panno Libello, czy ktoś jeszcze tutaj mieszka? - zapytała.

* Pierwsze myśli są myślami codziennymi. Każdy je ma. Drugie myśli są myślami stawiającymi w wątpliwość sposób, w jaki się myśli. Tak myślą ci, dla których myślenie jest radością. Myślenie trzeciego stopnia osiąga niewiele, tylko ci, którzy potrafią przyglądać się światu i wyciągać wnioski z tego, co widzą. Ich myśli są rozumne. Takich ludzi spotyka się rzadko i często bywają niewygodni. Słuchanie ich należy do zajęć czarownic.

Wiedźma popatrzyła z rozpaczą na garnek, na chleb, a potem z powrotem na Akwilę.

- Nie, tylko ja - wyszeptała, a Akwila z jakiegoś powodu była pewna, że mówi prawdę. W każdym razie jakąś prawdę. - Rano, dobrze? - zapytała panna Libella prawie prosząco.

Wyglądała tak żałośnie, że Akwili aż zrobiło się jej żal. Uśmiechnęła się więc i powiedziała tylko:

- Oczywiście.

Potem wyruszyły na krótką wycieczkę przy świetle świecy. Niedaleko domku znajdowała się wygodka. Były tam dwa oczka, co Akwila uznała za nieco zaskakujące, ale oczywiście kiedyś mogło tu mieszkać więcej osób. Zobaczyła też pomieszczenie specjalnie przeznaczone na kąpiel, co oceniła - zgodnie ze standardami wyniesionymi z rodzinnego domu - za ogromną stratę miejsca. Znajdowała się tam osobna pompa i bojler do podgrzewania wody. To było naprawdę coś.

Sypialnię dostała... miłą. Miłą - to słowo pasowało jak ulał. Wszystko tam zdobiły fałbanki. Każda rzecz, która mogła być przykryta, otrzymała pokrowiec. Postarano się, żeby pokój był... wesoły, jakby bycie sypialnią oznaczało coś wspaniałego i pogodnego. Akwila w swoim pokoju na rodzinnej farmie miała przetarty dywanik i miskę na wodę, dużą drewnianą skrzynię na ubrania, staroświecki domek dla lalek i franki z perkalu, i to chyba już wszystko. Sypialnia służyła do tego, by w niej spać.

W tym pokoju stała komoda. To, co mieściło się w torbie dziewczynki, zapełniło ledwie jedną szufladę.

Łóżko, kiedy usiadła na nim, nie wydało żadnego dźwięku. Na jej starym łóżku materac był tak wiekowy, że miał wygodne wgniecenie, a sprężyny wydawały przeróżne dźwięki. Kiedy nie mogła usnąć, poruszała poszczególnymi częściami ciała i grała na sprężynach Dzwoneczki Świętej Ungulantcling tling glong, gling ping bloling dlink, plang djoning ding ploink.

Pokój inaczej też pachniał. Jakby był przez długi czas opuszczony, choć pozostała w nim woń czyjegoś mydła.

Na samym spodzie torby Akwili znajdowało się maleńkie pudełko, które pan Kloc, stolarz, specjalnie dla niej zrobił. Nie znał się na delikatnej robocie i pudełko było dość toporne. Trzymała w nim... pamiątki. Kawałek kredy ze skamieliną (dość rzadkie znalezisko), osobistą pieczętkę do odciskania na maśle (która przedstawiała czarownicę na miotle), na wypadek gdyby jej przyszło robić tu masło, i cętkowany kamień, który powinien przynosić szczęście, ponieważ był z dziurą. (Tak jej powiedziano, kiedy jako siedmiolatka go podniosła

z ziemi. Nie bardzo rozumiała, jak dziura może wywoływać szczęście, ale ponieważ od tamtej chwili kamień spędził sporo czasu w jej kieszeni, a potem w pudełku, można go było prawdopodobnie nazwać szczęściarzem w porównaniu z innymi kamieniami, które są kopane albo miażdżone przez koła wozów).

Był tam też błękitno - żółty papierek ze starego opakowania po tytoniu Wesoly Żeglarz, pióro myszówka i starożytny grot od strzały starannie zawinięty w kawałek owczej wełny. Grotów znajdowało się na kredzie mnóstwo. Fik Mik Figle używały ich na końcówki swoich włóczni.

Ułożyła to wszystko równiutko w górnej szufladzie, tuż obok swego pamiętnika, ale wcale nie wyglądało to bardziej po domowemu. Należące do niej rzeczy wydawały się bardzo samotne.

Sięgnęła po papierek od tytoniu i wełnę, powąchała je. Nawet już nie pachniały pasterską chatą, a mimo to w jej oczach pokazały się łzy.

Nigdy wcześniej nie spędziła nocy poza Kredą. Znała słowo „nostalgia” i teraz zastanawiała się, czy chłód, który czuje w sobie, to właśnie to...

Ktoś zastukał do jej drzwi.

- To ja - odezwał się przytłumiony głos.

Akwila zeskoczyła z łóżka i otworzyła. Panna Libella przyniosła tacę, na której stała miska z parującym gulaszem i chleb. Postawiła ją na małym stoliku koło łóżka.

- Kiedy zjesz, możesz ją wystawić za drzwi, zabiorę później - powiedziała.

- Dziękuję pani bardzo - odparła Akwila.

Panna Libella zatrzymała się w drzwiach.

- Będzie mi miło mieć z kim rozmawiać poza sobą. Mam nadzieję, że nie chcesz stąd odejść, Akwilo.

Dziewczynka odpowiedziała jej próbą pogodnego uśmiechu, następnie odczekała, aż drzwi się zamkną i ucichną kroki po schodach w dół, po czym podeszła na paluszkach do okna, sprawdzając, czy nie ma w nich krat.

W pannie Libelli było coś przerażającego. Coś jakby głód, nadzieja, prośba i przestroch, wszystko to naraz.

Sprawdziła także, czy może zamknąć drzwi do sypialni od wewnątrz na zasuwkę.

Gulasz smakował po prostu jak gulasz, a nie na przykład (i to przykład kompletnie i całkowicie przypadkowy) gulasz z biednej dziewczyny, która terminowała tu przed nią.

Żeby zostać czarownicą, trzeba mieć bardzo rozwiniętą wyobraźnię. Ale w tej właśnie chwili Akwila życzyłaby sobie, by jej wyobraźnia nie była aż tak rozwinięta. Przecież panna

Weatherwax i panna Tyk nie pozwoliłyby jej przybyć tutaj, gdyby to było niebezpieczne, prawda? Z pewnością by tego nie zrobiły... chyba.

A jednak. Mogły. Czarownice nie oczekują, że osiągną coś tylko dzięki szczęśliwemu trafowi. Zakładają, że będzie się używać mózgu. Jeśli nie używa się mózgu, nie ma co wchodzić w ogóle w ten biznes. Świat nie ułatwia nam życia, powtarzały. Trzeba się uczyć jak najszybciej się uczyć.

Ale... dałyby jej chyba szansę, prawda?

Z pewnością.

Może.

Prawie już skończyła nie - zrobiony - z - ludzkiego - mięsa - lecz - praw - dziwy gulasz, gdy coś próbowało wyjąć jej miskę z ręki. To było najdelikatniejsze dotknięcie, a gdy automatycznie cofnęła dłoń, natychmiast ustąpiło.

No dobrze, pomyślała. Znowu coś dziwnego. Ostatecznie to jest domek czarownicy.

Teraz coś pociągnęło za łyżkę i znowu natychmiast ustąpiło, kiedy ona się oparła.

Akwila postawiła pustą miskę i łyżkę na tacy. - Już skończyłam - oświadczyła głosem, w którym nie miał zabrznieć ani cień strachu.

Taca uniosła się w górę i pozęgłowała łagodnie w stronę drzwi, gdzie wylądowała na ziemi, leciutko pobrząkując.

Zasuwka przy drzwiach szczęknęła i przesunęła się.

Drzwi się otworzyły.

Taca uniosła się w górę i przepłynęła nad progiem.

Następnie drzwi się zamknęły.

A zasuwka zasunęła.

Słychać było pobrząkiwanie łyżki, kiedy gdzieś w ciemnościach za drzwiami taca przesuwiała się dalej.

Akwili wydało się niezwykle ważne, że powinna pomyśleć, zanim cokolwiek zrobi. Więc pomyślała: Bieganie z wrzaskiem tylko dlatego, że zabrano tacę, wydaje się wyjątkowo głupie. Ostatecznie ten, kto to zrobił, kimkolwiek był, miał na tyle przyzwoitości, by jeszcze zamknąć za sobą drzwi i zasunąć zasuwkę, co oznaczało, że szanuje jej prywatność, chociaż całkowicie ją zignorował.

Wyczyszczyła zęby nad miską, włożyła koszulę nocną i wsunęła się pod kołdrę. Zdmuchnęła świecę.

Po chwili wstała, zapaliła świecę i z pewnym wysiłkiem przysunęła komodę do drzwi. Nie była do końca pewna, dlaczego to robi, ale poczuła się lepiej.

I znowu położyła się w ciemności do łóżka.

Przyzwyczaiła się spać mimo pobekiwania owiec i dochodzących od czasu do czasu dźwięków dzwonek na sztychach baranów.

Tutaj nic nie beczało i nic nie dzwoniło, i za każdym razem, kiedy to nic się zdarzało, budziła się z pytaniem: Co to było?

Ale wreszcie usnęła, ponieważ z całą pewnością obudził ją hałas bardzo powoli przesuwanej na wcześniejsze miejsce komody.

* * *

Obudziła się wciąż żywa, nie porębana na kawałki, bladym świtem. Za oknem śpiewały nieznane jej ptaki.

W domku było zupełnie cicho. Pomyślała: Mam tu terminować, prawda? To oznacza, że do mnie należy sprzątanie i rozpalać ognia. Wiem, jak to powinno wyglądać.

Usiadła i rozejrzała się po pokoju.

Jej stare ubranie leżało starannie złożone na komodzie. Skamielina, kamień na szczęście i inne jej rzeczy zniknęły, ale gdy gorączkowo rzuciła się do poszukiwań, znalazła je w pudełku w torbie.

- Posłuchaj - oświadczyła ogólnie pokojowi - to ja jestem czarownicą. Jeśli chowa się tu któryś Fik Mik Figiel, niech mi się pokaże natychmiast!

Nic się nie stało. Ale ona wcale nie oczekiwała, że coś się wydarzy. Trzeba pamiętać, że Figle nie specjalizują się w układaniu rzeczy.

W ramach eksperymentu świecę ze stoliczka przy łóżku przestawiła na komodę. Odeszła. I znowu nic się nie stało.

Wróciła się więc do okna i wtedy coś usłyszała.

Kiedy się odwróciła, świeczka stała z powrotem na stoliczku.

No cóż... ten dzień stanie się dniem odpowiedzi. Akwila czuła narastający gniew, który sprawiał jej przyjemność. Dzięki niemu przestała myśleć o tym, jak bardzo chciałaby wrócić do domu.

Sięgnęła po sukienkę i poczuła natychmiast, że w kieszeni jest coś miękkiego, a jednocześnie popękanego.

Och, jak mogła zapomnieć! Ale to był dzień pełen wydarzeń, i to naprawdę pełen wydarzeń, a może chciała zapomnieć.

Wyciągnęła prezent Rolanda. Ostrożnie rozwinęła miękki biały papier.

To był naszyjnik.

Przedstawiał Konia.

Akwila nie mogła oderwać od niego wzroku.

Nie wyglądał jak koń, tylko jak coś, co jest koniem... Został wycięty w murawie dawnymi czasy, zanim zaczęła się historia, przez ludzi, którzy potrafili kilkoma liniami oddać wszystko, co stanowi o istocie konia: jego siłę, wdzięk, piękno i szybkość, pragnienie wyrwania się na wolność na wzgórze.

A teraz ktoś - ktoś utalentowany, a pewnie dzięki temu i liczący sobie немало - zrobił to w srebrze. Linie były w jednej płaszczyźnie, dokładnie tak jak na wzgórzu, i podobnie różne części konia nie łączyły się z resztą ciała. Rzemieślnik połączył je jednak starannie za pomocą cienkiego srebrnego łańcuszka, więc teraz Akwila trzymała w zadziwieniu coś, co nieporuszone, w świetle poranka wyrwało się jednak do biegu.

Musiała to przymierzyć. Ale... tu przecież nie było lustra, nawet lustreczka. No trudno...

- Zobacz mnie - powiedziała Akwila.

I gdzieś daleko, na równinach, coś, co straciło ślad, obudziło się. Przez moment nic się nie działo, a potem rozstąpiła się mgła nad polami, ponieważ coś niewidzialnego, brzęczącego niczym rój pszczół, zaczęło się przemieszczać...

Akwila zamknęła oczy, odstąpiła na bok kilka kroków, odwróciła się i otworzyła oczy. I oto stała przed sobą, nieruchoma jak obrazek. Koń wyglądał przepięknie na jej nowej sukience, srebro na zieleni.

Pomyślała, że Roland musiał zapłacić za to mnóstwo pieniędzy. I zastanowiło ją dlaczego.

- Przestań mnie widzieć - powiedziała.

Powoli zdjęła naszyjnik, zawinęła go starannie w papier i włożyła do pudełka, które mieściło wszystkie pamiątki z domu. Potem wyciągnęła jedną z pocztówek kupionych w Dwóchkoszulach i oówek, i starannie dobierając słowa, napisała do Rolanda podziękowanie. W nagłym poczuciu winy sięgnęła po drugą kartkę, by poinformować rodziców, że jest wciąż cała i zdrowa.

Zamyślona zeszła po schodach na dół.

Kiedy przybyły do tego domu poprzedniego dnia, był już późny wieczór i nie zauważyła, że ściany wzdłuż schodów są obwieszone plakatami. Plakatami cyrkowymi z postaciami klaunów i zwierząt, którym towarzyszyły napisy wykonane staroświeckimi czcionkami, przy czym trudno byłoby znaleźć dwie podobne linijki. Głosiły na przykład:

Mnóstwo cudów! Przybywajcie! Przybywajcie! Przybywajcie!

Cyrk do trzeciej potęgi
i Gabinet osobliwości
profesora
Monthy Ropuchy!

Spotkajcie Zadziwiającego
Przemieszczonego Piotrusia!
Zobaczcie, jak wkłada
swą głowę w paszczę lwa!!!

Obejrzyjcie konia z głową w miejscu ogona!

* * * *Zobaczcie antabę!!!* * * *

Klauni! Klauni! Klauni! Klauni! Klauni!
Latający Bracia Pastrami zaprzeczają istnieniu
grawitacji, największej siły wszechświata!



Zobaczcie Clarence tańczącą na ośle!

Cud Topsy i Topsy

Zadziwiający Akt Czytania w Myślach.

I tak bieły te informacje z góry w dół, od wielkich do małych liter. W skromnej drewnianej chatce wyglądało to nieco dziwnie.

Odnalazła drogę do kuchni. Panowała tu cisza, jedynie tykał ścienny zegar. Obie wskazówki odpadły od tarczy i leżały teraz na dnie szklanej skrzynki, więc choć zegar nadal odmierzał czas, nie miał ochoty nikogo o tym informować.

Kuchnia była niezwykle schludna. W szufladzie kredensu stojącego tuż koło zlewu widelce, łyżki i noże leżały w oddzielnych przegródkach, co było lekko przerażające. We wszystkich kuchennych szufladach, jakie Akwila widziała wcześniej, też w założeniu miał panować porządek, ale przez lata używania nagromadziły się w nich różne rzeczy, na

przykład za duże chochle czy powyginane otwieracze do butelek, które nigdzie nie pasowały i zawsze zawadzały.

Na próbę wyjęła jedną łyżkę z przegródki dla łyżek i wrzuciła ją do widelców, po czym zamknęła szufladę. I odwróciła się.

Doszedł ją odgłos przesuwania, a potem brzęk dokładnie taki, jaki wydałaby łyżka wkładana pomiędzy inne łyżki, które tęskniły za nią i z niecierpliwością czekały na moment, kiedy będą mogły opowiadać sobie przerażające historie o życiu wśród ludzi noszących straszliwe spiczaste kapelusze.

Akwila przełożyła nóż pomiędzy widelce, zamknęła szufladę i.. przytrzymała ją. Zamarła w oczekiwaniu.

Przez chwilę nic się nie działo, po czym usłyszała hałas wśród garnków. Był coraz głośniejszy. Szuflada zaczęła drgać. Cały zlew się trząsł.

- No dobrze - oświadczyła Akwila, odskakując. - Możesz wracać na miejsce!

Szuflada gwałtownie otworzyła się i nóż przeskoczył z jednej przegródki do drugiej niczym ryba. A szuflada się zamknęła.

Zapanowała cisza.

- Kim jesteś? - zapytała Akwila. Nikt nie odpowiedział. Ale czuła w powietrzu coś, co się jej nie podobało. I ktoś poza nią też był niezadowolony. To był głupi numer, bez dwóch zdań.

Szybkim krokiem wyszła do ogrodu. Grzmiący huk, który słyszała uprzedniej nocy, był hałasem wodospadu. W pobliżu domku spadająca woda napędzała niewielkie koło, które pompowało wodę do dużej drewnianej cysterny, z której z kolei biegła rura do domku.

W ogrodzie stało mnóstwo ozdobników. Były raczej smutne, z pewnością bardzo tanie: króliczki z wariackimi uśmieszkami na pyszczkach, fajansowy jeleni o wielkich oczach, gnomy w czerwonych czapeczkach z chwaścikami i z takimi wyrazami twarzy, jakby podano im właśnie bardzo gorzkie lekarstwo.

Różne przedmioty wszędzie zwisały z jabłonek lub były poprzywiązywane do palików. Kilka łapaczy snów i siatek na zaklęcia, które czasami widywała rozwieszone przed domostwami w swojej okolicy. Pozostałe wyglądały jak duże chaosy, wirujące i podźwigujące delikatnie. Jeszcze inne jak... na przykład jeden wyglądał jak ptak wykonany ze starych szczotek, ale większość przywodziła na myśli tylko kupę śmieci. Choć trzeba powiedzieć, że dziwnych śmieci. Akwili wydawało się, że niektóre poruszały się nieco, gdy przechodziła.

Kiedy wróciła do domu, panna Libella siedziała przy kuchennym stole.

Podobnie jak panna Libella. No cóż, po prostu było ich dwie.

- Przepraszam - odezwała się ta siedząca po prawej stronie - pomyślałam, że najlepiej będzie mieć to od razu za sobą.

Obie wyglądały identycznie. Była to tak naprawdę jedna osoba w dwóch osobach.

- Rozumiem - powiedziała Akwila. - Jesteście bliźniaczkami.

- Nie - zaprzeczyła panna Libella z lewej strony. - Nie jesteśmy. To może być nieco trudne...

- ...do zrozumienia - dokończyła druga. - Zastanówmy się. Wiesz na pewno...

- ...że bliźnięta mają czasami te same uczucia i myśli - dokończyła pierwsza.

Akwila przytaknęła.

- No cóż - kontynuowała druga panna Libella. - Moja sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana, przynajmniej tak mi się wydaje, ponieważ...

- ...jestem jedną osobą w dwóch ciałach - odpowiedziała pierwsza. Oba ciała rozmawiały, jakby były graczami w meczu tenisowym, odbijając kolejne słowa.

- Chciałam przekazać ci to...

- ...w delikatny sposób, ponieważ niektórym ludziom wydaje się to...

- ...niestosowne i przerażające, a nawet...

- ...zwyczajnie...

- ...straszliwe.

Obie zamarły.

- Przepraszam za ostatnie zdania - powiedziała lewa panna Libella. - Zachowuję się tak tylko wtedy, gdy jestem bardzo zdenerwowana.

- Chcecie mi powiedzieć, że wy obie - zaczęła Akwila, ale panna Libella po prawej jej przerwała:

- Nie ma nas obu. Jestem tylko ja, rozumiesz? Wiem, że to trudne. Ale mam prawą prawą rękę i prawą lewą rękę, i lewą prawą rękę i lewą lewą rękę. I to wszystko jestem ja. Mogę iść po zakupy i w tym samym czasie pozostać w domu, Akwilo. Jeśli to ci może w jakiś sposób pomóc, myśl o mnie jak o osobie...

- ...z czterema rękami i...

- ...czterema nogami...

- ...i czworgiem oczu.

Czworo oczu wpatrywało się teraz z niepokojem w Akwilę.

- I dwoma nosami - powiedziała dziewczynka.

- Zgadza się. Zrozumiałaś. Moje prawe ciało jest mniej zręczne od lewego, ale prawa para oczu lepiej widzi. Jestem człowiekiem, tak samo jak ty, tyle że jest mnie więcej.

- Ale tylko jedna z pań... to znaczy tylko połowa pani przyleciała po mnie do Dwóchkoszul, prawda? - chciała się dowiedzieć Akwila.

- O tak, potrafię się w ten sposób rozdzielać - przyznała panna Libella. - Całkiem dobrze mi to wychodzi. Tylko jeśli odległość między nami jest większa niż dwadzieścia mil, koordynacja staje się trudniejsza. A teraz myślę, że wszystkim nam dobrze robi filiżanka herbaty.

Zanim Akwila zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, jej gospodyni w dwóch osobach zaczęła się krzątać po kuchni.

Akwila widziała jedną osobę, która przygotowywała herbatę, używając do tego czterech rąk.

Żeby przygotować herbatę, trzeba wykonać kilka czynności, a panna Libella wykonywała je w jednym czasie. Ciała stały jedno obok drugiego, przesuwając przedmioty z ręki do ręki i ręki, czajnik, filiżanki i łyżeczki wykonywały rodzaj baletu.

- Kiedy byłam dzieckiem, uważano, że jesteśmy bliźniaczkami - rzuciła jedna przez ramię.

- A potem... potem zaczęto się mnie bać, jakbym była czymś złym - dodała druga przez drugie ramię.

- Byłaś? - zapytała Akwila.

Obie panna Libella odwróciły się jak na komendę, wyraźnie zaszokowane.

- Jak można komuś zadać w ogóle takie pytanie?

- Hm... mnie się wydaje dość oczywiste, czyż nie? - odparowała Akwila. - Gdybyś odparła: „Owszem. Hahahaha!”, oszczędziłoby to nam obu masę kłopotów.

Dwie pary oczu spoglądały na nią spod zmrużonych powiek.

- Panna Weatherwax miała rację - oświadczyła panna Libella.

- Mówiła, że jesteś wiedźmą od stóp do głów.

Akwila poczuła, że aż puchnie z dumy.

- Problem ze sprawami oczywistymi jest taki - powiedziała panna Libella - że zazwyczaj takie nie są... Czy panna Weatherwax naprawdę zdjęła przed tobą kapelusz?

- Tak.

- Może pewnego dnia zrozumiesz, jak wielki uczyniła ci honor. A wracając do tematu... nie, nie jestem zła. Ale mało co brakowało. Moja mama umarła niedługo po urodzeniu mnie, a tata wypłynął na morze i nigdy nie wrócił..

- Na morzu zdarzają się straszne rzeczy - powiedziała Akwila. Morze znała z opowieści babci Dokuczliwej.

- Tak, najprawdopodobniej coś takiego właśnie się wydarzyło, ale jest też możliwe, że nigdy nie zamierzał wrócić – odpowiedziała sucho panna Libella. - Oddano mnie do biduła, wstrętne jedzenie, jeszcze gorsi nauczyciele i tak dalej, i tam właśnie wpadłam w najgorsze możliwe towarzystwo. Bo towarzystwo samej siebie. To niesamowite, na jakie pomysły potrafisz wpaść, kiedy masz dwa ciała. Oczywiście wszyscy brali nas za bliźniaczki. No i wreszcie uciekłam do cyrku. Ja! Potrafisz to sobie wyobrazić?

- Topsy i Topsy. Zadziwiający Akt Czytania w Myślach? - zapytała Akwila.

Panna Libella patrzyła na nią wybaluszonymi czterema oczami.

- Zobaczyłam na plakacie, który wisi na schodach – wyjaśniła Akwila.

Panna Libella wyraźnie się odprężyła.

- No tak, oczywiście. Jesteś... bystra. Potrafisz dostrzegać to co ważne...

- Wiem, że nie zapłaciłabym, by zobaczyć antabę – wtrąciła Akwila. - To po prostu oznacza zamknięcie*.

- Sprytne! - przyznała panna Libella. - Monthy napisał to na drogowskim, który prowadził przez namiot Wierz - w - to - lub - nie. „To jest droga do antaby”. Oczywiście ludzie myśleli, że chodzi o jakiś dziwoląg, babę - potwora czy coś w tym rodzaju. A Monthy postawił na zewnątrz osiłka ze słownikiem, który pokazywał im, że dostali dokładnie to, za co zapłacili, bo gdy wyszli, nie mogli już zawrócić, drzwi były zamknięte! Czy byłeś kiedyś w cyrku?

Akwila przyznała, że raz. I nie wydawało jej się to wcale zabawne. Jeśli ktoś się bardzo stara być śmieszny, zazwyczaj wcale mu nie wychodzi. Widziała tam bezzębnego wyleniałego lwa, akrobatę chodzącego po mocno naprężonej linie, która wisiała tylko kilka stóp nad ziemią, nożownika, który ciskał nożami w starszą panią wirującą na drewnianym dysku i ani razu w nią nie trafił. Tylko na końcu było śmiesznie, kiedy wóz wywalił się na kłauków.

- Cyrk, w którym ja występowałam, był dużo większy - powiedziała panna Libella, wysłuchawszy uwag dziewczynki. - Chociaż przypominam sobie, że nasz nożownik był równie kiepski. Mielśmy słonie i wielbłądy, i tak groźnego lwa, że prawie odgryzł facetowi rękę.

Akwila musiała przyznać, że to brzmiało znacznie bardziej interesująco.

* Znajomość całego słownika niekiedy jednak potrafi się przydać.

- A co z panią? - zapytała.

- Po prostu zabandażowałam mu rękę, kiedy już udało mu się zastrzelić lwa.

- Nie, panno Libello, chodzi mi o to, co pani robiła w cyrku. Po prostu czytała we własnych myślach?

Panna Libella się rozpromieniła.

- O tak, i jeszcze wiele, wiele więcej, właściwie uczestniczyłam we wszystkim, co się tam działo. W perukach byłam Zdumiewający mi Siostrami ze Wschodnich Rubieży. Żonglowałam talerzami, nosząc kostiumy wyszywane cekinami. I pomagałam przy chodzeniu po linie. Oczywiście sama nie chodziłam, ale uśmiechałam się do publiczności i biegałam po scenie cała lśniąc od tych cekinów. Wszyscy brali mnie za bliźniaczki, zresztą ludzie w cyrku nie zadają osobistych pytań. A potem tak się potoczyły moje losy... że przybyłam tutaj i zostałam wiedźmą.

Obie panna Libella przyglądały się Akwili uważnie.

- To ostatnie zdanie było bardzo długim zdaniem - powiedziała dziewczynka.

- To prawda - przyznała panna Libella. - Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego. Czy nadal chcesz u mnie pozostać? Ostatnie trzy dziewczyny nie chciały. Niektórzy ludzie uważają, że jestem... dziwaczna.

- No cóż... zostanę - odpowiedziała powoli Akwila. - Choć niepokoi mnie to coś, co przynosi rzeczy.

Panna Libella spoglądała przez chwilę zaskoczona.

- Och, masz na myśli Oswalda! - wykrzyknęła wreszcie.

- Czy tu mieszka niewidzialny mężczyzna, który wchodzi do mojej sypialni? - zapytała przerażona Akwila.

- Nie, nie, to tylko imię. Oswald nie jest mężczyzną, lecz dapiorem. Czy słyszałaś o upiorach?

- No... niewidzialne istoty, zachowujące się dość przykro.

- Brawo - powiedziała panna Libella. - Dapiory są czymś przeciwnym. Mają obsesję porządku. Całkiem przydatny w domu, ale kiedy gotuję, mam czasem ochotę go zabić. Co jest oczywiście niewykonalne. Odkłada rzeczy na miejsce. Myślę, że to go uszczęśliwia. Przepraszam, powinnam cię była uprzedzić, lecz zazwyczaj się chowa, gdy ktoś nowy pojawia się w domu. Jest bardzo nieśmiały.

- Ale czy jest mężczyzną? To znaczy czy jest duchem rodzaju męskiego?

- Skąd można wiedzieć? Duchy nie mają ciała i nie mówią. Nazwałam go Oswald, ponieważ zawsze go sobie wyobrażałam jako małego zmartwionego człowieczka

dzierżącego zmiotkę i szufelkę. - Lewa panna Libella zachichotała, kiedy prawa to powiedziała. Efekt był dziwaczny, a nawet jeśli się zastanowić, przyprowadzający o gęsią skórę.

- Dajemy sobie całkiem nieźle radę razem - dodała prawa pan na Libella nerwowo. - Czy jeszcze coś chciałabyś wiedzieć, Akwilo?

- Owszem - odparła dziewczynka. - Co miałabym tu robić? I co robi pani?

Okazało się, że panna Libella zajmuje się głównie pracami domowymi. Nieustannie. Bezskutecznie można było oczekiwać zajęć z latania na miotle, lekcji wymowy czy zarządzania spiczastym kapeluszem. Zajęcia, które proponowała Akwili... no cóż, były przeraźliwie zwykłe.

Przede wszystkim miała stadko kóz, teoretycznie powinien zajmować się nimi Cuchnący Cezary, posiadacz własnej budy, do której był przypięty łańcuchem, ale tak naprawdę liczyła się tylko Czarna Meg, najstarsza ze stada, która cierpliwie pozwalała Akwili się wydoić, po czym w sposób całkowicie przemyślany i przemyślny wsadzała kopyto do wiadra z mlekiem. To jest metoda kozia, by się zaznajomić. Koza zazwyczaj martwi się, czy człowiek nie jest przyzwyczajony do owiec, ponieważ koza to owca z mózgiem. Ale Akwila miała okazję poznać już kozy wcześniej, kilka rodzin z jej wioski trzymało je ze względu na bardzo pożywne mleko. Wiedziała też, że z kozą należy zastosować persykologię*. Jeśli się unosiło gniewem, krzyknęło, a nawet trzepnęło zwierzę (raniąc własną rękę, ponieważ uderzyć kozę to jak trzepnąć torbę pełną metalowych wieszaków), oznacza, że one wygrały i będą cię wyśmiewać: mee, mee!

Już drugiego dnia Akwila się nauczyła, co należy zrobić. Trzeba było w chwili, gdy Czarna Meg podnosiła nogę, by kopnąć w skopek, złapać ją i trochę podnieść. Koza traciła równowagę, co wprawiało ją w zakłopotanie, a inne kozy meczały ze śmiechu. W ten sposób Akwila wygrała.

Następne były pszczoły. Panna Libella posiadała tuzin uli, mała pasieka służyła zarówno do produkcji miodu, jak i wosku. Była jednym wielkim brzęczeniem. Akwila, zanim pozwolono jej zbliżyć się do pszczół, otrzymała welon i rękawice. Panna Libella nosiła to samo.

- Oczywiście - wyjaśniła - jeśli zachowujesz się ostrożnie, jesteś trzeźwa i dobrze kierujesz swoim życiem, pszczoła nie powinna cię użądlić. Niestety, nie wszystkie pszczoły

* Akwila pamiętała, że to słowo się jakoś inaczej wymawia, ale nie zapamiętała jak.

słyszały o tej teorii. Dzień dobry, Trzeci Roju, oto Akwila, która pozostanie jakiś czas z nami...

Akwila spodziewała się, że cały rój wzniesie się w górę i straszliwe bzyczenie ułoży się w słowa: „Dzień dobry, Akwilo!”, ale nic takiego się nie stało.

- Dlaczego im to powiedziałaś?

- Och, do pszczół trzeba mówić - odparła panna Libella. - Milczenie przynosi pecha. Zazwyczaj ucinam sobie z nimi pogawędkę co wieczór. Nowinki, ploteczki, takie tam. Każdy pszczelarz zna powiedzenie: „Mówiła mi mała pszczółka”.

- A do kogo mówią pszczoły? - zapytała Akwila.

Obie panna Libella uśmiechnęły się do niej.

- Przypuszczam, że do innych pszczół.

- Więc... jeśli umiesz słuchać pszczół, dowiesz się wszystkiego, co się dzieje, prawda?

- Wiesz, to ciekawe, co mówisz - stwierdziła panna Libella. - Słyszałam coś o tym... Ale musiałabyś się nauczyć myśleć jak rój pszczół. Jeden umysł z tysiącem małych ciał. O wiele za trudne, nawet dla mnie. - Wymieniła sama ze sobą powątpiewające spojrzenie. - Chociaż nie niemożliwe.

Następnie ziola. Koło domu rozciągał się duży zielnik, choć niewiele znalazłoby się tam przypraw, którymi chciałoby się natrzeć indyka. O tej porze roku wymagał mnóstwa pracy, nieustannie należało zbierać i suszyć, szczególnie te rośliny, w których ważny był korzeń. Akwili całkiem się to podobało. Panna Libella fantastycznie się znała na ziołach.

Istnieje coś, co nazywane jest Doktryną Podpisu. Działa to tak: kiedy Stwórca Wszechświata stwarzał przydatne ludziom rośliny, dołączał rodzaj kluczy, by były wskazówkami dla ludzi. Roślina nadająca się do leczenia zębów przypomina kształtem ząb, tę, która wygląda jak ucho, można stosować na ból ucha, a jeśli spływa z niej zielonkawa maź, bez wątpienia można jej użyć do nosa i tak dalej. Wielu ludzi wierzy w taką zbieżność.

Żeby się w tym połapać, trzeba pewnej dozy wyobraźni (choć w przypadku nosa niewielkiej). W świecie Akwili Stwórca był bardziej... twórczy. Niektóre rośliny mają na sobie napis, ale trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Zazwyczaj znaleźć go jest bardzo trudno, a jeszcze trudniej przeczytać, ponieważ rośliny nie mówią. Zresztą większość ludzi nie ma o tym pojęcia i po prostu stosują tradycyjne metody sprawdzenia, czy roślina jest trująca, czy pożyteczna, testując ją na ciotce staruszce, która do niczego innego już się nie nadaje. Panna Libella była jednak pionierką nowych technik, które - jak miała nadzieję - poprawią jakość życia wszystkim (a w przypadku cioć także znacznie je przedłużą).

- Tę na przykład nazywają gencjaną - mówiła do Akwili. Przebywały w długim zimnym pomieszczeniu na tyłach domku. W geście triumfu podniosła ziele. - Wszyscy myślą, że to jeszcze jedno lekarstwo na ból zęba, ale spójrz tylko na przecięty korzeń w zmagazynowanym świetle księżyca, przy użyciu mego błękitnego szkła powiększającego...

Akwila pochyliła się i zobaczyła małe literki. Odczytała napis: „**DoBRE NA Przeziambienie, powoduje senność, nie przerabiać maszynowo**”.

- Jak na gencjanę całkiem nie najgorsza pisownia - powiedziała panna Libella.

- Mam uwierzyć, że rośliny naprawdę mówią pani, do czego ich używać? - zapytała z powątpiewaniem Akwila.

- Cóż, nie wszystkie i na dodatek trzeba wiedzieć, gdzie spojrzeć - odparła panna Libella. - Weź na przykład zwyczajny orzech włoski. Trzeba użyć zielonego szkła powiększającego przy świetle świecy z czerwonym bawełnianym knotem, wtedy...

Akwila zmrużyła oczy. Literki były tak małe, że z trudem dawało się je odczytać.

- Może zawierać orzech? - zaryzykowała. - Ale przecież to jest skorupa orzecha, więc z całą pewnością w środku znajduje się orzech. Czy... może jednak nie?

- Niekoniecznie. Na przykład może się w nim mieścić kunsztowna miniaturowa scena ze złota i kamieni szlachetnych wykonana w dziwnej świątyni położonej na dalekich lądach. Mówię tylko, że może - dodała panna Libella, dostrzegając wyraz malujący się na twarzy Akwili. - Żadne prawo tego nie zabrania. Przynajmniej dosłownie. Świat jest pełen niespodzianek.

Tego wieczora Akwila miała wiele do zanotowania w swoim dzienniku. Leżał zawsze w górnej szufladzie komody przygnieciony porządnym kamieniem. Oswald zachowywał się tak, jakby zrozumiał przekaz, ale nie mógł się oprzeć i wypolerował kamień.

* * *

Tu się zatrzymajmy, unieśmy nad domkiem, a potem odlećmy w noc...

Wiele mil dalej przejdziemy niewidocznie przez coś, co samo jest niewidzialne, ale co brzęczy jak rój pszczoł, gdy podrywa się z ziemi...

I dalej, drogami ponad miastami i lasami, mijanymi ze świstem, aż dotrzemy do wielkiego miasta i tam prawie w samym jego centrum znajduje się wysoka stara wieża, a pod nią starożytny Niewidoczny Uniwersytet, a w nim biblioteka uniwersytecka, a w bibliotece półki pełne ksiąg i... tutaj podróż dopiero się rozpoczyna.

Po półkach płynie rzeka przeszłości. Książki trzymane są na łańcuchach. Kiedy przechodzisz, niektóre próbują cię chapnąć.

Książki naprawdę niebezpieczne trzymane są osobno, niektóre z nich zamknięto w klatkach lub w kadziach z lodowatą wodą albo po prostu stoją pomiędzy dwoma ołowianymi płytami.

Ale jest tam też księga, jakby przezroczysta, z której cudowność wprost emanuje, i ona leży pod szklaną kopułą. Młodzi magowie, dopiero wstępujący na drogę badawczą, zachęceni są, by ją przeczytać.

Jej tytuł brzmi: „Współzycze. Dystertacja na temat przyrządu zadziwiającej pomysłowości autorstwa Rwetesta Prostoty, dr. med. i filozofii, szlachetnego profesora magii”. Większość tej napisanej ręcznie księgi mówi o konstrukcji wielkiego i silnego aparatu magicznego, służącego złapaniu współzycza tak, by łapiącemu nie stało się nic złego. Na ostatniej jednak stronie doktor Rwetest zapisał:

Zgodnie ze starożytną i słynną księgą „Res Centum et Una Quas Magus Facere Potest”^{*} współzycz jest czymś w rodzaju demona (profesor Palstrach klasyfikuje go jako Demona Szpiega, a Dużowina przyznaje im miejsce Demonów Błądzących w LIBER IMMANIS MONSTRORUM^{**}). Jednakże starożytna księga odkryta w Jaskini Słojów podczas pechowej Pierwszej Ekspedycji do Regionu Loko odkrywa zupełnie inną opowieść, która potwierdza moje własne solidne badania na ten temat.

Współzycze zostały uformowane podczas pierwszych sekund Stworzenia. Nie są istotami żywymi, ale mają, rzecz można, żywy kształt. Nie mają ciała, nie mają też mózgu, same nie potrafią myśleć. Nagi współzycz jest naprawdę nagi i kolebie się w nieskończonej nocy pomiędzy światami. Zgodnie z Palstrachem, większość z nich kończy swój żywot na dnie mórz lub w głębinach wulkanów albo też dryfuje między gwiazdami. Palstrach jest znacznie pośledniejszym myślicielem ode mnie, ale w tym przypadku ma rację.

Jednak współzycz potrafi bać się i pragnąć. Trudno stwierdzić, czego współzycz się lęka, wiadomo jednak, że szuka schronienia w ciałach, które charakteryzują się jakąś mocą, fizyczną, intelektualną albo magiczną. Pod tym względem zachowuje się jak pospolity słoń samotnik z Howondalandu, *Elephantus solitarius*, który zawsze szuka najmocniejszej chaty na swoje schronienie.

Nie mam cienia wątpliwości, że współzycze są odpowiedzialne za rozwój cywilizacji. Dlaczego pewnego dnia ryby wypłynęły na ląd? Dlaczego ludzie nie wahają się sięgać po coś, co wydaje się dla nich niebezpieczne, jak na przykład ogień? Wierzę mocno, że za tym wszystkim stoją współzycze, rozpalając w wyjątkowych istotach różnych gatunków

* Sto i jedna rzecz, jaką może zdziałać mag

** Potworna Księga Potworów.

nadzwyczajne ambicje pchające ich wyżej i dalej. Czego szuka współzyc? Co takiego pcha go do przodu? Czego pragnie? Tego właśnie chcę się dowiedzieć!

Wiem, że magowie mniejszego formatu ode mnie ostrzegają przed użyczeniem współzycowi własnego mózgu, twierdząc, że w efekcie takiej wizyty mózg zetnie się (niczym mleko na kwaśne), wskutek czego nastąpi śmierć jego właściciela. Ja twierdzę, że to brednie! Ludzie zawsze bali się tego, czego nie potrafili zrozumieć!

Ale ja pojąłem wszystko!

Dziś o drugiej nad ranem złowiłem moim urządzeniem współzycza! Teraz mam go zamkniętego wewnątrz swojej głowy. Czuję jego wspomnienia, wspomnienia o każdym stworzeniu, w którym zamieszkiwał. Ale tym razem dzięki mojemu wysokiemu intelektowi to ja współzycza kontroluję, a nie on mnie. Nie czuję, by jego obecność zmieniła mnie w jakikolwiek sposób. Mój umysł jest równie silny jak dotąd!!!

W tym momencie pismo staje się zamazane, tak jakby profesor Prostota zaczął się ślinić nad kartką, którą zapiechniał notatkami.

Och, ile lat mnie powstrzymywali, te robaki tchórzliwe, istoty bez litości, które dzięki łutowi szczęścia mieli prawo nazywać siebie moimi panami! Śmiali się ze mnie! ALE JUŻ SIĘ NIE ŚMIEJĄ!!! Nawet ci, którzy zwali się moimi przyjaciółmi, o tak, oni też, byli mi jedynie przeszkodą. Co z ostrzeżeniami? - pytali. Dlaczego słój, w którym znalazłeś plany, miał napisane słowa „Nie otwierać pod żadnym pozorem” wytłoczone na pokrywie w piętnastu starożytnych językach? - mówili. Tchórze! I to się nazywają kumple? Powtarzali, że istoty, w których zamieszkiwał współzyc, popadały w paranoję. Dostawały świra. Wykrzykiwali, że współzyczy nie da się kontrolować!!! CZY KTOKOLWIEK Z NAS WIERZY W TO CHOCIAŻBY PRZEZ JEDNĄMINUTĘ??? O, jakież wspaniałości mnie oczekują!!! Teraz oczyściłem swe życie z nonsensów!!! A jeśli chodzi o tych, którzy MAJĄ CZELNOŚĆ, TAK, CZELNOŚĆ walić w moje drzwi z powodu tego, co zrobiłem tak zwanemu nadrektorowi i jego Radzie... Jak śmieją mnie osądzać!!! Niczym robactwo nie rozumieją, co to znaczy wielkość!!! Ja im pokażę!!! Ale... jaaaaaaa... zuchwałość... walenieeeeeeeeeee... eeeeeee...

I na tym zapis się kończy. Na leżącej obok książki karteczce jakiś dawny mag napisał: „Wszystko, co pozostało z profesora Prostoty, jest pochowane w słoju w Różanym Ogrodzie.

Zalecamy wszystkim studentom, by spędzili tam trochę czasu i zastanowili się nad jego śmiercią”.

Księżyc się dopełniał. Mówi się o nim niekiedy, że jest garbaty. To najmniej ciekawa faza księżyca i dlatego rzadko przedstawiana przez malarzy. Pełnia i sierp skupiają całą uwagę.

Rozbój siedział samotnie na szczycie kopca, tuż obok fałszywej nory króliczej, wpatrując się w odległe góry, których śnieżne szczyty lśniły w świetle księżyca.

Ktoś dotknął go lekko w ramię.

- To niepodobne do ciebie, tak dać się zająć od tyłu, Rozbój - odezwała się Joanna, siadając koło niego.

Rozbój westchnął ciężko.

- Głupi Jaś powiedział mi, że nie tknąłeś jedzenia. - Joanna nie spuszczała z niego oka.

Rozbój znowu westchnął.

- A Duży Jan opowiadał, że dziś podczas polowania minął cię lis i nawet nie oberwał od ciebie jednego kuksańca.

Rozbój westchnął jeszcze raz.

Odpowiedział mu cichy dźwięk wyciągania korka, a potem chlupotanie. Joanna trzymała przed nim małe drewniany kubek. W drugiej ręce dzierżyła skórzany bukłak.

Ostra woń napitku rozeszła się w powietrzu.

- To resztki Specjalnego Płynu dla Owiec, który twoja wielka ciutwiedźmą dała nam w prezencie ślubnym - powiedziała Joanna. - Schowałam ten dar na specjalną okazję.

- Ona nie jest moją wielką ciutwiedźmą, Joanno - odrzekł Rozbój, nie patrząc nawet na kubek. - Ona jest naszą wielką ciutwiedźmą. I ma w sobie coś, co sprawi, że będzie wiedźmą nad wiedźmami. Jest w niej taka moc, o której ona nawet nie śmiała by marzyć. Ale współlżycz ją wyczuł.

- Niech ci będzie, kimkolwiek ona jest, wypij. - Joanna przesunęła kubek pod nosem Rozbója.

Tylko westchnął i odwrócił głowę. Joanna zerwała się na równe nogi.

- Jaś! Duży Janie! Chodźcie tu czym prędzej! - krzyczała. - On nie chce się napić! Chyba umarł!

- To nie jest odpowiedni czas na picie - odezwał się Rozbój. - Moje serce wypełnia smutek, kobieto.

- Szybciej!!! - wrzeszczała Joanna, nachylając się nad dziurą. - On nie żyje, ale wciąż mówi!

- To wiedźma tych wzgórz. - Rozbój ignorował jej krzyki. – Jak jej babcia. Każdego dnia opowiadała tym wzgórzom, czym są. Miała je w swojej krwi. Miała je w swoim sercu. Kiedy jej nie ma, nie chce mi się myśleć o przyszłości.

Figle wydobywały się z dziury, popatrując niespokojnie na Joannę.

- Coś jest nie tak? - zapytał Głupi Jaś.

- Jakbyś zgadł! - zachnęła się wodza. - Rozbój nie ma ochoty na Specjalny Płyn dla Owiec.

Na twarzy Jasia pojawiła się rozpacz.

- Nasz Wielki Człowiek nie żyje! - zatkał. - Ojej jej jej...

- Zamknij się, ty barylko, ty wielka kupo błota! - wrzasnął Rozbój, zrywając się na równe nogi. - Nie jestem nieżywy. Chciałem mieć spokojną chwilę, by egzystencjalnie pocierpieć tutaj, rozumiano? Na litość, czy człowiek nie może poczuć na sobie chłostania lodowatych wiatrów losu, żeby jego ludzie nie uznali go za martwego, co?

- A, widzę, że znowu dyskutowałeś z ropuchem, Rozbój - rozumiał Duży Jan. - Tylko on tutaj używa takich długich słów, i to przez cały dzień... - odwrócił się do Joanny. - Zachorował na ciężki przypadek milczenia, proszę pani. Kiedy człowiek wplącze się w to całe pisanie i czytanie, wcześniej czy później dopadnie go nieszczęście. Skrzyknę kilku chłopaków i przytrzymamy mu głowę pod wodą, to jedyne lekarstwo. Myślenie bywa dla człowieka mordercze.

- Zaraz się z tobą rozprawię i z dziesięcioma takimi jak ty! - wrzasnął Rozbój prosto w twarz Dużego Jana, unosząc pięść. - Ja jestem Wielkim Człowiekiem tego klanu i...

- A ja jestem wodzą - odezwała się wodza (jedną z umiejętności wodzy jest używać swego głosu tak, by był twardy, ostry i ciął powietrze niczym nóż do lodu). - I rozkazuję wam wrócić na dół i nie pokazywać się tu, dopóki nie powiem. Nie mówię do ciebie, Rozbój Figlu! Ty zostaniesz tutaj.

- Ojej jej... - zaczął Głupi Jaś, ale Duży Jan zatkał mu dłonią usta i szybko pociągnął go w dół.

Pozostali sami. Na garbaty księżyc wdrapywały się chmury. Rozbój zwiesił głowę.

- Jeśli mi nie pozwolisz, Joanno, nie pójdę.

- Och, Rozbój, Rozbój! - Joanna się rozplakała. - Nic nie rozumiesz. Ja nie chcę, by dużej ciutdziewczyźnie coś złego się przytrafiło, naprawdę nie chcę. Ale nie mogę znieść

myśli, że odchodzisz, by walczyć z potworem, którego nie da się zabić. Martwię się o ciebie, nie widzisz tego?

Rozbój objął ją ramieniem.

- Widzę, kochana - westchnął.

- Jestem twoją żoną, Rozbój, i dlatego nie chcę, byś poszedł.

- Oczywiście, więc zostanę.

Joanna popatrzyła na niego. W blasku księżyca lśniły jej łzy.

- Naprawdę?

- Nigdy dotąd nie zламаłem swego słowa - odparł Rozbój. - No chyba że słowa danego policjantowi i takim tam, a to się nie liczy.

- Zostaniesz? Będziesz mi posłuszny? - Joanna pociągnęła nosem.

Rozbój westchnął.

- Tak, będę posłuszny.

Joanna siedziała przez chwilę w milczeniu, a potem odezwała się ostrym zimnym głosem wodzy:

- Rozbój Figlu, więc mówię ci teraz: Idź i uratuj dużą ciutwiedźmę.

- Co?! - Rozbój rozdziawił w zdumieniu usta. - Przecież właśnie mi powiedziałaś, że mam tu zostać...

- Wtedy przemawiała do ciebie żona, Rozbój. A teraz mówi wodza. - Joanna stała z wysuniętym do przodu podbródkiem, wyglądała na zdeterminowaną. - Jeśli nie wykonasz polecenia wodzy, zostaniesz wygnany z klanu. Więc lepiej mnie słuchaj. Weź tylu ludzi, ilu ci potrzeba, i ruszajcie, zanim będzie za późno. Idźcie w góry i przypilnujcie, żeby czarownica wróciła do nas i żeby nic złego jej się nie przydarzyło. I uważajcie, żeby wam też nic złego się nie stało. To rozkaz. Nie, to coś więcej niż rozkaz. To cel, jaki wam wyznaczam. Musicie go osiągnąć!

- Ale ja... - Rozbój niczego już nie rozumiał.

- Jestem wodzą, Rozbój - powiedziała Joanna. - Nie mogę kierować klanem, którego szef jest przybity. A wzgórze, po których będą biegać nasze dzieci, muszą mieć swoją wiedźmę. Każdy wie, że ziemia potrzebuje, by ktoś jej powiedział, czym jest.

Coś w tym, jak Joanna wymówiła słowo „dzieci”, spowodowało, że Rozbój, który nie był największym z myślicieli, powiązał koniec z końcem.

- O tak, Rozbój - powiedziała Joanna, widząc, co maluje się na jego twarzy. - Wkrótce wydam na świat siedmiu synów.

- Och! - jęknął Rozbój. Nie pytał nawet, skąd wiedziała, ilu ich będzie. Wodza po prostu wie takie rzeczy.

- To wspaniale! - wykrzyknął.

- I córkę, Rozbój - dodała.

Popatrzył na nią w zadziwieniu.

- Córkę? Tak szybko?

- Tak - potwierdziła.

- To wspaniale dla klanu! - wykrzyknął.

- Masz więc po co wracać do mnie jak najprędzej. I błagam cię, używaj głowy inaczej niż twoi chłopcy.

- Dziękuję, wodzo - odparł Rozbój. - Zrobię, jak każesz. Wezmę kilku chłopców, odnajdę wielką ciutwiedźmę, dla dobra tych wzgórz. Życie dla ciutwiedźmy tam daleko od domu i między obcymi nie może być dobre.

- O tak - powiedziała Joanna, odwracając głowę. - Jak dobrze ją rozumiem.



ROZDZIAŁ CZWARTY

PLN

O świecie Rozbój, któremu z podziwem przyglądali się jego liczni bracia, napisał na kawałeczku papierowej torby słowo:

PLN

I podniósł kartkę w górę.

- Mamy plan - oświadczył zebranym Figlom. - A mając plan, musimy tylko postępować w zgodzie z nim. Słucham, Jasiu.

- Co to za cela, w którą zamknęła cię Joanna? - zapytał Jaś, opuszczając dłoń.

- Nie cela - westchnął Rozbój. - Tylko cel. Mówiłem wam już. To oznacza, że sprawa jest naprawdę poważna. Oznacza, że muszę przyprowadzić z powrotem wielką ciutwiedźmę, nie ma przebaczyć, inaczej moja dusza zamieni się w chmurę wędrującą po niebie. To jak magiczne zaklęcie. Mało kto ma prawdziwy cel.

- Choć wielu ma celę.

- Jasiu! - Rozbój nie tracił cierpliwości. - Wiesz, że miałem ci mówić, kiedy powinieneś trzymać swoją wielką gębę zamkniętą na kłódkę.

- Tak, Rozbój.

- No więc teraz jest jeden z tych razy. - Podniósł głos. - Chłopaki, wiecie już wszystko na temat współzyczy. Nie można ich zabić! Ale naszym obowiązkiem jest uratować wielką ciutwiedźmę, więc powiedzmy sobie od razu, że to wyprawa dla kamikadze i prawdopodobnie wszyscy wyładujemy z powrotem wśród żywych, gdzie jak wiadomo jest strasznie nudno. Więc... kto się zgłasza na ochotnika?!

Każdy Figiel, który ukończył cztery lata, podniósł rękę.

- No, dajcie spokój - powiedział Rozbój. - Nie możemy iść wszyscy. Powiem wam, kogo wezmę... Głupi Jaś, Duży Jan i... ty, Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba. I nie biorę żadnych dzieciuchów, więc jak któryś z was nie ma trzech cali wzrostu, po prostu z nami nie

idzie. Oczywiście oprócz ciebie Strasznie Ciut Wojtku Wielkagębo. A jeśli chodzi o pozostałych, ustalimy ochotników w tradycyjny figlarski sposób. Wezmę tych pięćdziesięciu, którym uda się utrzymać na nogach.

Wycofał się z wybraną trójką do narożnika, a pozostali radośnie szykowali się do walki. Figle lubią stosować zasadę jeden przeciwko wszystkim, ponieważ nie wymaga dokładnego celowania.

- Ona jest ponad kilkaset mil stąd - rzekł Rozbój, gdy walka się rozpoczęła. - Nie przebiegniemy tej odległości, to za daleko. Czy któryś z was ma jakiś pomysł?

- Hamisz mógłby polecieć na swym myszowie - odezwał się Duży Jan, odsuwając się nieco, by zrobić miejsce dla kłębówiska przetaczających się obok Figli.

- Owszem, i zabierzemy go ze sobą, tyle że on z kolei nie może zabrać ani jednego pasażera. - Rozbój przekrzykiwał gwar.

- Może przepłyniemy? - zapytał Głupi Jaś, przykucając, bo oszołomiony Figiel przelatywał mu nad głową.

Pozostali spojrzeli na niego pytająco.

- Przepłyniemy? Jak moglibyśmy przepłynąć taki kawał, głupku? - zapytał Rozbój.

- No cóż, pomyślałem, że może warto to rozważyć, nic więcej. - Jaś wyglądał na głęboko zranionego. - Chciałem tylko okazać się przydatny, rozumiecie? Moglibyście docenić moje starania.

- Wielka ciutwiedźmą odjechała furmanką - powiedział Duży Jan.

- No i co z tego? - zapytał Rozbój.

- Może my też tak byśmy mogli?

- O nie! - zaprotestował Rozbój. - Pokazywać się czarownicom to jedno, ale innym ludziom na pewno nie! Pamiętacie, co się wydarzyło kilka lat temu, kiedy Głupi Jaś pokazał się pani, która malowała w dolinie śliczne obrazki? Nie mam najmniejszej ochoty, by Towarzystwo Folklorystyczne znowu się tu zaczęło szwendać!

- Mam pomysł, panie Rozbój. Ja, Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba. Moglibyśmy się przebrać.

Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba zawsze podawał swoje pełne imię. Wydawało mu się, że jeśli nie będzie przypominał ludziom, kim jest, zapomną o nim i wtedy zniknie. Jeśli ma się wzrost połowy dorosłego praludka, jest się naprawdę niedużym. Jeszcze odrobina i można byłoby uchodzić za dziurę w ziemi.

Wojtek był nowym bardem. Bard nie tylko śpiewa dla klanu, ale też układa pieśni bojowe. To niełatwe życie, zwłaszcza że niecałe spędza z tym samym klanem. Prawdę

mówiąc, sam w sobie stanowi jednoosobowy klan. Bardowie wędrują pomiędzy różnymi klanami, aby pieśni i opowieści krążyły pomiędzy Figłami. Strasznie Ciut Wojtek przybył wraz z Joanną z klanu Długiego Jeziora. Jak na barda był bardzo młody, ale według Joanny zajęcie to nie miało ograniczeń wieku. Jeśli ma się talent, po prostu się zostaje bardem i już. A Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba znał wszystkie pieśni i potrafił grać na mysich dudach tak rzewnie, że aż deszcz zaczynał padać.

- No, mów, chłopcze - zachęcił go łagodnie Rozbój.

- Czy udałoby nam się wypełnić jakieś ludzkie ubranie? - zapytał Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba. - Bo jest taka stara opowieść o wielkiej waśni między klanem Trzy Szczyty i klanem Wichrowe Zakole. Chłopaki z Wichrowego Zakola uciekli w przebraniu stracha na wróble, a faceci z Trzech Szczytów wzięli ich za człowieka i trzymali się od nich z dala.

Pozostali spoglądali na niego zdziwieni i Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba uświadomił sobie, że rozmawia z chłopakami z Kredy, gdzie nikt niczego nie siał, więc i wróble się trzymały od tej krainy z dala, tak więc nikt tu nigdy nie uwidział stracha.

- Chodzi mi o takie straszdyło - wyjaśnił - które się robi z kijów i starych ubrań, żeby odstraszyć ptaki od zbiorów. Rozumiecie? Ballada mówi, że wódza Wichrowego Zakola użyła magii, by strach ruszył, ale mnie się wydaje, że wystarczyło trochę sprytu i dużo siły.

I zaśpiewał. A oni słuchali.

Potem powiedział, jak zrobić chodzącego człowieka. Popatrzyli na siebie. To było czyste szaleństwo, plan desperacki, bardzo niebezpieczny i ryzykowny, wymagający ogromnej siły i odwagi. Wobec czego zgodzili się natychmiast.

* * *

Akwila dowiedziała się, że jej czas nie będzie wypełniony jedynie przez obowiązki domowe i badania. Było jeszcze coś, co panna Libella nazywała „napełnianiem tego, co jest puste, i opróżnianiem tego, co jest pełne”.

Zazwyczaj kiedy panna Libella opuszczała dom, używała tylko jednego ciała. Ludzie brali ją za bliźniaczki, a ona robiła wiele, by ich w tym upewniać, ale mimo wszystko czuła się bezpieczniejsza, kiedy jej ciała znajdowały się rozdzielnie. Akwila potrafiła to zrozumieć. Wystarczyło przyjrzeć się uważnie pannie Libelli, kiedy jadła. Ciała podawały sobie talerze, nie potrzebując prośby o przesunięcie czegoś, czasami używały tego samego widelca, a już najdziwniejsze było, kiedy z jednych ust wyrывało się beknięcie, a drugie za to przepraszały.

„Napełnianie tego, co jest puste, i opróżnianie tego, co jest pełne” polegało na chodzeniu po okolicznych wioskach, a nawet położonych gdzieś dalej farmach i, najczęściej,

leczeniu. Zawsze znalazł się ktoś, komu trzeba było zmienić opatrunek, lub jakaś dziewczyna w ciąży, z którą należało porozmawiać. Prawie wszystkie wiedźmy zajmują się położnictwem, co można uznać za „opróżnianie tego, co pełne”, ale gdy panna Libella zjawiała się w swym spiczastym kapeluszu, całkiem przypadkowo pojawiali się tam też inni ludzie. Wtedy siadano przy dzbanku herbaty i plotkowano na potęgę. Świat plotki był gęsty od wydarzeń, a panna Libella znakomicie się w nim poruszała, choć Akwila zauważyła, że dowiaduje się dużo więcej, niż zdradza.

Ten świat wydawał się składać prawie wyłącznie z kobiet, choć czasami, na drodze z jednej chaty do drugiej, spotykały jakiegoś mężczyznę, z którym wymieniały uwagi na temat pogody, i jakoś się tak składało, że otrzymywał jakąś maść lub płyn.

Akwila nie bardzo potrafiła zrozumieć, jak panna Libella otrzymuje zapłatę za swoją działalność. Bez wątpienia koszt, który niosła, bardziej się zapeśniał, niż opróżniał. Mijały na przykład jakiś dom, a z niego wychodziła kobieta, by włożyć im upieczony właśnie bochenek chleba lub słoik marynat, chociaż panna Libella nawet się u niej nie zatrzymywała. Potem spędzały gdzie indziej godzinę, zszywając nogę farmerowi, który niezbyt ostrożnie obchodził się z siekierą, a dostawały tylko herbatę i stare ciasteczka. To wydawało się niesprawiedliwe.

- Potem się wyrówna - tłumaczyła jej panna Libella, kiedy szły przez las. - Robisz to, co możesz. A ludzie dają ci też to, co dać mogą i kiedy mogą. Stary Knot, któremu zszywałyśmy nogę, jest zły jak osa, ale idę o zakład, że nim tydzień minie, znajdę na progu duży polec mięsa. Już jego żona o to zadba. Za niedługo zacznie się czas świnobicia przed zimą, a wtedy dostanę więcej wieprzowiny, szynki, boczku i kielbas, niż niejedna rodzina potrafiłaby zjeść przez rok.

- Naprawdę? I co pani robi z tą masą jedzenia?

- Przechowam ją.

- Ale tu...

- Przechowam ją u innych ludzi. To niesamowite, ile mogą ci przechować inni ludzie.

- Panna Libella roześmiała się, widząc wyraz twarzy Akwili. - Oczywiście chodzi mi o to, że rozdám to, czego nie potrzebuję, między tych, którzy nie hodują świń, którym się powinna noga lub którzy nie mają nikogo, żeby o nich pamiętać.

- A to oznacza, że będą winni pani przysługę!

- Zgadza się. W ten właśnie sposób to się kręci. I naprawdę działa.

- Założę się, że niektórzy ludzie są zbyt skąpi, by płacić...

- Nie płacić - przerwała jej bardzo poważnie panna Libella. - Wiedźma nigdy nie oczekuje zapłaty i nigdy o nią nie prosi, może mieć tylko nadzieję, że nigdy nie będzie zmuszana wyciągać ręki po jałmużnę. Ale, choć przykro to mówić, masz rację.

- I co się wtedy dzieje?

- Nie rozumiem.

- Przestajesz im pomagać, prawda?

- Ależ nie! - Panna Libella spoglądała na nią zaskoczona. - Nie możesz nie pomóc komuś tylko dlatego, że jest głupi, niemły lub ma krótką pamięć. Tutaj wszyscy klepią biedę. Jeśli ja im nie pomogę, to kto?

Akwila po dobrej chwili wydusiła z siebie:

- Babcia Dokuczliwa... moja babcia mówiła, że ktoś musi przemawiać za tych, którzy sami nie mają głosu.

- Czy była wiedźmą?

- Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że tak, ale ona sama o tym nie wiedziała. Przez większość życia mieszkała samotnie w chacie pasterskiej w górach.

- Mówiła dużo do siebie? - zapytała panna Libella, a widząc wyraz twarzy Akwili, szybko dodała: - Przepraszam, naprawdę przepraszam. Tak często się dzieje z wiedźmami, które nie zdają sobie sprawy z tego, kim są. Jesteś wtedy jak statek bez steru. Ale widzę, że to nie był taki przypadek.

- Mieszkała na wzgórzach i rozmawiała z nimi, a poza tym znała się na owcach jak nikt na świecie! - wykrzyknęła zapalczywie Akwila.

- Jestem pewna, że tak właśnie było. Z pewnością ona...

- I nigdy nie mamrotała do siebie!

- Już dobrze, dobrze - łagodziała panna Libella. - Czy znała się na medycynie?

Akwila się zawahała.

- No... tylko jeśli trzeba było leczyć owce - przyznała już spokojnie. - Ale w tym była bardzo dobra. Szczególnie znała się na lekarstwach zawierających terpentynę. Prawdę mówiąc, większość jej lekarstw miała w swoim składzie terpentynę. Ale ona zawsze... po prostu... była... tam. Nawet wtedy gdy tak naprawdę jej nie było.

- Tak - powiedziała panna Libella.

- Pani wie, o co mi chodzi? - zapytała Akwila.

- O tak - odparła panna Libella. - Twoja babcia Dokuczliwa mieszkała w dolince pośród wzgórz.

- Nie, na wzgórzach otoczonych równiną - poprawiła ją Akwila.

- Przepraszam, na wzgórzu górującym nad równiną, z owcami, ale gdy ludzie podnosili wzrok, by popatrzeć na wzgórza, wiedzieli, że ona tam jest, mogli wtedy powiedzieć sobie: „Ciekawe, co w takiej sytuacji zrobiłaby babcia Dokuczliwa?” albo „Co powiedziała by babcia, gdyby się o tym dowiedziała?”, albo „Czy babcia Dokuczliwa by się za to na nas nie pogniewała?”. Tak?

Akwila zmrużyła oczy. Tak właśnie było. Przypomniała sobie sytuację, kiedy babcia uderzyła obwoźnego sprzedawcę, który załadował ponad miarę swojego osła i jeszcze go popędział. Choć zazwyczaj babcia posługiwała się tylko słowem, i to niezwykle powściągliwie. Handlarza tak przeraził jej nagły atak gniewu, że po prostu stał jak wmurowany w ziemię, przyjmując karę.

Akwila też się przeraziła. Babcia, która rzadko się odzywała, jeśli wcześniej nie pomyślała o tym przez dziesięć minut, uderzyła tego okropnego człowieka dwukrotnie w twarz, a jej ruchy były tak szybkie, że wydawały się jak zamazane. Wieści rozeszły się prędko, cała Kreda o tym mówiła. I przynajmniej przez chwilę ludzie byli łagodniejsi dla swoich zwierząt... Nawet kilka miesięcy po tym sprzedawcy, woźnicy czy farmerzy dobrze się zastanawiali, zanim podnieśli bat czy kij. I zawsze przez głowę im przemknęło: A jeśli babcia Dokuczliwa patrzy na mnie?

Ale...

- Skąd pani to wiedziała?

- Po prostu zgadłam. Mnie się wydaje, że była czarownicą, nie zależnie czy o tym wiedziała, czy nie. I to dobrą.

Akwila pękała z dumy. Przecież to była jej babcia.

- Czy pomagała ludziom? - zapytała panna Libella.

Balonik wypełniający Akwilę sflaczał nieco. Na czubku jej języka już szykowało się do wyskoczenia chętne „tak”, ale... Babcia Dokuczliwa rzadko kiedy schodziła ze wzgórz, chyba że na Strzeżenie Wiedźm i kiedy rodziły się jagnięta. Rzadko spotykało się ją w wiosce, chyba że spóźniał się sprzedawca, który przywoził Wesołego Żeglarza, bo wtedy zjawiała się z furkotem i szelestem czarnych spódnic, by naciągnąć na fajeczkę jednego ze staruszków.

Z drugiej strony jednak nie było na Kredzie nikogo, i to wliczając w to barona, kto nie zawdzięczałby czegoś babci Dokuczliwej. A jeśli ktoś był jej coś winien, spłacał to komuś innemu pokierowany przez babcię, która jakoś zawsze wiedziała, kto czego potrzebuje.

- Pomagała ludziom pomagać innym - odparła. - Robiła tak, że pomagali sami sobie.

W ciszy, jaka po tym nastąpiła, Akwila usłyszała śpiew ptaków. Było ich tu sporo, ale brakowało jej wysokiego krzyku myszołowa. Panna Libella westchnęła.

- Rzadko która z nas osiąga taki poziom - stwierdziła. - Gdybym mogła być aż tak sprawna, nie musiałybyśmy iść znowu z wizytą do starego pana Gniewniaka.

Akwila jęknęła w głębi serca.

Pan Gniewniak miał skórę cienką jak pergamin i równie żółtą. Zawsze siedział w tym samym starym fotelu w małym pokoju w małym domku, gdzie zawsze śmierdziało starymi ziemniakami. Domek otoczony był przez zachwaszczony ogród. Pan Gniewniak siedział mocno wyprostowany, z dłońmi opartymi na sękatym kij, ubrany w garnitur wytarty ze starości, i wpatrywał się w drzwi.

- Codziennie muszę sprawdzić, czy ma coś ciepłego do zjedzenia, chociaż je mało niczym ptaszek - powiedziała panna Libella. - A stara wdowa Gram, która mieszka kawałek dalej przy drodze, robi mu pranie. On ma dziewięćdziesiąt jeden lat.

Pan Gniewniak miał bardzo bystre spojrzenie i kiedy one sprzątały pokój, nieustannie do nich i mimo nich mówił. Kiedy Akwila zjawiała się u niego po raz pierwszy, zwracał się do niej per Marysiu. Czasami teraz też tak mówił. Raz złapał ją za nadgarstek z zaskakującą siłą, kiedy akurat go mijała... To był szok. Poczuli się tak, jakby szpony zacisnęły się na jej ręce. Pod cienką starczą skórą wyraźnie rysowały się błękitne żyły.

- Nie będę dla nikogo ciężarem - powiedział z jakąś dziwną natarczywością w głosie. - Mam odłożone pieniądze na ostatnią drogę. Mój Tobiasz nie musi się o nic martwić. Mogę zapłacić za wszystko. Chcę mieć porządną pogrzeb z wszystkimi szykanami, rozumiecie? Czarne konie w pióropuszech, a potem dla wszystkich poczęstunek. Zapisalem co do słowa, jak ma to być zrobione. Sprawdź w skrzyni. Dlaczego ta czarownica zawsze się tutaj szwenda?

Akwila rzuciła pannie Libelli przerażone spojrzenie. Wiedźma skinęła głową i wskazała starą drewnianą skrzynię wetkniętą pod fotel, na którym siedział pan Gniewniak.

Okazało się, że skrzynia była pełna pieniędzy, głównie miedziaków, ale znalazło się między nimi sporo monet srebrnych. To wyglądało na prawdziwą fortunę i przez chwilę dziewczynka zapragnęła wziąć te wszystkie pieniądze.

- W skrzyni jest pełno monet, proszę pana - powiedziała grzecznie.

- To dobrze. - Pan Gniewniak się uspokoił. - Dla nikogo nie będę ciężarem.

Kiedy tego dnia przyszły do niego, pan Gniewniak spał, chrapiąc z otwartymi ustami, tak że widać było żółte zęby. Ale obudził się w jednej chwili, popatrzył na nie i powiedział:

- Mój chłopak, Tobiasz, przyjeżdża do mnie z odwiedzinami w sobotę.

- To już niedługo. - Panna Libella trzepała poduszki. - Wysprzątamy mieszkanie, żeby było ładnie na jego przyjazd.

- Mój syn bardzo dobrze sobie radzi - oświadczył z dumą pan Gniewniak. - Nie pracuje w polu, o nie, taka praca nie jest dla niego. Zapowiedział, że przyjdzie zobaczyć, jak sobie radzi jego staruszek, aleja mu powiedziałem, powiedziałem mu to, że sam zapłacę za moje odejście... za wszystko, za ziemię, którą mnie zasypią, i za sól, i za napiwek dla przewoźnika.

Tego dnia panna Libella go gołiła. Jemu ręce za bardzo się trzęsły, żeby sam mógł to zrobić. (Poprzedniego dnia obcięła mu paznokcie, ponieważ sam nie mógł do nich dosięgnąć. Przyglądanie się temu nie było zbyt bezpieczne - jeden nawet wbił się w futrynę okna).

- Wszystko jest w pudle pod moim krzesłem - powiedział, kiedy Akwila nerwowo wycierała mu z twarzy reszkę piany. - Sprawdź to dla mnie, proszę, Marysiu.

To była ceremonia, która się powtarzała każdego dnia tak samo. W skrzyni zawsze było tyle samo pieniędzy.

- Napiwek dla przewoźnika? - zapytała Akwila, kiedy wracały z panną Libellą do domu.

- Pan Gniewniak pamięta stare obyczaje pogrzebowe. Niektórzy ludzie wierzą, że gdy umierasz, musisz przepłynąć Rzekę Śmierci i zapłacić przewoźnikowi. W dzisiejszych czasach ludzie przestali się przejmować takimi rzeczami. Może dzisiaj są już tam mosty.

- On zawsze mówi o... swoim pogrzebie.

- No cóż, to dla niego najważniejsze. Czasami starzy ludzie tak się właśnie zachowują. Męczą ich myśl, że są zbyt biedni, by zapłacić za własny pogrzeb. Pan Gniewniak umarłby ze wstydu, gdyby sam nie mógł za niego zapłacić.

- To strasznie smutne, że on jest taki samotny. Ktoś powinien coś dla niego zrobić - powiedziała Akwila.

- Owszem. Dlatego robimy - zgodziła się z nią panna Libella. - A wdowa Gram też zagląda do niego po przyjacielsku.

- Ale to chyba nie powinno należeć do nas.

- A do kogo powinno? - zacięwała się panna Libella.

- Co się dzieje z jego synem, o którym tak ciągle opowiada?

- Młody Tobiasz? Nie żyje od piętnastu lat. A Marysia była jego córką, zmarła w dzieciństwie. Pan Gniewniak jest krótkowidzem, ale przeszłość widzi doskonale.

Akwila nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, lecz ciągle kołatała jej myśl: Tak nie powinno być.

- Życie nie dzieje się tak, jak powinno. Staje się to, co się staje, i to, co my robimy.
- A nie mogłaby pani mu pomóc za pomocą magii?
- Robię to. Dbam, by nie cierpiał fizycznie - odparła panna Libella.
- Ale to tylko zioła.
- Na tym polega magia. Umieć poznać, że coś jest magiczne, o czym inni ludzie nie wiedzą.
- Przecież wie pani, o co mi chodzi. - Akwila poczuła, że straciła wszystkie argumenty.
- Chodzi ci o to, by uczynić go znowu młodym? - zapytała panna Libella. - Napełnić jego dom złotem? Nie, wiemy takich rzeczy nie robią.
- Za to pilnujemy, by jakiś staruszek miał ugotowany obiad i obcięte paznokcie? - W głosie Akwili pojawił się sarkazm.
- Owszem. Robimy to, co można zrobić. Panna Weatherwax powiedziała, że musisz nauczyć się, że bycie wiedźmą składa się z całkiem zwyczajnych obowiązków.
- A pani musi robić, co ona każe? - zapytała Akwila.
- Słucham tego, co mi radzi - chłodno odparła panna Libella.
- W takim razie panna Weatherwax jest przywódczynią, tak?
- Och nie! - Panna Libella była wyraźnie zaszokowana. - Wszystkie wiedźmy są równe. Nie ma wśród nas przywódczyń. To jest całkiem sprzeczne z duchem czarownic.
- Rozumiem - odparła Akwila.
- Poza tym panna Weatherwax nigdy nie zgodziłaby się na coś podobnego - dodała panna Libella.

* * *

Od pewnego dnia z domów położonych na Kredzie zaczęły ginać różne rzeczy. Nie chodzi o okazjonalne zniknięcie jajka czy kury. Ze sznurów do suszenia bielizny zniknęły ubrania. Spod łóżka Wścibskiego Parobczaka, najstarszego człowieka w wiosce, zniknęła para butów...

- A były to doskonałe buty. Potrafiły wrócić z baru do domu całkiem samodzielnie, gdy tylko ustawiło się je w odpowiednim kierunku - skarżył się każdemu, kto chciał słuchać. - Odmaszerowały ode mnie razem ze starym kapeluszem. A stał się taki, jaki zawsze chciałem mieć, mięciutki i wygodny.

Para spodni i długi płaszcz zniknęły ze sznura Niezłomnej Szwindel, która hodowała fretki. W kieszeniach ukradzionego płaszcza było ich parę.

No i ktoś dostał się przez okno do sypialni Klemensa Robotnego i zgolił mu całą brodę, która była tak długa, że mógł ją zatknąć zapasek. Nie został ani jeden włos. Biedny Klemens obwiązywał sobie teraz twarz szalikiem, aby widok jego różowutkiej buźki nie wystraszył co delikatniejszych dam...

To z pewnością robota więdźm, zgodzili się ludzie i rozwiesili w oknach kilka następnych siatek na uroki.

A pewnego dnia...

...na odległym skraju Kredy, tam gdzie długie zielone stoki przechodziły w płaskie pola, i gdzie rosły wielkie kolczaste krzaki, skąd zazwyczaj dochodziły ptasie trele, gdybyśmy podeszli bliżej, byśmy usłyszeli, że z jednego dochodzą wiązanki przekleństw.

- Na litość! Gdzie ty masz rozum, w co pakujesz swoją nogę, ty, ty włogaczno!

- Nic na to nie poradzę! Niełatwo jest być kolanem!

- I ty myślisz, że ci ciężko? Nie chciałbyś być na moim miejscu tutaj w butach. Stary Parobczak nie mył chyba nóg od lat Jak tu cuchnie!

- Mówisz, że cuchnie? W takim razie zapraszam cię do kieszeni! Najwyraźniej fretki nie pofatygowały się nigdy, by z nich wyjść, nawet za potrzebą, takie jest moje zdanie!

- Na litość! Czy wy, głupki, nigdy się nie zamkniecie?

- No, tylko go posłuchajcie! Siedzi w miejscu głowy, to mu się wydaje, że zjadł wszystkie rozumy! Zapamiętaj, chłopie, że jesteś tylko massa tabulette.

- Słuszna racja! Tym razem w pełni się zgadzam z łokciem. Gdzie byś był, gdybyśmy cię nie nieśli? Myślisz, że niby kim ty jesteś?

- Ja jestem Rozbój Figiel, o czym wiesz bardzo dobrze, i mam więcej rozumu niż wy wszyscy razem wzięci.

- No dobra, Rozbój, ale tu jest naprawdę bardzo niewygodnie.

- A ja już mam dosyć skarg żołądka!

- Panowie! - rozległ się głos ropucha. Nikomu innemu nie śniłoby się nawet nazwać Figli panami. - Panowie, czas jest na wagę złota. Furmanka zaraz tu będzie. Nie możecie się na nią spóźnić!

- Potrzebujemy więcej czasu, by poćwiczyć. Chodzimy niczym paralityk w ostrym ataku biegunki! - powiedział głos dochodzący z samej góry.

- Ale przynajmniej chodźcie, panowie. To wystarczy. Życzę wam powodzenia.

Z dalszych krzaków, gdzie przez prześwit dało się obserwować drogę, rozległ się krzyk:

- Furmanka zjeżdża ze wzgórza!

- Dobra, chłopaki! - krzyknął Rozbój. - Ropuchu, ty opiekujesz się Joanną, zrozumiałeś? Ona potrzebuje myślącego faceta, na którym może polegać, kiedy mnie tu nie będzie. A teraz, bando łobuzów, zrobimy to albo zginiemy! Wiecie, co do każdego należy! Chłopaki przy linach, ciągnąć nas w górę. - Krzaki się zakołysały. - Wprawo! Miednica, jesteś gotowa?

- Tak jest!

- Kolana? Kolana? Powiedziałem, kolana!

- Tak jest, Rozbój, ale...

- Stopy?

- Tak jest.

Krzaki zatrzęsły się jeszcze raz.

- Prawa! Pamiętajcie: prawa, lewa, prawa, lewa! Miednica, kolano, stopa na ziemi! Stopy, utrzymujcie sprężystość kroku! Gotowi? Dalej, chłopcy... idziemy.

Dla pana Wziąwsza była to spora niespodzianka. Patrzył przed siebie właściwie na nic konkretnego, myśląc tylko o tym, że wraca już do domu, kiedy coś wyłoniło się z krzaków i stanęło na drodze. Wyglądało na człowieka, a raczej wyglądało bardziej na człowieka niż na cokolwiek innego. Ale najwyraźniej miało problemy z kolanami. Szło, jakby były związane.

Nie można jednak powiedzieć, by furman specjalnie się nad tym zastanawiał, ponieważ dostrzegł, że w obciągniętej rękawiczką dłoni zabłysło coś złotego.

To w jednej chwili określiło przybysza, przynajmniej w tym zakresie, w jakim mógł zainteresować furmana. Z pewnością nie był to, jak można byłoby wnioskować na pierwszy rzut oka, jakiś stary tramp, ale najwyraźniej dżentelmen, który popadł w kłopoty. Furman po prostu czuł się w obowiązku, by mu pomóc. Zatrzymał wóz natychmiast.

Obcy właściwie nie miał twarzy. Pomiedzy opuszczonym rondem kapelusza a postawionym kołnierzem dostrzec można było jedynie brodę. A gdzieś zza tej brody rozległ się głos:

- ...czyja, ojej... zamkniesz się, kiedy ja mówię?... hmmm... Dobrego dnia ci życzę, dobry ty mój człowieku. Jeśli podrzucisz nas... mnie tam, gdzie jedziesz, my... dam ci lśniąca złotą monetę!

Postać przesunęła się do przodu, wyciągając rękę tuż przed twarz pana Wziąwsza.

To była całkiem spora moneta. I z pewnością złota. Pochodziła ze skarbcza dawno nieżyjącego króla, który zajmował większą część kopca zamieszkanego przez Figli. Co dziwne, Figli złoto przestawało interesować dokładnie w momencie, kiedy dokonywały kradzieży, wychodząc z założenia, że nie nadaje się ono ani do jedzenia, ani do picia. W

swojej pieczarze używali złotych monet i talerzy, by odbijały światło świec, co dawało bardzo przyjemny efekt. Oddanie takiej monety nie kosztowało ich zbyt wiele.

Furman wpatrywał się w złoto. Było więcej warte niż wszystko, co zarobił przez całe swoje życie.

- Jeśli... szanowny pan... życzy sobie... proszę wsiadać - powiedział z nabożnym szacunkiem, sięgając po pieniądz.

- No dalej, w górę! - zawołał po chwili tajemniczy brodac. - Chwileczkę, to będzie wymagało ciut organizacji... dobra, użyj rąk, złap tu krawędź wozu, podnieś nogę, musisz się tu przesunąć... o, do licha! Pochyl się. No, nachyl. Zrób to porządnie! - Brodata twarz odwróciła się w stronę furmana. - Bardzo przepraszam. Mówię do moich kolan, ale nie słuchają.

- Naprawdę? - zapytał furman słabym głosem. - Mnie też kolana odmawiają posłuszeństwa, kiedy jest wilgotno. Bardzo skuteczny jest na to gęsi tłuszcz.

- No to ja powiem, że te kolana dostaną ode mnie coś zupełnie innego, jeśli będę musiał zejść na dół, żeby im przypomnieć, co do nich należy! - wykrzyknął brodac.

Woźnicę doszły dziwne dźwięki przypominające bójkę, ale jego gość znalazł się wreszcie na wozie.

- Możemy jechać - odezwał się głos. - Nie mamy za wiele czasu. A wy, kolana, jeszcze popamiętacie. Dalej jazda do brzucha i przysłać mi parę dobrych chłopaków do kolan!

Woźnica zagryzł monetę, popędzając konia do jazdy. Złoto było tak czyste, że pozostały na nim ślady zębów. Czyli pasażer jest bardzo, ale to bardzo bogaty. Co w tym momencie uznał za najważniejsze.

- Nie mógłbyś jechać nieco szybciej, mój dobry człowieku? - zapytał głos z tyłu, kiedy przejechali już kawałek.

- Widzi pan te skrzynie i pudła? - zapytał furman. - Wiozę tam jajka, a jabłka też nie mogą się obtłuc. Są jeszcze słoje...

W tym momencie usłyszał dźwięki jednoznacznie mówiące o rozbijaniu, po czym nastąpiło „łups!”, które mogło tylko oznaczać, że pojemnik z jajkami rozbił się na drodze.

- Czy teraz możemy jechać trochę szybciej? - zapytał głos.

- Posłuchaj pan, to były moje...

- Mam tu jeszcze jedną z tych dużych złotych monet, która może być twoja! - Ciężka i śmierdząca ręka wylądowała na ramieniu woźnicy. Na rękawiczce rzeczywiście leżała kolejna złota moneta. Stanowiła dziesięciokrotną wartość ładunku.

- No cóż... - Furman skwapliwie sięgnął po monetę. - Wypadki się zdarzają, czyż nie, panie?

- Owszem, szczególnie kiedy uznam, że nie jedziemy wystarczająco szybko - odparł głos za nim. - My... to znaczy ja muszę się jak najszybciej dostać za tamte góry.

- Ależ to nie jest dylizans, panie! - W głosie woźnicy ponaglącego konia do kłusa zabrzmiał wyrzut.

- Dylizans? A co to takiego?

- Coś, co może pana zawieźć w góry. Złapie go pan w Dwóch - koszulach. Ja nigdy nie byłem dalej niż Dwiekoszule. Ale dzisiaj już go pan nie złapie.

- Dlaczego nie?

- Muszę się zatrzymać po drodze w wioskach, jeszcze przed nami długa droga, w środy dylizans odjeżdża wcześniej, a ta furmanka może jechać tylko tak szybko jak teraz i...

- Jeśli my... jeśli nie złapię dzisiaj dylizansu, dam ci tak popalić, że pożałujesz! - warknął pasażer z tyłu. - Ale jeśli dopadniemy dziś dylizansu, dam ci jeszcze pięć złotych monet.

Pan Wziąwsz wziął głęboki wdech i wrzasnął:

- Hejta! Wio, Henryś!

* * *

Biorąc wszystko pod uwagę, Akwila doszła do wniosku, że to, czym zajmują się wiedźmy, niewiele się różni od pracy. Zwykłej pracy. Panna Libella nawet nie używała zbyt często swojej miotły do latania.

To było nieco dołujące. Wszystko sprowadzało się do... no, powiedzmy wprost, bycia dobrym. Z pewnością było to lepsze niż być całkiem złym, ale... choć odrobina czegoś niezwykłego przecież by nie zaszkodziła. Akwila nie chciała wcale, by ktoś myślał, że oczekuje wręczenia czarodziejskiej różdżki, no ale wszystko, co o magii mówiła panna Libella, sprowadzało się do nieużywania tejże.

Trzeba przy tym zauważyć, że w nieużywaniu magii Akwila uważała siebie za mistrzynię. Trudne wydawało jej się czarowanie.

Panna Libella cierpliwie pokazywała, jak się robi chaos, który tak naprawdę daje się zrobić z niczego i z wszystkiego, choć przydawało się coś żywego, na przykład robak lub świeże jajko.

Akwila nawet nie potrafiła rozwiesić przedmiotów. To było takie... irytujące. Czy nie miała wirtualnego kapelusza? Czy nie miała zdolności widzenia rzeczywistości i myślenia drugiego stopnia? Zarówno panna Tyk, jak i panna Libella potrafiły rozrzuć różne

przedmioty, tworząc chaos w jednej chwili, Akwili udawało się jedynie stworzyć mętlík z kapiącym pośrodku jajkiem. I to raz za razem.

- Wiem, że robię wszystko dobrze, ale jakoś się to skręca - skarżyła się. - Co z tym począć?

- Może omlet? - pogodnie zapytała panna Libella.

- Och, proszę, panno Libello! - jęknęła dziewczynka.

Wiedźma poklepała ją po plecach.

- Uda ci się. Za bardzo się starasz. Pewnego dnia samo ci wyjdzie. Tak się właśnie dzieje z siłą. Musisz po prostu trafić na odpowiednią ścieżkę...

- Czy nie mogłaby pani zrobić jednego dla mnie, żebym mogła użyć przez chwilę i zrozumieć, w jaki sposób to wisi?

- Obawiam się, że nie - odparła panna Libella. - Chaos potrafi być bardzo zwodniczy. Nie można nawet się z nim przemieszczać, chyba że traktując go jak ozdobę. Musisz stworzyć go sama, tu i teraz, dokładnie w tym miejscu i czasie, gdzie chcesz go użyć.

- Dlaczego? - zapytała Akwila.

- Aby złapać chwilę - odpowiedziała jej druga panna Libella, która pojawiła się w tym właśnie momencie. - Sposób, w jaki wiążesz węzły, w jaki przebiegają nitki...

- ...świeżość jajka chyba też ma znaczenie i wilgotność powietrza - dodała pierwsza panna Libella.

- Twardość gałązek i rodzaj przedmiotów, które akurat znalazły się w twojej kieszeni...

- Nawet to, jaki wieje wiatr - podsumowała panna Libella. - Wszystko to razem daje... obraz teraźniejszości, jeśli tylko się je dobrze skomponuje. Ale nie jestem ci w stanie powiedzieć, jak powstaje taka kompozycja, ponieważ sama tego nie wiem.

- Ale pani to robi! - Akwila czuła się całkiem pogubiona. - Widziałam przecież...

- Tak, tylko że nie wiem, jak to robię - odparła panna Libella, zgarniając kilka patyczków i dodając do nich sznurek.

Panna Libella usiadła za stołem naprzeciwko panny Libelli i cztery dłonie zabrały się do robienia chaosu.

- To przypomina mi czasy, gdy byłam w cyrku - powiedziała. - Spotkałam tam...

- ...Marca i Falca, Latających Braci Pastrami - kontynuowała jej druga połowa. - Wykonywali...

- ...potrójne salto pięćdziesiąt stóp nad ziemią bez siatki zabezpieczającej. Cóż to byli za chłopcy! I tak podobni...

- ...jak dwa groszki z jednego strączka. A Marco potrafił złapać Falca z zawiązanymi oczami. Nawet się zastanawiałam, czy nie są tacy jak ja...

Zamilkła, obie twarze spłonęły rumieńcem, odkasznęła.

- W każdym razie - kontynuowała - pewnego dnia zapytałam, jak udaje im się utrzymać tak wysoko na linie, wtedy Falco powiedział mi: Nigdy nie pytaj tego, który chodzi po linie, jak to robi. Jeśli tylko zaczniesz się nad tym zastanawiać, spadnie. Chociaż muszę przyznać, że to, jak mówili, brzmiało całkiem inaczej...

- ...udawali, że pochodzą z Brindisi, to brzmiało egzotycznie i interesująco. Bali się, że nikt nie będzie chciał oglądać duetu akrobatów o nazwie Latający Kowalscy czy Piotr i Paweł Wiśniewscy. Mieli zresztą dużo racji.

Dłonie nie przestawały się poruszać. I nie były to ręce pojedynczej panny Libelli, skupiona na dziele była cała jej osoba, dwadzieścia palców pracowało jednocześnie.

- Oczywiście - dodała - bardzo pomaga, gdy można znaleźć we własnych kieszeniach przydatne przedmioty. Ja na przykład zawsze mam kilka cekinów...

- ...które przywołują szczęśliwe wspomnienia. - Panna Libella po drugiej stronie stołu znowu pokraśniała.

I oto trzymały chaos. Lśniący od cekinów, z jajkiem zawieszonym w torebce z nitki, dostrzec też można było kość kurczęcia i wiele innych drobiazgów wiszących lub wirujących między nitkami.

Obie części panny Libelli włożyły dłonie między nitki i pociągnęły.

I sznurki ułożyły się we wzór. Czy cekiny przeskoczyły z jednego sznurka na drugi? Tak to wyglądało. Czy kość przeszła przez jajko? Najwyraźniej.

Panna Libella wpatrywała się w chaos.

- Coś nadchodzi... - powiedziała.

* * *

Dylizans minął Dwiekoszule. Zajęta była tylko połowa miejsc. Kiedy jechali już całkiem długo przez równinę, jeden z pasażerów siedzących na dachu klepnął stangreta w ramię.

- Przepraszam, ale nie zauważył pan przypadkiem, że coś usiłuje nas dogonić? - zapytał.

- Szanowny panie - odparł stangret, który liczył na porządną zapłatę od każdego pasażera - nie istnieje nic, co mogłoby nas dogonić.

I w tej samej chwili usłyszał dochodzący z odległości krzyk, który potęgował.

- Hm, mnie się jednak wydaje, że on postanowił to zrobić - powiedział pasażer, w chwili gdy właśnie zrównywała się z nimi furmanka.

- Stój! Stój, na litość boską! - wrzeszczał woźnica, mijając ich w pełnym pędzie.

Ale nic nie było w stanie zatrzymać Henrysia. Zawsze służył jako pociągowy koń, przemieszczając się bardzo wolno od wioski do wioski, lecz przez te wszystkie lata w jego wielkiej głowie tliła się myśl, że stworzono go dla szybszych celów. Włókł się wyprzedzany przez inne wozy, nawet kulawe psy go wyprzedzały. Teraz wreszcie czuł, że żyje.

Poza wszystkim innym, wóz był znacznie lżejszy niż zazwyczaj, a co więcej, droga prowadziła lekko w dół. Musiał galopować, inaczej wóz najechałby na niego. I wreszcie udało mu się przegonić dylizans. Komu? Henrysiowi, uwierzilibyście?!

Zatrzymał się tylko dlatego, że stangret zatrzymał dylizans. Trzeba też przyznać, że pierwszy raz od dawna czuł, jak krew w nim krąży, a w zaprzęgu dylizansu stało kilka kobyłek, które z chęcią by poznał - dowiedział się na przykład, kiedy mają wolne albo jaką trawę lubią najbardziej, no takie tam.

Woźnica, cały zielony na twarzy, zsunął się z wozu i położył na ziemi, jakby chciał ze wszystkich sił przylgnąć do twardego gruntu.

Jego jedyny pasażer, który dla stangreta wyglądał jak strach na wróble, równie niepewnie zsunął się z tyłu wozu i zataczając się, ruszył w stronę dylizansu.

- Przykro mi, ale nie ma wolnych miejsc - skłamał stangret. Wolne miejsca były, ale z pewnością nie dla kogoś, kto wyglądał tak jak ten gość.

- Aha, więc nie chcesz otrzymać zapłaty w złocie - zdziwił się podróżny. - W złocie takim jak ta oto moneta - dodał, wyciągając przed siebie dłoń w rękawiczce.

W jednej chwili zrobiło się mnóstwo miejsca dla ekscentrycznego milionera. Po kilku sekundach siedział już w środku, a sam dylizans, ku ogromnemu niezadowoleniu Henrysia, zaczął się pospiesznie oddalać.

* * *

W pobliżu domku panny Libelli pomiędzy drzewami pojawiła się miotła. Młoda czarownica - a przynajmniej ktoś młody, kto ubierał się jak czarownica (nie warto zbyt szybko przyjmować pewnych rzeczy na wiarę) - dojeżdżała jej jak amazonka.

Z pewnością nie leciała pewnie. Miotła od czasu do czasu się szarpała, wyraźnie też dziewczyna nie radziła sobie ze zwrotami, ponieważ niekiedy zatrzymywała się, zeskakiwała na ziemię i kierowała miotłę ręcznie w inną stronę. Gdy dotarła do bramy ogrodu, kolejny raz zeskoczyła z miotły i uwiązała ją do sztachet.

- Znakomicie, Petulio! - zawołała panna Libella, klaszcząc wszystkimi czterema dłońmi. - Coraz lepiej ci to wychodzi.

- Hm, dziękuję, panno Libello - powiedziała dziewczyna, kłaniając się. Po chwili, wciąż schylona w ukłonie, dodała: - Hm, no ta...

Jedna panna Libella zrobiła już krok do przodu.

- Widzę, w czym problem - oświadczyła. - Twój amulet z sówkami wplątał się w wisior ze srebrnych sznurów, w dodatku oba zaczepiły się o guzik. Poczekaj chwilę, zaraz to naprawimy.

- Hm, przyjechałam zapytać, czy pani nowa podopieczna nie chciałaby przylecieć dzisiaj na sabat - powiedziała zgięta wciąż Petulia, nieco stłumionym głosem.

Pierwsze, co rzuciło się w oczy Akwili, gdy spoglądała na ich gościa, to że dziewczyna wszędzie nosi biżuterię. Potem dowiedziała się, że gdy przebywało się choć chwilę w jej towarzystwie, nieustannie trzeba było odczepiać bransoletkę od wisiora lub (co kiedyś naprawdę się zdarzyło, choć nikt nie wiedział jak) kolczyk od łańcuszka zdobiącego kostkę. Petulia nie potrafiła oprzeć się okultystycznej biżuterii. Większość tego, co na sobie nosiła, miała dzięki mocom magicznym chronić ją przed różnymi rzeczami, ale nie znalazła dotąd żadnego amuletu, który uchroniłby ją przed tym, że wyglądała cokolwiek głupio.

Była niska i okrągła, z nieustannie zaczerwienioną twarzą i bez przerwy czymś zmartwiona.

- Sabat? - W głosie panny Libelli zabrzmiało zdziwienie. - A, chodzi ci o jedno z tych waszych spotkań. To mogłoby być miłe, nie sądzisz, Akwilo?

- Tak pani myśli? - Akwila nie była jeszcze o tym przekonana.

- Niektóre z dziewcząt spotykają się wieczorami w lesie - wyjaśniała panna Libella. - Z jakiegoś powodu uprawianie czarów stało się znowu modne. Z czego się oczywiście bardzo cieszymy. - W jej głosie nie było jednak pewności, którą wyrażały słowa. - Petulia pracuje dla Starej Mamy Czarnykaptur, mieszkają w Chyłkiebez. Specjalizuje się w zwierzętach. Znakomicie sobie radzi z chorobami świń. To znaczy, chciałam powiedzieć, z chorymi świniami. Byłoby miło, gdybyś się zaprzyjaźniła z dziewczętami. Czemu nie pójść na to spotkanie? No dobrze, wszystko odczepiłam.

Petulia wyprostowała się i obdarzyła Akwilę uśmiechem, który jednak nie potrafił zetrzeć wyrazu zmęczenia z jej twarzy.

- Hm, jestem Petulia Chrzastka - przedstawiła się, wyciągając rękę.

- Akwila Dokuczliwa. - Akwila ostrożnie uściśnęła podaną jej dłoń, obawiając się, że dźwięczenie wszystkich kółek i łańcuszków mogłoby ją ogłuszyć.

- Hm, możesz lecieć ze mną na mojej miotle, jeśli masz ochotę - zaproponowała Petulia.

- Dziękuję, ale raczej nie.

Na twarzy Petulii odmalowała się ulga, ale powiedziała jeszcze:

- Hm, czy chcesz się ubrać?

Akwila złustrowała wzrokiem swą zieloną sukienkę. - Jestem ubrana - stwierdziła.

- Hm, nie masz żadnych klejnotów, koralików, amuletów czy czegoś w tym stylu?

- Przykro mi, ale nie - odparła Akwila.

- Masz przynajmniej jakieś rzeczy do zbudowania chaosu.

- Hm, nie potrafię sobie z nim poradzić - odparła Akwila. Jej „hm” nie było zamierzone, ale w towarzystwie Petulii stawało się zaraźliwe.

- Hm... a może masz czarną sukienkę?

- Nie przepadam za czarnym, wolę niebieski albo zielony. Hm..

- Hm. No cóż, dopiero zaczynasz - stwierdziła Petulia wielkodusznie. - Ja jestem rzemiechą od trzech lat.

Akwila rzuciła rozpaczliwe spojrzenie najbliższej pannie Libelli.

- Rzemiosło - usłyszała podpowiedź. - Bycie wiedźmą.

- Och. - Akwila zdawała sobie sprawę, że zachowuje się nie zbyt przyjaźnie, a Petulia z różową buzią była z pewnością miła, ale stojąc przed nią, czuła się zmieszana, sama nie wiedząc czemu. Na rozum było to głupie. Przydałaby jej się przyjaciółka. Lubiała pannę Libellę, z Oswaldem też stosunki nieźle jej się układały, ale przyjemnie byłoby mieć kogoś w swoim wieku, z kim można by pogadać.

- No cóż, z przyjemnością pojedę - powiedziała wreszcie. - Wiem, że muszę się jeszcze dużo nauczyć.

Pasażerowie dyliżansu zapłacili ciężkie pieniądze, by siedzieć w środku, na miękkich siedzeniach, a nie na zewnątrz w wietrze i pyłe, było więc nieco dziwne, że tak wielu z nich już na następnym przystanku przesiadło się na dach.

Resztką, która nie wyobrażała sobie podróżowania w takich warunkach lub po prostu nie zdołałaby wdrapać się na górę, siedziała stłoczona, wpatrując się w nowego pasażera niczym stadko królików nie spuszczaających wzroku z lisa, próbując nie oddychać.

Problem nie w tym, że śmierdział. Chociaż oczywiście był to problem, ale w porównaniu z tym, co naprawdę miało znaczenie, ten się praktycznie nie liczył. A chodziło o

to, że pasażer mówił do siebie. A raczej że jego różne partie przemawiały do innych. I to przez cały czas.

- Tutaj na dole jest nie do wytrzymania. No mówię wam. Jestem pewien, że teraz moja kolej znaleźć się w głowie.

- Wy w brzuszku mięciutko sobie leżycie i już, to na nas w nogach spada cała robota.

Na co odpowiedziała prawa ręka:

- Nogi? Nie macie w ogóle pojęcia, co oznacza słowo „praca”! Powinniście spróbować wcisnąć się w rękawiczkę. Tak bym chciał wyprostować nogi!

W osłupiałym milczeniu pasażerowie patrzyli, jak jedna z dłoni tego straszego człowieka odpada i zaczyna spacer po siedzeniu.

- No cóż, bycia w spodniach też nie nazwałbym piknikiem. Zamierzam tu wpuścić trochę świeżego powietrza.

- Głupi Jasiu, ani mi się waży...

Pasażerowie, ścisnąwszy się jeszcze bardziej, wpatrywali się w spodnie z przerażeniem połączonym z fascynacją. Coś się poruszyło, z miejsca, które z pewnością nie powinno oddychać, dochodziły zduszone przekleństwa i nagle kilka guzików odskoczyło z trzaskiem, a w otworze pokazał się maleńki błękitny człowieczek z czerwoną główką, mrugając od nagłego nadmiaru światła oczami.

Kiedy zobaczył ludzi, zamarł.

Nie odrywał od nich wzroku.

Podobnie jak oni od niego.

Potem twarz rozciągnęła mu się w szaleńczym uśmiechu.

- U was, chłopaki, wszystko w porządku? - zapytał zdesperowany. - To świetnie! O mnie się nie martwcie... Jestem, no wiecie, jednym z tych nowomodnych suwaków.

I zniknął w spodniach, skąd doszedł jego szept:

- Myślę, że ich skołowałem.

Kilka minut później dyliżans stanął na zmianę koni. Kiedy był gotowy do drogi, zabrakło wszystkich pasażerów ze środka. Wysiedli i poprosili również o zdjęcie ich bagażu. Nie, wielkie dzięki, ale nie zamierzają kontynuować podróży. Pojadą drugim dyliżansem następnego dnia. Nie, w ogóle im nie przeszkadza, że muszą przeczekać noc w tym uroczym, maleńkim, no, powiedzmy, mieście znanym pod nazwą Niebezpieczny Zakątek. Jeszcze raz wielkie dzięki. I do widzenia.

Dyliżans ruszył dalej, był teraz lżejszy i jechał szybciej. Nawet zrezygnował z postoju wieczornego. Pasażerowie z dachu ledwie zdążyli zasiąść do kolacji, gdy usłyszeli, jak ich

pojazd odjeżdża bez nich. Miało to chyba coś wspólnego z potężną sakiewką złotych monet spoczywającą teraz w kieszeni stangreta.



ROZDZIAŁ PIĄTY

KRAĞ

Akwila maszerowała lasem, a Petulia leciała ponad nią nierównoległe zygzakiem. W międzyczasie Akwila dowiedziała się, że: Petulia jest miła, ma trzech braci, kiedy dorośnie, chce się specjalizować w przyjmowaniu na świat dzieci, przy czym mają to być zarówno dzieci ludzkie, jak i małe świnki. I że boi się szpilek. Dowiedziała się też, że Petulia nienawidzi nie zgadzać się właściwie w każdej sprawie.

Więc ich rozmowa przebiegała mniej więcej tak:

- Mieszkam na Kredzie - zagajała Akwila.

A Petulia na to:

- Ach, to tam, gdzie wszyscy hodują owce. Nie przepadam za owcami, są takie... workowate.

- No cóż, my jesteśmy bardzo dumni z naszych owiec - odpowiedziała Akwila.

W tym momencie można było pójść o zakład, że Petulia natychmiast zrewiduje swoją opinię, zachowując się jak ktoś, kto chce przełożyć ubranie na drugą stronę, nie zdejmując go.

- Nie miałam na myśli tego, że ich nie lubię. Z pewnością niektóre owce są w porządku. My też niekiedy hodujemy owce. Są lepsze od kóz, no i bardziej wełniste. Chciałam powiedzieć, że właściwie to lubię owce. Są bardzo miłe.

Petulia poświęcała bardzo dużo czasu na dowiedzenie się, co myślą inni ludzie, żeby ona mogła myśleć to samo. Nie sposób było się z nią pokłócić. Akwila musiała powstrzymać się, żeby nie powiedzieć: „Niebo jest zielone”, po to tylko by zobaczyć, ile czasu zajmie jej nowej koleżance zgodzenie się z tym stwierdzeniem. Ale polubiła ją. Nie sposób było jej nie polubić. W towarzystwie Petulii czuła, że odpoczywa. Poza tym trudno się powstrzymać przed lubieniem kogoś, kto nie potrafi zmusić miotły do skrętów.

To była długa wędrówka przez las. Akwila zawsze marzyła, by znaleźć się w lesie tak potężnym, że przez drzewa nie będzie prześwitywał drugi jego koniec, ale teraz, kiedy od paru tygodni mieszkała na skraju takiej właśnie puszczy, zaczynała jej ona grać na nerwach. Choć tutejsze lasy były całkiem przyjazne, przynajmniej wokół wiosek. Nauczyła się odróżniać klon od brzozy, nigdy też wcześniej nie widziała świerku czy jodły rosnącej na pochyłości. Ale towarzystwo drzew jej nie uszczęśliwiał. Brakowało jej horyzontu. Brakowało widoku nieba. Brakowało przestrzeni.

Petulia plotła coś nerwowo. Stara Mama Czarnykaptur była hodowczynią świń, zaganiaczem krów, wiedźmą - weterynarzem. Petulia lubiła zwierzęta, szczególnie świnie, ponieważ miały drżące nosy. Akwila także lubiła zwierzęta, ale nikt, poza innymi zwierzętami, nie lubił zwierząt w taki sposób jak Petulia.

- Więc... jakiego typu jest to spotkanie? - zapytała, żeby zmienić temat.

- Hm? Chodzi o to, żeby być w kontakcie - odpowiedziała Petulia. - Annagramma twierdzi, że kontakty są bardzo ważne.

- Czy Annagramma jest waszą przewodniczącą? - zapytała Akwila.

- Hm, no nie. Annagramma mówi, że wiedźmy nie mają przewodniczących.

- Hmmm - odparła Akwila.

Słońce właśnie zachodziło, kiedy dotarły wreszcie do polany w lesie. Były tam pozostałości starego domku. Gdyby ktoś nie zwrócił uwagi na rozrastający się dziko bez oraz krzaki agrestu i jeżyn tworzące gęszcz kolców, można go było całkiem przeoczyć. Ktoś kiedyś tutaj mieszkał i uprawiał ogród.

A teraz ktoś inny rozpałił ogień. Nieumiejętnie. Dzięki temu dowiedziały się, że położenie się na brzuchu, by dmuchać w ogień, ponieważ zbyt mało dodano rozpalki i papieru, to nie był najlepszy pomysł, bo spowoduje tylko to, że twój spiczasty kapelusz, którego oczywiście zapomniałaś zdjąć, spadnie prosto w to dymiące coś, co miało być ogniskiem, ale ponieważ akurat kapelusz jest całkiem suchy, zajmie się ogniem.

Młoda wiedźma w tym właśnie momencie rozpaczliwie wymachiwała płonącym kapeluszem, czemu przyglądało się z zainteresowaniem kilka innych młodych czarownic.

Jedna z nich, siedząca na pniu drzewa, odezwała się:

- Dymitro Hubabuba, to dosłownie najgłupsza rzecz, jaką którakolwiek z nas gdziekolwiek i kiedykolwiek zrobiła.

Słowa te zostały wypowiedziane ostrym, niezbyt miłym tonem. Takiego ludzie używają, kiedy chcą być sarkastyczni.

- Przepraszam, Annagrammo. - Panna Hubabuba wyciągnęła kapelusz z ognia i stanęła na nim, żeby zdusić płomień.

- Spójrz no tylko na siebie. Wszystkie nas zawiodłaś.

- Przepraszam, Annagrammo!

- Hm - odchrząknęła Petulia.

Wszystkie odwróciły się w ich stronę.

- Spóźniłaś się, Petulio Chrzastko! - zachnęła się Annagramma. - I kogo z sobą przywlekłaś?

- Hm, to ty poprosiłaś mnie, żebym zajrzała do panny Libelli i przyprowadziła nową dziewczynę, Annagrammo – odpowiedziała Petulia, jakby została przyłapana na robieniu czegoś niecnego.

Annagramma wstała. Była przynajmniej o głowę wyższa od Akwili i miała twarz, która wydawała się zbudowana do tyłu, poczynając od nosa, który nieco zadzierała w górę. Gdy Annagramma na kogoś spoglądała z góry, wiadomo było, że już straciła na ciebie czas.

- I to jest ona?

- Hm, no tak, Annagrammo.

- Przyjrzyjmy się więc tobie, nowa dziewczyno.

Akwila wystąpiła krok naprzód. To było coś niesamowitego, bo wcale nie chciała tego zrobić. Ale Annagramma miała ten rodzaj głosu, który powodował, że się jej słuchało.

- Jak ci na imię?

- Akwila Dokuczliwa? - powiedziała Akwila, zdając sobie sprawę, że podając swoje imię i nazwisko, wymawia je tak, jakby prosiła o pozwolenie, by je nosić.

- Akwila? Śmieszne imię. Ja nazywam się Annagramma Jastrzębia.

- Annagrama pracuje dla... - zaczęła Petulia.

- ...pracuje z - poprawiła ją ostro Annagramma, przez cały czas lustrując Akwilę z góry na dół.

- Hm, przepraszam, pracuje z panią Skorek - dokończyła Petulia. - Ale zamierza...

- Planuję opuścić ją w przyszłym roku - dokończyła Annagramma. - Wszystko wskazuje na to, że radzę sobie wyjątkowo dobrze. A więc to ty jesteś tą dziewczyną, która zamieszkała z panną Libellą, tak? Wiesz chyba, że ona jest dziwaczna. I nie miał to być komplement. Wszystkie trzy ostatnie dziewczyny opuściły ją bardzo szybko. Mówią, że to zbyt dziwne, gdy trzeba się domyślać, z którą wiedźmą mamy do czynienia.

- Widzisz wiedźmę, a nie wiesz, czy widzisz - parsknęła któraś z dziewcząt.

- Żarcik z brodą, Lucy Nawjazzd - skwitowała Annagramma, nawet się nie odwracając.
- Ani zabawny, ani inteligentny.

Akwila pod jej spojrzeniem czuła, że podlega równie krytycznej ocenie jak wtedy, gdy babcia Dokuczliwa oglądała owcę, którą zamierzała kupić. Nawet przez chwilę przemknęło jej przez myśl, że Annagramma każe otworzyć jej usta, żeby sprawdzić zęby.

- Mówi się, że na kredzie nie rodzą się dobre czarownice - oświadczyła Annagramma.

Pozostałe dziewczęta przeniosły wzrok z Annagrammy na Akwilę, która pomyślała: Ha! Kto powiedział, że wiedźmy nie mają przywódczyń? Ale nie była w nastroju, żeby sobie robić nieprzyjaciół, czy raczej nieprzyjaciółki.

- Może jednak się rodzą - odpowiedziała spokojnie. Nie była to chyba ta odpowiedź, której oczekiwała Annagramma.

- Nawet się nieodpowiednio ubierasz - dołożyła.

- Przepraszam - odpowiedziała Akwila.

- Hm, Annagramma twierdzi, że jeśli chcesz, by ludzie traktowali cię jak wiedźmę, musisz na nią wyglądać - wtrąciła Petulia.

- Hmmm. - Annagramma pokiwała głową. Akwila się czuła, jakby oblała prosty test. - No cóż, wszystkie musimy od czegoś zacząć. - Wreszcie Annagramma odwróciła się do pozostałych dziewcząt. - Moje panie, oto Akwila. Akwilo, poznałaś już Petulię, która wpada na drzewa. Dymitrę Hubębubę poznasz po tym, że z jej kapelusza unosi się dym, czyli że wygląda jak komin. Następna to Gertruda Męcząca, potem straszliwie dowcipna Lucy Nawjazzd, kolejna to Harrieta DeFraud, która nie potrafi sobie poradzić nawet z własnym zezem, a następnie Lulu Kochana, która nie potrafi sobie poradzić z tym, jak się nazywa, Możesz wziąć udział w tym spotkaniu jako obserwator... Akwilo. Tak masz na imię? Żal mi ciebie, żeś trafiła do panny Libelli. Jest raczej żałosna. Kompletna amatorka. Tak naprawdę nie zna klucza. Tylko krząta się i ma nadzieję, że coś osiągnie. No, nic się już teraz na to nie poradzi, za późno. Gertrudo, przywołaj Cztery Krańce Świata i otwórz Krąg, proszę.

- Ja... - zająknęła się Gertruda. To niezwykle, jak wszyscy w towarzystwie Annagrammy stawali się nerwowi.

- Czy zawsze ja wszystko muszę za was robić? - zapytała Annagramma. - Postarajcie się nareszcie zapamiętać. Przechodziłyśmy przez to dosłownie miliony razy!

- Nigdy nie słyszałam, żeby świat miał cztery krańce - odezwała się Akwila.

- Naprawdę? A to niespodzianka! - natychmiast zareagowała Annagramma. - No cóż, z tych miejsc pochodzi siła, Akwilo, a ja bym cię jednak bardzo namawiała, żebyś się poważnie zastanowiła nad swoim imieniem.

- Ale świat jest okrągły jak talerz - powiedziała Akwila.

- Hm, musisz je sobie wyobrazić - wyszeptała Petulia.

Akwila zmarszczyła brwi.

- Dlaczego? – zapytała Annagramma wzniosła oczy ku górze.

- Ponieważ w ten sposób się to robi.

- Aha.

- Zdarzyło ci się stosować magię, prawda? - zapytała ostro Annagramma.

Akwila czuła się odrobinę zbита z tropu. Nie była przyzwyczajona do takich osób.

- Tak - odpowiedziała. Wszystkie dziewczęta się w nią wpatrywały, aż nie mogła się powstrzymać, by znowu nie pomyśleć o owcach. Gdy pies atakuje owcę, reszta stada ucieka na bezpieczną odległość, a potem zawraca i się przygląda. Nie atakują psa, choć razem są silniejsze. Wszystkie poza ofiarą cieszą się, że to nie im się przytrafiło...

- W czym się specjalizujesz? - zapytała ostro Annagramma.

Akwila, której myśli wypełniał obraz owiec, odpowiedziała bez zastanowienia:

- W Miękkiej Nelly. To ser z owczego mleka. Niełatwo go zrobić...

Rozejrzała się wokół po otaczających ją twarzach bez wyrazu i poczuła, jak wstyd wypełnia ją niczym gorąca galaretką.

- Hm, Annagrammie chodziło o to, w jakim rodzaju magii jesteś najlepsza - podpowiedziała jej dobrotliwie Petulia.

- Chociaż Mięcka Nelly jest naprawdę dobra - dodała Annagramma z okrutnym uśmiechem na ustach. Jedna czy dwie dziewczyny wydały z siebie rodzaj prychnięcia mającego dać do zrozumienia, że powstrzymują się od śmiechu, ale też chciały, by ten wysiłek został dostrzeżony.

Akwila znowu spuściła wzrok na buty.

- Nie wiem - powiedziała cicho - ale wyrzuciłam Królową Baśni z mojej krainy.

- Naprawdę? - zapytała Annagramma. - Królową Baśni? I jak to zrobiłaś?

- Nie jestem... pewna. Po prostu mnie rozgniewała. – Trudno było sobie przypomnieć, co tak naprawdę zdarzyło się tamtej nocy. Akwila pamiętała gniew, straszny gniew i świt... który się zmienił. Widziała to ostrzej, niż widzi jastrząb, słyszała to lepiej, niż słyszy pies, czuła czas pod swymi stopami, czuła życie wzgórz. I pamiętała, że gdyby zbyt długo widziała to, słyszała i czuła, nie mogłaby pozostać człowiekiem.

- No cóż, z pewnością masz odpowiednie buty, by dobrze tupnąć nogą - skwitowała Annagramma. Odpowiedziało jej kilka ledwo stłumionych chichotów. - Królowa Baśni - powtórzyła. - Z pewnością dobrze sobie z nią poradziłaś. No cóż, marzenia pomagają.

- Ale ja nie kłamię - wyszeptała Akwila. Nikt jej już nie słuchał.

Ponura przyglądała się dziewczętom otwierającym Krańce Świata i wzywającym Krąg, chyba że zapamiętała to odwrotnie. Wszystko trwało dość długo. Może szłoby lepiej, gdyby każda z nich była pewna tego, co i jak powinna robić, ale najprawdopodobniej trudno było wiedzieć cokolwiek, kiedy Annagramma była w pobliżu, ponieważ nieustannie wszystkich poprawiała. W ramionach trzymała otwartą wielką księgę.

- ...teraz ty, Gertrudo, zawracasz, nie, w drugą stronę, musiałam ci to powtarzać dosłownie tysiące razy, i Lulu, gdzie jest Lulu? No, przecież nie powinnaś stać w tym miejscu. Weź kielich spowiedzi... nie, nie tamten, ten bez uchwytów... tak. Harrieto, trzymaj Różdżkę Powietrza trochę wyżej, ona musi być w powietrzu, rozumiesz mnie? I na litość bogiń, Petulio, proszę, spróbuj wyglądać godniej. Rozumiem, że nie jest to dla ciebie coś naturalnego, ale mogłabyś przynajmniej się postarać. A tak przy okazji, chciałabym ci zwrócić uwagę, że żadna inwokacja nie rozpoczyna się od „hm”, a może się mylę? Harrieto, czy to jest Kociołek Morza? Czy to w ogóle wygląda na Kociołek Morza? Nie sędzę, a ty? Co to za hałas?

Dziewczęta opuściły głowy. Wreszcie któraś z nich wydusiła z siebie:

- Dymitra nadepnęła na Pierścień Nieskończoności, Annagrammo.

- Chyba nie na ten z prawdziwą macicą perłową? – zapytała Annagramma twardym szeptem.

- Hm, owszem - odpowiedziała Petulia. - Ale na pewno jest jej bardzo przykro. Hm... czy mogłabym zrobić nam wszystkim herbaty?

Księga została zatrzaśnięta.

- O co chodzi? - Annagramma skierowała to pytanie do całego świata. - O. Co. Chodzi. Czy chcecie zmarnować życie jako wiejskie wiedźmy, leczące oparzenia i liszaje w zamian za filiżankę herbaty z herbatnikiem? Powiedźcie? Tego chcecie?

Młode czarownice wierciły się nerwowo. Po chwili odpowiedział jej chór:

- Nie, Annagrammo.

- Czy wszystkie przeczytałyście księgę panny Skorek? – zapytała ostro.

Petulia podniosła rękę.

- Hm... - zaczęła nerwowo.

- Petulio, powtarzałam ci już miliony razy, by nie zaczynać.

Każdego. Zdania. Od. Hm. Prawda?

- Hm... - Petulia trzęsła się ze zdenerwowania.

- Po prostu mów, na litość boską. Nie wahaj się ciągle!

- Hm...

- Petulio!

- Hm...

- Naprawdę mogłabyś się postarać. Zupełnie nie rozumiem, co się z tobą dzieje.

A ja tak, pomyślała Akwila. Bo ty zachowujesz się jak pies, który nieustannie warczy na owce. Nie dajesz im czasu, żeby cię posłuchały, i nie mówisz im, kiedy robią coś tak, jak należy. Tylko nieustannie warczysz.

Petulia milczała, jakby jej ktoś zawiązał język.

Annagramma odłożyła księgę na kłodę drzewa.

- No cóż, odpowiedni moment przepadł - oświadczyła. - Równie dobrze możemy teraz napić się herbaty, Petulio. Tylko się pośpiesz.

Dziewczynka z wyrazem ulgi na twarzy złapała czajnik. Wszystkie pozostałe też się nieco odprężyły.

Akwila spojrzała na okładkę książki. Litery głosiły:

Dzieło Maga Zimnowita Skorek, Wiedźma

- Chyba chodzi o czarownicę, nie o maga - powiedziała.

- To zostało napisane specjalnie - zimno odparła Annagramma. - Panna Skorek wciąż powtarza, że jeśli mamy się rozwijać, musimy używać magii stosowanej przez magów, a nie tylko codziennych czarów używanych przez wiedźmy.

- Codzienne czary? - powtórzyła Akwila z pytaniem w głosie.

- Tak, tak. Nie dla nas mamrotanie po krzakach. Chcemy używać porządných kręgów magicznych i odczytywać zaklęcia z ksiąg. Chcemy odpowiedniej hierarchii, a nie chaotycznej bieżaniny tam i sam. Porządne różdżki, nie jakieś gałązki. Profesjonalizm i szacunek. I żadnych brodawek! To jedyna droga rozwoju.

- No cóż, ja uważam... - zaczęła Akwila.

- Nie bardzo mnie interesuje, co ty uważasz, bo jeszcze za mało wiesz - przerwała jej ostro Annagramma i zwróciła się do całej grupy: - A czy przynajmniej każda z was przygotowuje coś na tego roczne Próby? - zapytała.

Odpowiedziały jej skinienia głów i ogólny pomruk, który dało się odczytać jako „tak”.

- Jak z tobą, Petulio? - zapytała Annagramma.

- Zamierzam wykonać świński trik - odparła pokornie dziewczynka.

- Słusznie. W tym jesteś prawie dobra - zgodziła się Annagramma, po czym wskazywała kolejno dziewczęta zebrane w kręgu, kiwała głową po wysłuchaniu ich odpowiedzi, aż wreszcie doszła do Akwili.

- Miękka Nelly? - zapytała, wywołując powszechną wesołość.

- Czym są te Próby? - chciała się dowiedzieć Akwila. – Panna Tyk wspominała mi o nich, ale nie wiem, na czym polegają.

Annagramma widowiskowo westchnęła.

- Tyj ej powiedz, Petulio. Ostatecznie to tyją przyprowadziłaś.

Dziewczynka, zacinając się raz po raz na kolejnym hm i bez przerwy rzucając spojrzenia na Annagrammę, wyjaśnił a, czym są Próby. Hm, to jest taki czas, kiedy wszystkie wiedźmy z wszystkich gór się zbierają, hm, można wtedy spotkać stare przyjaciółki, wymienić się najświeższymi informacjami i poplotkować. Zwykli ludzie też tam przychodzą, odbywa się jarmark i imprezy towarzyszące.

To naprawdę spora impreza. A po południu wszystkie wiedźmy, które, hm, mają ochotę, mogą pokazać jakiś czar lub coś, nad czym pracują, i to jest bardzo popularne.

Akwili przypominało to raczej zawody dla psów pasterskich, tylko bez psów i bez pasterzy. Takie zawody odbywały się co roku w Stromym klifie, całkiem niedaleko od jej domu.

- I są nagrody? - zapytała.

- Hm, och nie - odparła Petulia. - To jest tylko zabawa, ale buduje... no... solidarność między wiedźmami.

- Ha! - wykrzyknęła Annagramma. - Nawet ona sama w to nie wierzy. Wszystko jest z góry ustawione. Zawsze największe brawa dostaje panna Weatherwax. Cokolwiek zrobi, zawsze wygrywa. Miesza ludziom w głowach. Tak ich ogłupiła, że uważają ją za dobrą. Gdyby stanęła przeciwko magowi, pojedynek nie trwałby nawet pięciu minut. Ci dopiero posługują się prawdziwą magią! I na dodatek ubiera się niczym strach na wróble. Stary głupi babsztyl, to ona trzyma wszystkie nas w zacofaniu, co pani Skorek opisała w rozdziale pierwszym!

Niektóre z dziewcząt miały dość niepewne miny. Petulia nawet obejrzała się za siebie.

- Hm, ludzie mówią, że ona robi naprawdę niezwykle rzeczy, Annagrammo - odważyła się powiedzieć. - I mówią jeszcze, że potrafi widzieć ludzi na odległość kilku mil...

- Owszem, tak o niej mówią - odparła Annagramma. - A to dlatego, że wszyscy się jej boją! Pomiaata innymi. Tylko to potrafi, pomiaatać innymi i mieszać im w głowach! Staroświeckie czary. Zwykle brednie, moim zdaniem. Ona już mało się różni od bredzącej staruchy, tak też mówią.

- Dla mnie wcale nie wygląda na bredzącą.

- Kto to powiedział? - zachnęła się Annagramma.

Wszystkie dziewczęta patrzyły na Akwilę, która żałowała, że się w ogóle odezwała. Teraz nie pozostawało nic innego, jak ciągnąć dalej.

- Jest już trochę stara i surowa - powiedziała. - Ale była całkiem... miła. I nie bredziła.

- Spotkałeś ją?

- Tak.

- I ona z tobą rozmawiała? - opryskliwie zapytała Annagramma. - Czy to było przed tym czy po tym, jak wyгнаłaś Królową?

- Tuż po - odparła Akwila, która nie miała doświadczenia w takim traktowaniu. - Przyleciała na miotle - dodała. - Ja nie kłamię.

- Ależ oczywiście. - Annagramma uśmiechała się posępnie. - Z pewnością przyleciała, żeby ci pogratulować.

- Niezupełnie - odparła Akwila. - Trudno powiedzieć, choć wyglądała na zadowoloną.

I w tym momencie Akwila powiedziała coś bardzo, ale to bardzo głupiego. Długo potem, długo po wszystkich wydarzeniach, które nastąpiły wkrótce, zawsze gdy coś przypominało jej tę właśnie chwilę, robiła wszystko, by wyrzucić ją z pamięci.

Bo powiedziała:

- Dała mi ten kapelusz.

A wszystkie młode czarownice jednym głosem zapytały: - Jaki kapelusz?

Petulia zabrała Akwilę z powrotem do domu. Z całych sił zapewniała, że jej wierzy, lecz Akwila wiedziała, że dziewczynka chce po prostu być dla niej miła. Panna Libella próbowała porozmawiać z nią po powrocie, ale nie potrafiła jej zatrzymać. Akwila wbiegła po schodach i zaryglowała drzwi, zrzuciła z nóg buty, upadła na łóżko i zakryła głowę poduszką, jakby to miało zagłuszyć śmiech, który rozbrzmiewał w jej głowie.

Na dole odbyła się stłumiona debata między Petulia a panną Libellą, po czym trzasnęły drzwi, kiedy młoda czarownica wyszła.

Po chwili rozległo się szuranie przesuwanych po podłodze butów Akwili, które starannie zostały ustawione pod łóżkiem. Oswald nigdy nie schodził z posterunku.

Minęła jeszcze dobra chwila, zanim śmiech ucichł, choć Akwila była pewna, że nigdy nie zamilknie do końca.

Czuła swój kapelusz. Przynajmniej potrafiła go czuć. Wirtualny kapelusz na rzeczywistej głowie. Ale nikt inny go nie widział, a Petulia nawet pomachała dłonią w tę i w tamtą ponad głową Akwili, ale napotkała tylko całkowitą nieobecność kapelusza.

Najgorsze w tym, co się wydarzyło - choć wszystko było tak upokarzające, że trudno wskazać tę najgorszą chwilę - były słowa Annagrammy: „Nie, nie śmiecie się z niej. To nazbyt okrutne. Jest tylko głupiotka. Mówiłam wam, że ta stara wiedźma ludzi ogłupia!”.

Pierwsza myśl Akwili biegła jak oszalała w koło. Druga myśl, ta wątpiąca, przeżywała burzę. Tylko jej trzecia myśl, rozsądna, która była jednak w tej chwili słabiotka, potrafiła coś wykrzesać: Chociaż twój świat legł w gruzach i nigdy nie da się go naprawić, żebyś nie wiem jak się starała, a ciebie nic nie potrafi pocieszyć, to jednak byłoby miło, gdyby ktoś przyniósł tu na górę trochę zupy.

Ta trzecia myśl podniosła Akwilę z łóżka i doprowadziła ją do drzwi, a następnie pokierowała jej ręką tak, że rygiel w drzwiach został odsunięty. Potem pozwoliła jej znowu paść na łóżko.

Kilka minut później zaskrzypiały deski na podeście. Jak to miło mieć rację.

Panna Libella zapukała i odczekawszy przyzwolitą chwilę, weszła do pokoju. Akwila usłyszała stawianie tacy na stole, a potem poczuła, że łóżko się ugina, bo ktoś obok niej usiadł.

- Zawsze uważałam Petulię za bardzo rozsądną dziewczynkę - powiedziała po chwili panna Libella. - Pewnego dnia stanie się niezwykle przydatną wiedźmą dla jakiejś miejscowości.

Akwila nadal milczała.

- Opowiedziała mi wszystko, co tam się wydarzyło – dodała panna Libella. - Panna Tyk nigdy nie wspomniała mi o kapeluszu, aleja na twoim miejscu też bym jej nie powiedziała. To takie charakterystyczne dla panny Weatherwax. Wiesz, czasami dobrze robi, jeśli się trochę o tym porozmawia.

Jeszcze więcej milczenia...

- Nie, chyba masz rację, to nieprawda - zgodziła się panna Libella. - Ale jako wiedźma jestem straszliwie wścibska i chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej.

To również nie przyniosło efektu. Panna Libella podniosła się z westchnieniem.

- Zostawiam ci zupę, ale jeśli za bardzo wystygnie, Oswald z pewnością spróbuje odnieść tacę.

I zeszła na dół.

Przez kolejne pięć minut w pokoju nic się nie poruszyło. Potem rozległ się najcichszy możliwy dźwięk oznaczający, że taca z zupą zaczyna się przesuwac.

Ręka Akwili wystrzeliła w powietrze i mocno ją złapała. To była robota trzeciej myśli, pierwsza i druga zajęte były przeżywaniem tragedii, ale coś musi zachować rozsądek, jeśli nie miało się nic w ustach od śniadania.

Jakiś czas potem, gdy Oswald błyskawicznie zabrał pustą już miseczkę, Akwila leżała w ciemnościach, wpatrując się w nic.

Wolor nowości otoczenia, w którym przebywała, zajął ją przez ostatnie kilka dni, ale teraz kaskada śmiechu zmyła go doszczętnie i puste miejsce wypełniła natychmiast tęsknota za domem.

Tak bardzo jej brakowało dźwięków i ciszy Kredy. Brakowało jej widoku wzgórz za oknem jej sypialni, ponad którymi lśniły gwiazdy. Brakowało jej... kawałka siebie...

Ale one śmiały się z niej. Zapytały: Jaki kapelusz?”, a potem śmiały się jeszcze bardziej, kiedy podniosła rękę, by poczuć niewidzialny rąbek, i nie poczuła go...

Dotykała go każdego dnia przez osiemnaście miesięcy, a teraz zniknął. I nie potrafiła stworzyć chaosu. I miała tylko zieloną sukienkę, a wszystkie pozostałe dziewczynki ubrały się na czarno. Annagramma na dodatek obwieszona była srebrną i czarną biżuterią. Wszystkie pozostałe dziewczyny nosiły chaosiki, i jakie piękne! Co z tego, że to tylko ozdoby?

Może nie była żadną wiedźmą. Cóż z tego, że wygrała z Królową Baśni przy pomocy małych ludzi i wspomnień o babci Dokuczliwej? Przecież nie używała czarów. Teraz nawet nie była już pewna, czego właściwie użyła. Czuła coś, co przeniknęło przez podeszwy jej butów, przez wzgórze, przez lata i powróciło wrzeszczącym gniewem, który wstrząsnął niebem:

„...Jak śmiesz najeżdzać mój świat, moją ziemię, moje życie!”... Ale co dawał jej wirtualny kapelusz? Może stara kobieta naprawdę ją oszukała, spowodowała, że Akwili tylko się wydawało, że go tam ma? Może była odrobinę stuknięta, tak jak sugerowała Annagramma, i namąciła jej w głowie. Może rzeczywiście Akwila powinna wrócić do domu i już przez całe życie zajmować się tylko Miękką Nelly?

Przewróciła się na brzuch i podpełzła na skraj łóżka, spod którego wysunęła torbę. Wyciągnęła skrzynkę, otworzyła ją w ciemnościach i zacisnęła dłoń na swoim szczęśliwym kamieniu.

Miała nadzieję, że poczuje jakąś iskrę, ciepło, cokolwiek, co ją podniesie na duchu. Nie poczuła nic. Była tylko chropowatość powierzchni kamienia i gładkość tam, gdzie pękł, i ostra krawędź. A od klaczka wełny jej palce śmierdziały tylko owcą, przez co jeszcze bardziej tęskniła za domem i czuła się jeszcze gorzej. Srebrny koń był zimny.

Tylko ktoś, kto byłby naprawdę blisko, usłyszałby szloch. Bardzo cichy, ale niósł się na czerwonych skrzydłach rozpacz. Chciała usłyszeć, tak bardzo pragnęła usłyszeć szum wiatru, od którego kładły się trawy, nad ziemią, która była jej ziemią od setek lat. Pragnęła tego przeświadczenia, które nigdy wcześniej jej nie opuszczało - że należy do rodziny Dokuczliwych żyjących na tej ziemi od tysięcy lat. Potrzebowała widoku błękitnego motyla i beczenia owiec, i wysokiego nieba nie przesłoniętego drzewami.

Gdy była w domu, w chwilach smutku biegła do pozostałości po pasterskiej chacie i siedziała tam chwilę. To zawsze pomagało.

A teraz jej ukochane miejsce było tak odległe. Zbyt odległe. Teraz, kiedy wypełniały ją okropne, morderczo ciężkie uczucia, nie miała gdzie pójść. Nie tak powinno być.

Gdzie właściwie jest magia? Och, oczywiście rozumiała, że trzeba się uczyć podstaw, codziennych zasad tego rzemiosła, ale kiedy nadchodzi moment, gdy dziewczyna staje się czarownicą? Próbowала się tego nauczyć, naprawdę się starała, ale jedyne, co osiągnęła, to... umiejętność przygotowywania wywarów i pomagania innym. Z pewnością można było na niej polegać. Była niezawodna, niczym panna Libella.

A oczekiwała... właśnie, czego? No oczywiście... poważnych wyzwań, wiadomo, jazda na miotle, magia, ochrona świata przed złymi siłami, działania szlachetne, choć w skromnej postaci, a do tego oczywiście pomaganie dobrym ludziom, bo tak naprawdę była przecież miłą osobą. Ludzie, których widziała na tym obrazku, mieli niezbyt kłopotliwe dolegliwości, a ich dzieci nie były tak strasznie wścibskie. Coś takiego jak pryskające na wszystkie strony paznokcie pana Gniewniaka w ogóle nie wchodziło w grę. Pomyśleć, że niektóre z nich potrafiły się zachowywać jak bumerangi.

Na miotle robiło jej się niedobrze. Za każdym razem. I nie potrafiła zrobić porządnego chaosu. Czekало ją życie wypełnione krzątaniem pomiędzy ludźmi, którzy, uczciwie mówiąc, mogliby niekiedy sami coś dla siebie zrobić. Żadnej magii, żadnego latania, żadnych tajemnic... tylko paznokcie i złe duchy.

Jej miejsce było na Kredzie. Każdego dnia mówiła wzgórzom, czym są. Każdego dnia powtarzały jej, kim ona jest. Ale teraz nie potrafiła ich usłyszeć.

Na zewnątrz zaczął padać deszcz, prawdziwa ulewa, z daleka doszedł Akwilę grzmot pioruna.

Co zrobiłaby babcia Dokuczliwa? Nawet w kokonie rozpacz ten głos potrafiła usłyszeć.

Babcia nigdy się nie poddawała. Potrafiła wędrować całą noc, szukając zaginionej owcy...

Akwila leżała, patrząc przez jakiś czas w nicość, potem zapaliła świeczkę przy łóżku, usiadła, spuściła nogi na podłogę. To nie mogło poczekać do rana.

Przecież знаła sztukę, dzięki której mogła zobaczyć kapelusz. Jeśli poruszyło się za nim dłonią bardzo szybko, to, co się widziało nad głową, przez moment stawało się nieostre, jakby przejście przez niewidzialny kapelusz zabierało światłu nieco więcej czasu.

Z pewnością tam był.

Światło świecy musiało wystarczyć. Jeśli kapelusz był na miejscu, to wszystko w porządku, nieważne, co myślą inni...

Stała na środku dywanika, błyskawice szalały między górami, zamknęła oczy.

- Zobacz mnie - powiedziała.

Świat stał się cichy, całkowicie bezdźwięczny. Nigdy wcześniej tak się nie działo. Ale Akwila przeszła na paluszkach w miejsce, które, jak wiedziała, będzie naprzeciwko niej, i wtedy otworzyła oczy...

I była tam, był też kapelusz, wyraźny jak nigdy wcześniej...

Ciało Akwili, ciało dziewczynki w zielonej sukience, otworzyło oczy, uśmiechnęło się do niej i powiedziało: „Widzimy cię. Teraz my jesteśmy tobą”.

Akwila próbowała krzyknąć:

- Przestań mnie widzieć!

Ale nie było ust, z których te słowa mogłyby paść... Błyskawica uderzyła gdzieś w pobliżu. Okiennica załopotała. W podmuchu zgasło światło świecy.

Panowała ciemność, której towarzyszył szum deszczu.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

WSPÓŁŻYCZ

Grzmot przetoczył się nad Kredą.

* * *

Joanna ostrożnie otwierała pakunek, który otrzymała od matki w dniu, gdy opuszczała kopiec Długiego Jeziora. Był to tradycyjny dar, jaki każda młoda wodza otrzymywała, kiedy odchodziła z rodzinnego domu, by nigdy już nie wrócić. Wodze nie wracały do domu. One stanowiły dom.

A prezentem była pamięć.

W torbie znajdował się trójkąt wygarbowanej skóry owczej, trzy drewniane paliki, kawałek sznurka ukłęconego z włókien pokrzywy, małeńki skórzany bukłaczek oraz młotek.

Wiedziała, co robić, ponieważ wielokrotnie przyglądała się podczas tych czynności matce. Młotek służył, by uderzać w paliki wbite wokół dymiącego ogniska. Sznupek - by przywiązać trzy końce skózanego trójkąta do palików, przy czym środek musiał lekko zwisać, żeby pomieścić się tam niewielki cebrzyk wody, którą Joanna własnoręcznie wyciągnęła z głębokiej studni.

Uklęka w oczekiwaniu na moment, kiedy woda bardzo powoli zaczęła się przesączać przez skórę, wtedy rozpałała ogień.

Zdawała sobie sprawę z wlepionych w nią oczu wszystkich Figli zebranych na zacienionych galeriach wokół i ponad nią. Żaden nie zbliżyłby się do niej, kiedy podgrzewała kociołek. Woleliby odrąbać sobie własne nogi. To bowiem było prawdziwe czarowanie.

Bo kociołek był naprawdę magiczny, pochodził z czasów, zanim jeszcze ludzie zaczęli wydobywać miedź, a potem żelazo. Patrząc na niego, widziało się magię. I tak miało wyglądać. Ale jeśli wiedziało się, na czym polega sztuczka, można było zobaczyć, że zanim się skóra zapali, w kociołku musi się wygotować cała woda.

Kiedy zaczęła się unosić para, Joanna przygasiła ogień i dodała wody z małego skórzanego bukłaczka, w którym przechowywała wodę z kociołka mamy. Zawsze to przechodziło z matki na córkę, od samego początku.

Teraz chwilę odczekała, żeby kociołek trochę wystygł, po czym wzięła kubek, napełniła go wodą i wypila. Niewidoczne w mroku Figle wydały z siebie westchnienie.

Położyła się, zamknęła oczy i czekała. Nie działo się nic. Tylko grzmoty waliły w ziemię, a błyskawice rozświećlały czarny świat.

A potem, tak delikatnie, że stało się to już, zanim uzmysłowiła sobie, że się staje, poczuła w sobie przeszłość. Gromadziły się wokół niej wszystkie stare wodze, poczynając od jej matki, jej babki, ich matek... coraz bardziej w przeszłość, której nikt już nie pamiętał.. jedna potężna pamięć przechowywana przez nie wszystkie, momentami przetarta i niewyraźna, ale stara jak góry.

O tym wiedziały wszystkie Figle. Ale tylko wodza wiedziała, że rzeka pamięci nie jest wcale rzeką, lecz morzem.

Wodze, które dopiero się narodzą, pewnego dnia też przypomną sobie wszystko. Nocami, które nadejdą, będą leżeć obok swoich kociołków i na parę minut staną się częścią wiecznego morza. Przysłuchując się nieurodzonym wodzom wspominającym swoją przeszłość, pamiętało się swoją przyszłość...

Trzeba było wielkich zdolności, żeby odnaleźć te cichutkie głosiki, a Joanna nie miała jeszcze takiej wprawy, ale coś usłyszała.

Kiedy kolejna błyskawica zamieniła noc na chwilę w dzień, wodza usiadła wyprostowana jak struna.

- Znalazło ją - wyszeptała. - Och, ciutbiedactwo.

Deszcz zacinający przez otwarte okno przemoczył koc i Akwila się obudziła. Sypialnię zalewało szare światło dnia.

Zerwała się na równe nogi i zamknęła okno. Na parapecie leżało kilka liści.

No tak.

To nie był sen. Z całą pewnością. Stało się... coś dziwnego. Poczuła świerzbienie w końcówkach palców. Czuła się... inaczej. Ale gdy się nad tym zastanowiła, uznała, że zmiana wyszła jej na dobre. Wczoraj wieczorem miała okropny nastrój, a teraz... była pełna życia.

A nawet przepełniała ją radość. Wiedziała, że może wziąć sprawy w swoje ręce. Zamierzała sama pokierować swoim życiem. Rozpierały ją energia i determinacja.

Zielona sukienka leżała pognieciona, przydałoby jej się pranie. W szufladzie czekała stara niebieska, ale z jakiegoś powodu Akwila uważała, że teraz do niej nie pasuje. Musi wystarczyć zielona, dopóki nie znajdzie czegoś nowego.

Już miała włożyć buty, kiedy zamarła w bezruchu.

Nie nadawały się, nie teraz. W swoim kuferku miała nową parę lśniących bucików. Te włożyła.

Panna Libella w obu postaciach, jeszcze w nocnej koszuli, stała w mokrym ogrodzie. Ze smutkiem zbierała kawałki łapacza snów i strącone jabłka. Nawet niektóre ozdoby w ogrodzie zostały zniszczone, tylko szaleńczo uśmiechnięte gnomy niestety uniknęły jakoś destrukcji.

Czarownica odsunęła włosy spadające na jedno z jej oczu.

- Dziwne, naprawdę bardzo dziwne. Wszystkie siatki na uroki porwane. Nawet kamienie nudy są poprzesusowane. Czy coś zauważyłaś?

- Nie, nic, panno Libello - odparła potulnie Akwila.

- I wszystkie stare chaosy, które leżały w komórce, są w drzazgach. A nie było w nich już żadnej mocy i mogły służyć tylko do ozdoby. Coś naprawdę dziwnego musiało się wydarzyć.

Spojrzenie, którym panna Libella obrzuciły Akwilę, miało być prawdopodobnie chytre i przebiegłe, ale raczej nadało im chory wygląd.

- Ta burza miała w sobie coś magicznego. Mam nadzieję, że wy, dziewczęta, nie robiłyście... niczego dziwnego wczorajszego wieczoru, prawda, kochanie?

- Nie, panno Libello. Uważam, że to spotkanie było dość głupie.

- No bo wiesz, Oswald też zniknął. On jest bardzo wrażliwy na atmosferę...

Do Akwili dopiero po chwili dotarła treść tych słów.

- Ale przecież on był tu zawsze!

- Tak, od kiedy pamiętam - przyznała panna Libella.

- Próbowала pani odłożyć łyżkę w przegródkę dla noży?

- Oczywiście. Nic nawet nie szcękneło!

- Upuściła pani obierkę od jabłka? On zawsze...

- To było pierwsze, czego spróbowałam!

- A jak ze sztuczką z solą i cukrem?

Panna Libella się zawahała.

- Nie, tego nie... - Nieco się rozpogodziła. - Uwielbiają, z pewnością się nie oprze i przybiegnie w podskokach, prawda?

Akwila wyciągnęła torbę cukru i torbę soli, wsypała trochę jednego i drugiego do miski, a następnie wymieszała dłonią bielusieńkie kryształki.

Jakiś czas temu odkryła, że jest to znakomity sposób, by zająć Oswalda, kiedy one gotowały. Rozdzielanie soli i cukru, a następnie włożenie ich do odpowiednich torebek potrafiło go uszczęśliwić na całe popołudnie. Ale tym razem mieszanina ani drgnęła, nie widać było ani śladu Oswalda.

- No tak... przeszukam dom - powiedziała panna Libella, jak by miał to być dobry sposób na znalezienie niewidzialnej osoby. - Czy możesz zająć się kozami, kochanie? I nie możemy zapomnieć, że dzisiaj czeka nas zmywanie!

Akwila wypuściła kozy z obórki. Zazwyczaj Czarna Meg wybiegała natychmiast, ustawiając się na platformie do dojenia z miną informującą: nauczyłam się nowej sztuczki.

Ale nie dzisiaj. Kiedy Akwila zajrzała do środka, zobaczyła kozy stłoczone w najdalszym i najciemniejszym kącie. Prerażone oddychały chrapliwie, a kiedy się zbliżyła, usiłowały czmychnąć na boki. Udało jej się złapać Czarną Meg za postronek. Koza szarpała się i wyrywała, nie chcąc dać się wyprowadzić na platformę, wreszcie wdrapała się na nią, ale tylko dlatego, że alternatywą było oberwanie głowy. Teraz stała, mecząc rozpaczliwie.

Akwila wpatrywała się w kozę. Wydawało się, że swędzą ją kości. Chciała... chciała coś zrobić, czegoś dokonać, wspiąć się na najwyższą górę, wyskoczyć w niebo, obieć ziemię. I pomyślała: To głupie, każdy dzień rozpoczynam walką na inteligencję ze zwierzęciem!

No cóż, najwyższy czas pokazać temu stworzeniu, kto tu rządzi.

Złapała miotłę, która służyła do zamywania obórki. Wąskie oczka Czarnej Meg stały się okrągłe ze strachu, a potem trrrrach! - dziewczynka uderzyła miotłą.

Prosto w platformę do dojenia. To nie było celowe nietrafienie. Miała zamiar dać Meg nauczkę, która jej się słusznie należała, ale nie wiadomo czemu kij wymykał jej się z rąk. Podniosła go raz jeszcze, lecz jej wzrok i uniesienie kija wystarczyło, koza skuliła się ze strachu.

- Koniec z tymi sztuczkami! - syknęła Akwila, odkładając kij.

Koza stała nieruchomo jak skała. Akwila ją wydoiła, zaniósła wiadro do mleczarni, zważyła, zapisała wartość na tabliczce przy drzwiach i przelała mleko do dużej bańki.

Reszta trzódki nie była lepsza od Meg, ale kozy szybko się uczyły.

Wszystkie razem dały trzy galony, co było wręcz żałosne jak na dziesięć kóz. Akwila zapisała wynik bez entuzjazmu i stała, obracając kredę w palcach. Niby po co to wszystko? Jeszcze wczoraj miała mnóstwo planów eksperymentowania z nowymi serami, a teraz ser wydawał jej się po prostu nudny.

Czemu tu w ogóle była, wypełniając idiotyczne obowiązki, pomagając ludziom na tyle głupim, że nie potrafili pomóc samym sobie? Przecież mogła w tym czasie robić... cokolwiek!

Popatrzyła na blat stojącego przed nią stołu.



Ktoś to napisał kredą na drewnie. A kawałek kredy trzymała nadal w palcach...

- Petulia przysłała do ciebie, kochanie - odezwała się tuż za jej plecami panna Libella.

Akwila szybko przesunęła skopek z mlekiem, żeby zasłonić napis. Kiedy się odwróciła, miała minę winowajcy.

- Co? - zapytała. - Dlaczego?

- Myślę, że chciała sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. - Panna Libella przyglądała się jej uważnie.

Petulia była przygnębiona, przestępowała z nogi na nogę i gniotła w dłoniach spiczasty kapelusz.

- Hm, ja tylko sobie pomyślałam, że powinnam zobaczyć, jak ty, hm, się... - wyszeptała, patrząc Akwili na buty. - Hm, one wcale nie chciały być niemiłe...

- Nie jesteś za mądra i powinnaś trochę schudnąć - odpowiedziała Akwila. Przez chwilę przyglądała się poczerwieniałej twarzy Petulii i już wiedziała. - I ciągle jeszcze masz swojego pluszowego misia i pomocy wierzysz we wróżki.

Zatrzasnęła drzwi i wróciła do mleczarni, gdzie zapatrzyła się na bańki mleka i miski z twarożkiem, jakby je widziała po raz pierwszy.

Zna się na serze. To każdy o niej wiedział. Akwila Dokuczliwa ma brązowe włosy i zna się na serze. Czy naprawdę tak chciała być widziana? Czy z wszystkich rzeczy dostępnych we wszechświecie chciała być tylko znana jako osoba, na której można polegać, że zrobi dobry ser? Czy naprawdę chciała spędzać całe dnie na szorowaniu desek, myciu wiader i talerzy, i... i... tego... no... tej okropnej metalowej rzeczy, którą trzyma?

..krojak do sera...

Tego krojaka do sera? Czy chciała przez całe życie...

Zaraz, chwileczkę...

- Kto tu jest? - zapytała. - Czy ktoś właśnie powiedział „krojak do sera”?

Rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby ktoś mógł się schować za wiązkami suszonych ziół. To nie mógł być Oswald. Bo on odszedł, a nawet jak był, nigdy nic nie mówił.

Akwila odsunęła wiadro, napluła na rękę, by wytrzeć napis kredą:



Próbowała go zetrzeć, ale jej dłoń złapała krawędź stołu i trzymała mocno, choć z całych sił starała się ją oderwać. Zamachnęła się lewą dłonią i udało jej się wywrócić wiadro z mlekiem, które splukało napis... i w jednej chwili jej prawa ręka puściła stół.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Stała w nich panna Libella w obu postaciach. Jeśli stawała razem w ten właśnie sposób, ramię przy ramieniu, to oznaczało, że ma coś bardzo ważnego do powiedzenia.

- Muszę ci powiedzieć, Akwilo, że uważam...

-twoje zachowanie w stosunku do Petulii...

- ...za okropne. Odeszła zapłakana.

Przyjrzała się Akwili.

- Czy wszystko w porządku, dziecko?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- No... tak. Czuję się trochę dziwnie. Słyszałam jakiś głos w mojej głowie, ale teraz już przeszło.

Panna Libella przyglądała jej się, przechylając na bok głowę, jedną w prawo, drugą w lewo, tak że widziała ją z obu stron.

- No, jeśli jesteś pewna... Idę się teraz przebrać. Musimy już wyruszać. Czekają nas dziś sporo pracy.

- Sporo pracy - powtórzyła słabym głosem Akwila.

- No tak. Noga pana Klapknota. Muszę też obejrzeć chore dziecko Gradowej. Od tygodnia nie byłam też w Gburnym Dnie i... aha, pan Siewka ma znowu koszmary, dobrze by też było, gdybym zdołała zamienić słówko z panną Spadki... potem trzeba ugotować obiad

panu Gniewniakowi, myślę, że lepiej będzie, jak przygotuję wszystko tutaj i tylko mu zaniosę, no i oczywiście pani Wachlarz jest blisko rozwiązania, i - tu westchnęła - również panna Kucharska, znowu... Czekają nas ciężkie dni. Trudno to wszystko zrobić, na prawdę trudno.

Akwila pomyślała: Ty głupia kobieto, zamartwiasz się, że nie uda ci się dać tym wszystkim ludziom, czego tylko sobie zażyczą! Myślisz, że twoja pomoc im kiedykolwiek wystarczy? Chciwi, leniwi, głupi ludzie, którzy bez przerwy czegoś oczekują! Dziecko w rodzinie Gradowych? Przecież mają już jedenastkę, nikt by nie zauważył, gdyby jednego zabrakło.

A pan Gniewniak właściwie już nie żyje. Tyle że nadal tu jest! Myślisz, że są ci wdzięczni, ale oni tylko robią wszystko, żebyś znowu do nich przysłała! To nie jest wdzięczność, tylko zabezpieczanie się!

Ta myśl przeraziła część jej umysłu, ale jednak się pojawiła i teraz już tkwiła w głowie, wierząc i starając się przedostać przez usta. Akwila mruknęła:

- Trzeba tu posprzątać.

- Och, ja to zrobię, kiedy pójdziecie - powiedziała pogodnie panna Libella. - No chodźcie, uśmiechnij się! Mam mnóstwo pracy!

Zawsze jest mnóstwo pracy, warknęła w myślach Akwila, podążając za panną Libellą do pierwszej wioski. Mnóstwo i mnóstwo. A wykonanie jej niczego nie zmienia. Kolejka potrzebujących nie ma końca.

Wędrowały od jednej lichej i śmierdzącej chaty do drugiej, posługując ludziom zbyt durnym, by używać mydła, pijąc herbatę z wyszczerbionych filiżanek, plotkując ze staruszką, która miała mniej zębów niż palców u rąk. Robiło się jej od tego niedobrze.

Chociaż był jasny dzień, wydawał jej się ciemny i ponury. Czuli się, jakby w jej głowie szalała burza.

A potem zaczęły się majaki. Pomagała nastawić rękę jakiemuś głupiemu dzieciakowi i gdy podniosła wzrok, zobaczyła swoje odbicie w szybie okiennej.

Była tygrysem z ogromnymi kłami.

Wrzasnęła, zrywając się na równe nogi.

- Uważaj! - krzyknęła panna Libella, ale potem dostrzegła wyraz twarzy dziewczynki i zapytała: - Czy stało się coś złego?

- Coś... coś mnie ugryzło! - skłamała Akwila. To było bezpieczne kłamstwo w takim miejscu, gdzie pchły gryzły szczury, a szczury podgryzały dzieci.

Zdołała wyjść na świeże powietrze, kręciło jej się w głowie. Gdy panna Libella wyszła kilka minut później, rozdygotana dziewczynka stała oparta o ścianę.

- Wyglądasz okropnie - powiedziała czarownica.

- Paprocie! - wykrzyknęła Akwila. - Wszędzie! Ogromne paprocie! I te jaszczurki ogromne niczym krowy! - Z szerokim, lecz niewesołym uśmiechem odwróciła się w stronę panny Libelli, która aż się cofnęła. - Można je jeść! - Na jej twarzy malowało się zdziwienie. - Co się dzieje? - wyszeptała.

- Nie wiem, ale zaraz wracam, zabiorę cię stąd – powiedziała panna Libella. - Idę tylko po miotłę!

- Śmiały się ze mnie, kiedy powiedziałam, że potrafię je złapać. No a teraz kto się śmieje, możecie mi powiedzieć?

Troska na twarzy panny Libelli przeszła w coś bardzo bliskiego panice.

- Głos ci się całkiem zmienił. Mówisz jak mężczyzna! Dobrze się czujesz?

- Czuję się... zatłoczona - mruknęła Akwila.

- Zatłoczona?

- Dziwne... wspomnienia... pomocy!

Akwila spojrzała na swoje ramię. Było pokryte łuską. A teraz porastały je włosy. A teraz było gładkie i brązowe, trzymała w dłoni...

- Kanapka ze skorpionem? - powiedziała z pytaniem w głosie.

- Słyszysz mnie? - Głos panny Libelli dochodził z oddali. - Majaczysz. Jesteś pewna, że nie bawiłyście się z dziewczętami w wyrabia nie jakichś mikstur czy czegoś takiego?

Z nieba spadała miotła, a siedząca na niej panna Libella o mały włos nie upadła. Bez słów usadziły Akwilę na drążku, pomiędzy sobą.

Droga powrotna do domu nie trwała długo. Akwila miała wrażenie, że jej umysł wypełnia gorąca wata, nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest, choć jej ciało wiedziało doskonale, ponieważ zwróciło wszystko, co dzisiaj zjadła.

Panna Libella pomogła jej zejść z kija i usadziła ją na ogrodowym fotelu tuż przy drzwiach do domku.

- Teraz sobie tutaj tylko odpoczniesz - powiedziała. W nagłych wypadkach radziła sobie, mówiąc bez przerwy i używając zbyt często słowa „tylko”, ponieważ to uspokajające słowo. - Ja ci tylko przygotuję coś do wypicia, a potem się tylko przyjrzymy, o co w tym wszystkim tylko chodzi... - Na chwilę zapadła cisza, ale po chwili potok słów wypłynął z domu, ciągnąc za sobą pannę Libellę: - A ja tylko... coś tu sprawdzę. Tylko wypij to, proszę!

Akwila wypila wodę. Kątem oka dostrzegła, jak panna Libella macha sznurkiem wokół jajka. Starła się wywołać chaos, ale tak żeby nie zwracać uwagi Akwili.

Przez umysł Akwili przepływały dziwne obrazy. Strzępy głosów, fragmenty wspomnień... i głosik, jej własny, ale bardzo cichy i cichnący, a jednak buntowniczy.

Nie jesteś mną. Tylko tak ci się zdaje! Ktoś mi pomoże!

- No a teraz - powiedziała panna Libella - zobaczmy, co my tu widzimy...

Chaos eksplodował, i to nie tylko na kawałeczki, ale pojawił się ogień i dym.

- Och, Akwilo! - Panna Libella gwałtownie machała dłonią. - Czy wszystko z tobą w porządku?

Dziewczynka podniosła się powoli. Była chyba nieco wyższa niż normalnie.

- Tak, myślę, że wszystko jest ze mną w porządku. Wcześniej nie czułam się dobrze, ale już teraz tak. I wiem, że marnowałam czas, panno Libello.

- Co...? - Czarownica nie zdołała zadać pytania.

Akwila wymierzyła w nią palec.

- Wiem, dlaczego musiała pani opuścić cyrk, panno Libello - powiedziała. - To było związane z klaunem Floppo, sztuczką z drabiną i... kremem budyniowym...

Panna Libella pobladła.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Wystarczy na panią spojrzeć! - odparła Akwila, przepychając się koło niej do mleczarni. - Niech pani tylko spojrzy!

Wycelowała palcem i drewniana łyżka uniosła się na cal ponad stół. A potem zaczęła wirować, coraz szybciej i szybciej, by wreszcie z trzaskiem pęknąć w drzazgi, które rozprysły się po całym pomieszczeniu.

- Umiem to zrobić! - wykrzyknęła Akwila. Złapała misę z twarogiem, wylała go na stół i pomachała dłonią. Twaróg zamienił się w ser. - Oto jak powinno wyglądać robienie sera! I pomyśleć, że straciłam lata, by się uczyć trudniejszej metody! Tak robi prawdziwa czarownica. Dlaczego pełzamy w pyle, panno Libello? Dlaczego zajmujemy się ziołami i bandażujemy śmierdzące nogi starych ludzi?

Dlaczego otrzymujemy zapłatę w jajkach i zeschniętych ciastkach? Annagramma jest głupia jak kwoka, ale nawet ona potrafi dostrzec, że to błąd. Dlaczego nie używamy magii? Boi się pani, co?

Panna Libella próbowała się uśmiechać.

- Droga Akwilo, wszystkie przez to przechodzimy - powiedziała drżącym głosem. - Choć może nie tak... gwałtownie jak ty, muszę to przyznać. A odpowiedź na to brzmi: ponieważ jest to niebezpieczne.

- Oczywiście, tak zawsze mówią dorośli, kiedy chcą przestraszyć dzieci - odparła Akwila. - Opowiada się nam historie, które mają nas przestraszyć, żebyśmy się bali! Nie chodź do wielkiego złego lasu, bo jest tam mnóstwo niebezpiecznych rzeczy, tak się nam mówi. Ale naprawdę wielki zły las powinien się bać nas! Wychodzę!

- Może to i dobry pomysł - uznała panna Libella niepewnie. - Tylko zachowuj się.

- Nie muszę postępować na twoją modłę - zachnęła się Akwila i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Miotła panny Libelli stała oparta o ścianę kilka kroków dalej. Akwila się zatrzymała. Umysł jej płonął.

Przecież próbowała się trzymać od tego z daleka. To panna Libella wmanewrowała ją w próbny lot, podczas którego dziewczynka wczepiła się rękami i nogami w drzewce, a czarownica biegła po obu stronach, trzymając za linę i wykrzykując zachęcająco. Zatrzymały się wreszcie, kiedy Akwila po raz czwarty zwróciła.

Tak właśnie było.

Złapała kijek, przerzuciła przezeń nogę... ale okazało się, że druga noga stoi jak przymurowana. Kij miotał się dziko, a kiedy oderwała wreszcie nogę od ziemi, tak szarpnął, że Akwila znalazła się głową do dołu. To nie była najlepsza pozycja dla widowiskowego odjazdu.

- Nie mam zamiaru dać ci nauczki - powiedziała łagodnie – to ty mnie nauczysz. A jak nie, to drugiej lekcji udzieli ci siekiera!

Miotła odwróciła się w odpowiednią stronę, a następnie łagodnie uniosła w górę.

- Dobrze - oświadczyła Akwila. W jej głosie nie było lęku. Tylko niecierpliwość. Ziemia uciekająca w dół wcale jej nie martwiła. Przecież gdyby nie miała dość rozumu, żeby trzymać się z daleka, Akwila uderzyłaby w nią...

* * *

Kiedy miotła odleciała na dość znaczną odległość, z wysokiej trawy ogrodu doszedł głos:

- Rozbójcu, przybyliśmy za późno. To był współzycz, z pewnością.

- Tak, ale czy widziałeś, jak zachowywała się noga? On jeszcze nie wygrał, nasza ciutwiedźma gdzieś tam jest! I walczy z nim! A on nie wygra, dopóki nie pokona jej całkowicie. Jasiu, czy mógłbyś przestać sięgać po te jabłka?

- Przykro mi to mówić, Rozbójcu, ale nikt nie może walczyć z współzyczem. To jak walka z samym sobą. Im bardziej walczysz, tym bardziej on ciebie ma. A kiedy ma ciebie całego...

- Umyj sobie usta sikami jeża, Duży Janie. To się nie stanie...

- Na litość! Nadchodzi wielka wiedźma!

Połowa panny Libelli wyszła do zniszczonego ogrodu.

Patrzyła na oddalającą się miotłę, potrząsając głową.

Głupi Jaś w tej właśnie chwili znajdował się na otwartej przestrzeni, gdzie próbował dosięgnąć spadłe jabłko. Odwrócił się, by czmychnąć, i pewnie by mu się to udało, gdyby nie to, że wpadł prosto na porcelanowego ogrodowego gнома. Odskokzył nieco zamroczony, zataczając się, próbował skupić wzrok na grubej postaci o rumianych policzkach. Rozjuszony nie usłyszał kliknięcia ogrodowej furtki, a następnie cichych kroków.

A kiedy przychodzi do wyboru: uciekać czy walczyć, Figiel nie myśli dwa razy. Prawdę mówiąc, nie myśli wcale.

- No i co się tak szczerzysz, koleś? - spytał zaczepnie. - Ach tak, pewnie myślisz, że z ciebie gość, tylko dlatego że trzymasz w łapskach wędkę? - Złapał po spiczastym różowym uchu w każdą dłoń i wycelował główką w coś, co okazało się całkiem twardym porcelanowym nosem. Który rozpękł się na kawałki, jak to takie rzeczy postępują w sprzyjających okolicznościach, ale też uderzenie oszołomiło małego człowieka, który ledwo utrzymał się na nogach.

I przez to zbyt późno zobaczył pannę Libellę zmierzającą ku niemu od drzwi. Odwrócił się, by dać nurka w przeciwną stronę, i wpadł prosto w ręce także panny Libelli.

- Wiesz przecież, że jestem czarownicą - powiedziała. - I jeśli natychmiast nie przestaniesz się wyrywać, poddam cię najbardziej okropnej torturze. Wiesz, na czym polega?

Głupi Jaś potrząsnął głową. Wiele lat żonglowania spowodowało, że panna Libella miała stalowy uchwyt. Niziutko, w głębokiej trawie reszta Figli słuchała tak mocno, że aż bolało.

Panna Libella zbliżyła go do swoich warg.

- Puszczę cię teraz, nie dawszy popróbować dwudziestoletniej MacAbre, którą mam w kredensie - wyszeptała.

Z trawy wyprysnął Rozbój.

- Na litość, panienko, jak można zrobić coś takiego! Czy nie masz w sobie ani odrobiny litości?! - krzyczał. - Jesteś prawdziwie okrutną wiedźmą... - zamilkł. Panna Libella uśmiechała się. Rozbój rozejrzał się, rzucił miecz na ziemię i powiedział tylko: - Na litość!

* * *

Fik Mik Figle szanowały czarownice, chociaż często nazywały je wiedźmami. A ta przyniosła duży bochen chleba i całą butelkę whisky, i na dodatek zaprosiła ich do rozmowy. Kogoś takiego należy szanować.

- Oczywiście słyszałam o was, panna Tyk wspominała coś nie coś - mówiła, przyglądając się, jak zajadają, co mało kto potrafił znieść mężnie. - Jednak zawsze wydawało mi się, że jesteście postaciami z bajki.

- Wolelibyśmy, by tak pozostało, jeśli pani pozwoli – powiedział Rozbój i beknął. - Już jest i tak wystarczająco niedobrze, kiedy faceci od archeologii próbują kopać w naszych kopcach, a panie od folk - logiki opowiadać o nas.

- I pan pilnuje farmy rodziny Dokuczliwych, panie Rozbój?

- Robimy to i nie oczekujemy w zamian żadnej nagrody - odpowiedział spżowym głosem.

- Oczywiście, tylko niekiedy bierzemy sobie ciutjajeczko czy ciutowocek i jakieś stare ubrania... - zaczął Głupi Jaś.

Rozbój rzucił mu ostre spojrzenie.

- E... czy to jeden z tych razy, kiedy nie powinienem otwierać mojej niewyparzonej gęby? - zapytał Jaś.

- Właśnie - odparł Rozbój. Odwrócił się tyłem do obu postaci panny Libelli. - Niekiedy zdarza nam się zabrać coś, co leży niepotrzebne...

-na przykład schowane głęboko i zamknięte w kredensie - dodał pogodnie Jaś.

- ...ale nikt tego nie szuka, no i mamy pod opieką owce - wymruczał niewyraźnie Rozbój, patrząc z wściekłością na brata.

- Tam u nich rosną jakieś owoce? - Panna Libella osiągnęła stan zdziwienia typowy dla osób wdających się w rozmowę z Figłami.

- Rozbojowi chodziło o owce - wyjaśnił Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba. Bardowie są przyzwyczajeni, że trzeba wiele wyjaśniać.

- No przecież powiedziałem, że owce - odparł Rozbój. - Tak czy siak... pilnujemy farmy. Ona jest wiedźmą naszych wzgórz, tak jak jej babcia. - I dodał z dumą: - To dzięki niej wzgórze wie, że żyją.

- A współżycz jest...

Rozbój się zawahał.

- Nie znam odpowiednio wiedźmowatych słów, żeby o tym mówić. Strasznie Ciut Wojtku Wielkagębo, ty znasz te wszystkie długie wyrażenia.

Wojtek Wielkagęba przełknął ślinę.

- Opowiadają o nich stare ballady. Są jak umysły bez ciała, ale nie myślą. Niektórzy twierdzą, że to sam strach, który nigdy nie umiera. A one robią... - twarz małego Figła zmarszczyła się w namyśle - są jak to, co mają na sobie owce - stwierdził wreszcie.

Wszystkie Figle, które akurat w tym momencie nie jadły i nie piły, pospieszyły mu z pomocą:

- Rogi?

- Wełna?

- Ogon?

- Nogi?

- Krzesła? - To był Głupi Jaś.

- Kleszcze - odparł wreszcie Wojtek Wielkagęba.

- Chodzi ci o pasożyty? - zaproponowała panna Libella.

- Tak, to chyba odpowiednie słowo - zgodził się. - Zakrada się.

Szuka ludzi, którzy mają moc i władzę. No, królów, magów, przywódców. Niektórzy powiadają, że w dawnych czasach, zanim nastali ludzie, mieszkali w zwierzętach. W najsilniejszych stworzeniach, takich, które miały ogromne, ogromne zęby. Kiedy cię taki współ - życz znajduje, czeka na okazję, by zakraść się do twego umysłu i stać się tobą.

Figle w milczeniu wpatrywały się w pannę Libellę.

- Stać się tobą? - powtórzyła.

- Tak, twoją pamięcią i wszystkim. Tyle że jego obecność cię zmienia. Daje ci dużo siły, ale zabiera twoją, zabiera ją sobie. I wreszcie to ostatnie ciut ciebie, które jeszcze tam jest... może nawet walczyć i walczyć, ale będzie maleć i kurczyć się, aż zniknie i jesteś tylko wspomnieniem.

Figle nie spuszczały wzroku z obu panien Libella. Nigdy się nie wie, co wiedźma może zrobić w takiej sytuacji.

- Magowie wywoływali niegdyś demony - powiedziała. - Może zresztą robią to nadal, choć mam wrażenie, że skończyli piętnaście wieków temu. Ale to wymaga wielkiej magii. Wydaje mi się, że można rozmawiać z demonami. Są jakieś zasady.

- Nigdy nie słyszałem, żeby współżycz coś mówił - powiedział Wojtek. - Lub by dostosowywał się do zasad.

- Ale czego chciał od Akwili? - zapytała panna Libella. - Ona nie dysponuje mocą.

- Ona ma w sobie moc swojej ziemi - odparł surowo Rozbój. - Taka moc przychodzi w chwili potrzeby, a nie dla ciutsztuczek. Myśmy to widzieli.

- Ależ Akwila nie czaruje! - Panna Libella była całkiem bezradna. - Jest bardzo inteligentna, lecz nie potrafi stworzyć najprostszego chaosu. Z pewnością się mylicie.

- Czy któryś z was, chłopcy, widział, jak ciutczarownica czaruje ostatnimi czasy? - dopytywał się Rozbój. Odpowiedziało mu mnóstwo przeczących potrząśnięć głową, co spowodowało gradobicie paciorków, żuczków, piórek i całej różności przystrojów głowy.

- To wyście szpiegowali... chciałam powiedzieć, pilnowali ją przez cały czas? - zapytała panna Libella nieco przestraszona.

- Oczywiście - oświadczył Rozbój z dumą. - Chociaż nie w wygodce. W sypialni było dość ciężko, bo z jakiegoś powodu pozatykała wszystkie szpary.

- Mogę to chyba zrozumieć - powiedziała ostrożnie panna Libella.

- Więc musieliśmy wchodzić przez myśią dziurę i chowaliśmy się w domku dla lalek do czasu, aż zasnęła - tłumaczył Rozbój. - Niech pani na mnie tak nie patrzy, wszystkie chłopaki są dobrze wychowane i zamykały oczy, kiedy przebierała się w nocną koszulę.

- A przed czym jej pilnowaliście?

- Przed wszystkim.

Pannie Libelli mignął obrazek z cichą, oświetloną księżycem sypialnią. Ujrzała tam, tuż przy oknie, jedną małą postać na straży, a drugą kryjącą się w cieniu, przy drzwiach. Przed czym jej strzegli? Przed wszystkim...

A teraz coś, co było jednym ze wszystkich, opanowało ją, a ona gdzieś tam jest w środku zamknięta. Ale nigdy nie używała żadnej magii. Potrafiłabym to zrozumieć, gdyby chodziło o jedną z tych dziewcząt, które wszędzie wściubiają swoje nosy, lecz... Akwila?

Jeden z Figli powoli podniósł rękę.

- Tak? - zapytała.

- To ja, proszę pani, Duży Jan. Nie wiem, czy to było porządne czarowanie - przelknął nerwowo - ale razem z Prawie Dużym Angusem widzieliśmy, jak robiła coś bardzo dziwnego, co nie, Prawie Duży Angusie? - Stojący obok Figiel przytaknął i Jan kontynuował:

- To było wtedy, jak dostała nową sukienkę i nowy kapelusz...

- I brrrrrrdzo przyjemnie w tym wyglądała - zauważył Prawie Duży Angus.

- Rzeczywiście. Włożyła je na siebie, potem stanęła na środku pokoju i powiedziała... co takiego powiedziała, Prawie Duży Angusie?

- „Zobacz mnie” - podrzucił mu Prawie Duży Angus.

Twarz panny Libelli była nieprzenikniona. Jan wyglądał na speszzonego, że w ogóle wspominał o takim drobiazgu, ale czuł w obowiązku skończyć.

- Po chwili usłyszeliśmy: „Przestań mnie widzieć”, a potem poprawiła kapelusz, no wiecie, zmieniła nieco nachylenie ronda.

- Aha, chodzi ci o to, że patrzyła w coś, co my, ludzie, nazywamy lustrem - zrozumiała panna Libella. - To jest rodzaj...

- Doskonale wiem, co to są lustra, proszę pani - odparł Prawie Duży Angus. - Ona miała jedno maleńkie, popękane i brudne. Zupełnie się nie nadawało, żeby obejrzeć porządnie całą sylwetkę.

- Lusterka znakomicie nadają się do krrrrradzieży - oświadczył Rozbój. - Zdobyliśmy dla mojej Joanny jedno srebrne do garderoby.

- I powiedziała „Zobacz mnie”? - zapytała panna Libella.

- Tak, a potem „Przestań mnie widzieć” - powtórzył Duży Jan. - A w międzyczasie stała całkiem nieruchomo jak wieża.

- To brzmi tak, jakby starała się wymyślić zaklęcie na czar niewidzialności. - Panna Libella się zadumała. - Oczywiście one działają całkiem inaczej.

- Nam się wydawało, że starała się wyrzucić z siebie własny głos - tłumaczył Prawie Duży Angus. - Brzmiał tak, jakby dochodził z zupełnie innego miejsca. Ciut Jan zna taki trik i używa go, kiedy polujemy.

- Wyrzucić swój głos? - Panna Libella zmarszczyła brwi. - Dlaczego tak myśleliście?

- Bo kiedy mówiła: „Przestań mnie widzieć”, brzmiało to, jakby dochodziło nie z jej ust, wargi też się nie poruszały.

Panna Libella wpatrywała się w Figle. Kiedy odezwała się znowu, jej głos brzmiał nieco dziwnie.

- Powiedzcie mi, czy kiedy tak stała, poruszała się choć trochę?

- Tylko bardzo powoli oddychała - odparł Duży Jan.

- Czy miała oczy zamknięte?

- Tak.

Oddech panny Libelli przyspieszył.

- Wyszła z własnego ciała! Jedna na sto czarownic potrafi coś takiego! - wykrzyknęła.

- Nazywa się to Pożyczeniem. To lepsze niż jakakolwiek cyrkowa sztuczka! Polega na tym, że przesuwają się... ..własny umysł gdzie indziej! Musisz...

- ...nauczyć się, jak siebie chronić, zanim się w ogóle czegoś takiego spróbuje! A ona to odkryła tylko dlatego, że nie miała lusterka? Co za głupiatko, dlaczego nic mi...

- ...nie powiedziała? Wyszła z własnego ciała i pozostawiła je tam, gdzie każdy mógł je zająć! Zastanawiam się...

- ...co jej zdaniem...

- ...robiła?

Po jakimś czasie Rozbój odchrząknął.

- Gdybyś zapytała o picie, bicie i zwiniecie - wymruczał – coś byśmy ci odpowiedzieli. Na czarowaniu się nie znamy.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

SPRAWA BRIANA

Coś, co nazywało siebie Akwilą, leciało, muskając czubki drzew.

To coś myślało, że jest Akwilą. Pamiętało wszystko - no, prawie wszystko - co dotyczyło Akwili. Wyglądało jak Akwila. Nawet myślało jak Akwila, mniej lub bardziej. Posiadało wszystko co trzeba, by być Akwilą...

...poza nią. Poza tym małym czymś, co stanowi, że ja jestem...

...mną.

Patrzyło jej oczami, starało się słuchać jej uszami, myśleć jej umysłem.

Współzycz opanowywał swoją ofiarę właściwie nie siłą, tylko zajmując jej miejsce, podobnie jak to robią słonie pustelniki*. Opanowywał cię po prostu dlatego, że taką miał naturę i musiał tak robić aż do chwili, gdy znajdzie się wszędzie i nie będzie miejsca, które da się opanować...

Ale...

...miał pewien kłopot. Przepłynął przez nią niczym ciemna fala, lecz wciąż istniało miejsce, mocno zaciśnięte, jakby zapieczętowane, nadal dla niego niedostępne. Gdyby współzycz miał umysł drzewa, byłby zdziwiony.

Gdyby miał umysł człowieka, byłby przestraszony.

* Słonie pustelniki z Howondalandu za miodu często wprowadzają się do lepierek z błota, gdy akurat nie ma w nich właścicieli. Są zbyt nieśmiałe, by kogokolwiek skrzywdzić, ale i tak ludzie zwykle opuszczają chatę, gdy tylko słoń się tam wprowadzi. Przede wszystkim dlatego, że podnosi ją na swym grzbiecie i niesie przez sawannę, przystając tam, gdzie napotka soczystą trawę. Przez to bardzo trudno zorganizować zajęcia domowe. Mimo to cała wioska słoni pustelników przenosząca się po równinie to najpiękniejszy z widoków tego kontynentu.

Akwila skierowała miotłę w dół, przepłynęła pomiędzy drzewami i wylądowała tuż przy schludnym ogródku pani Skorek. Uznała, że latanie tak naprawdę jest dziecinnie proste. Trzeba tylko chcieć.

Potem znowu zrobiło jej się niedobrze, a przynajmniej organizm dawał takie sygnały, ale zwróciła dwukrotnie w powietrzu i nie miała już nic, od czego mogło jej być niedobrze. To po prostu idiotyczne! Przecież wcale już nie bała się latać, tylko jej głupi żołądek nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

Starannie wytarła usta, po czym rozejrzała się wokoło.

Wylądowała na trawniku. Słyszała, że takie coś istnieje, ale nigdy wcześniej żadnego nie widziała. Wokół domku panny Libelli rosła trawa, ale to była tylko... no, trawa porastająca wolne miejsce. We wszystkich innych ogrodach, jakie знаła, rosły warzywa, niekiedy też kawałek miejsca oddawano kwiatom, jeśli gospodyni o tym pomyślała. Trawnik oznaczał, że jesteś na tyle wytworna, by marnować miejsce, gdzie mogłyby rosnąć ziemniaki.

Ten trawnik był w paski.

Akwila odwróciła się do miotły, nakazała jej: „Stój”, i przemaszerowała trawnikiem w kierunku domu. Był znacznie bardziej okazały niż dom panny Libelli, lecz Akwila słyszała, że pani Skorek stała znacznie wyżej w hierarchii wiedźm. Ponadto była żoną maga, chociaż on już nie uprawiał magii. To dość zabawne, powiedziała kiedyś panna Libella, ale rzadko się spotyka biednego maga.

Akwila zapukała do drzwi i czekała.

Na ganku wisiała siatka na uroki. Czarownica nie potrzebuje czegoś takiego, więc to pewnie dekoracja. O ścianę opierała się miotła, a na drzwiach lśniła pięcioramienna gwiazda. Najwyraźniej pani Skorek się reklamowała.

Akwila jeszcze raz zastukała w drzwi, głośniej.

W tej samej chwili otworzyła je wysoka chuda kobieta ubrana cała na czarno. Ale była to niezwykle wytworna, bogata i głęboka czerń, same koronki i marszczenia ozdobione większą ilością srebrnej biżuterii, niż wyobrażenia Akwili potrafiła ogarnąć. Ręce przystrajały nie tylko pierścionki, ale też na niektórych palcach lśniły srebrne nakładki w kształcie szponów. Kobieta migotała niczym nocne niebo.

Na głowie miała spiczasty kapelusz. Panna Libella nigdy nie nosiła go w domu. W dodatku ten był wyższy od wszystkich kapeluszy, jakie Akwila kiedykolwiek widziała u jakiegokolwiek czarownicy.

Wszystko to razem powinno robić wrażenie. Ale nie robiło. Częściowo dlatego że było tego za wiele, ale głównie przez samą panią Skorek. Miała pociągłą twarz o ostrych

rysach i wyglądała tak, jakby właśnie miała się poskarżyć, że kot z sąsiedztwa narobił jej na trawnik. I na dodatek tak wyglądała przez cały czas. Zanim się jeszcze odezwała, spojrzała uważnie na drzwi, sprawdzając, czy aby mocne walenie nie uszkodziło ich w jakiś sposób.

- Tak? - zapytała wyniośle, czy raczej w sposób, który jej zdaniem był wyniośły. A był po prostu dziwaczny.

- Pokój temu domowi - powiedziała Akwila.

- Co? Aha, no tak. Niech naszemu spotkaniu przyświecają łaskawe nam runy. - Pani Skorek wyklepała pospiesznie formułkę odpowiedzi. - Tak? - zapytała znowu.

- Przyszłam do Annagrammy. - Akwila pomyślała, że tego srebra jest zbyt wiele.

- Więc jesteś jedną z jej dziewcząt?

- Nie... niezupełnie - odparła Akwila. - Pracuję z panną Libellą.

- Z nią! - Pani Skorek zlustrowała Akwilę od stóp do głów. - Zielony to bardzo ryzykowny kolor. Co cię tu sprowadza, moje dziecko?

- Mam na imię Akwila.

- Hmm... - W głosie pani Skorek nie było aprobaty. - Chyba lepiej będzie, gdy wejdziesz. - Podniosła wzrok do góry i wydała dźwięk „ts!”. - Spójrz tylko. Kupiłam to kiedyś na jarmarku w Kawalku. Było bardzo kosztowne!

Siatka na czary wisiała w strzępach.

- Chyba nie ty to zrobiłaś? - zapytała pani Skorek.

- Wisi zbyt wysoko - odparła Akwila.

- Wejdz.

To był dziwny dom. Nie miało się wątpliwości, że mieszka w nim czarownica, i nie tylko dlatego że w szczycie każdych drzwi wycięto wysoki trójkątny otwór, by pani Skorek mogła przez nie przechodzić. Na ścianach domku panny Libelli nie było nic poza plakatami z cyrku, a tutaj wszędzie wisiały prawdziwe obrazki, na dodatek wszystkie były... czarujące. Widniało na nich mnóstwo sierpów księżyca oraz młodych kobiet - uczciwie mówiąc, niedokładnie ubranych - towarzyszyli im potężni mężczyźni z rogami i, no... nie tylko rogami. Na deskach podłogi były słońca i księżyce, a sufit w pokoju, do którego Akwila została wprowadzona, znajdował się bardzo wysoko, był pomalowany na błękitno i ozdobiony gwiazdami. Pani Skorek wskazała fotel z podnóżkiem w kształcie gryfa, a poduszkami w kształcie sierpu księżyca.

- Usiądź tutaj - poleciła. - Pójdę powiedzieć Annagrammie, że jesteś. Tylko nie kop w podnóżek butami.

I wyszła przez inne drzwi.

Akwila rozejrzała się...

...współzycz rozejrzał się dookoła...

...i powstała myśl: Trzeba być najsilniejszym. Wtedy jest się bezpiecznym. Ona jest słaba. Wydaje jej się, że magię można kupić.

- To naprawdę ona - rozległ się z tyłu głos. - Dziewczynka od serów.

Akwila się podniosła.

...współzycz przybierał już postać wielu postaci, w tym kilku magów, ponieważ magowie poszukują mocy przez cały czas i niekiedy ją znajdują, stosując swe zdradliwe kręgi, dzięki którym okrażają wcale nie jakiegoś demona na tyle głupiego, że da się go złapać groźbami lub zagadkami, ale współzycz, który jest tak głupi, że niepotrzebne są żadne sztuczki, by dał się złapać. I współzycz pamiętał...

* * *

Annagramma piła ze szklanki mleko. Kiedy już się widziało panią Skorek, można też było nieco zrozumieć Annagrammę. Czuło się wprost, że obserwuje świat z uwagą, by zaraz usiąść i spisać listę poprawek.

- Cześć - odezwała się Akwila.

- Podejrzewam, że przyszedł tu, aby błagać mnie, byśmy cię jednak do nas przyjęły, czyż nie? To mogłoby być nawet zabawne.

- Niezupełnie. Ale mogłabym pozwolić, byś dołączyła do mnie - odparła Akwila. - Smakuje ci to mleko?

Szklanka mleka zmieniła się w zbitą masę trawy i ostów. Annagramma w jednej chwili wypuściła ją z ręki. Szklanka znowu stała się szklanką mleka w momencie, kiedy miała uderzyć w podłogę, szkło rozbiło się na kawałeczki i mleko rozlało po podłodze.

Akwila popatrzyła na sufit. Namalowane gwiazdy rozbłysły prawdziwym światłem. Lecz Annagramma nie odrywała wzroku od rozlanego mleka.

- Mówią, że moc niekiedy przychodzi do nas, słyszałaś o tym? - Akwila spacerowała wkoło Annagrammy. - No cóż, do mnie przysza. Chcesz być moją przyjaciółką? Czy raczej wolisz... stać mi na drodze? Na twoim miejscu posprzątałabym to mleko.

Skoncentrowała się. Nie wiedziała, skąd to przychodziło, ale wydawało się doskonale wiedzieć, co powinno robić.

Annagramma uniosła się o kilka cali nad podłogę, szarpała się i próbowała uwolnić, ale przez to zaczęła jedynie wirować. Ku obrzydliwemu zadowoleniu Akwili rozpląkała się.

- To ty powiedziałaś, że powinnyśmy używać naszej mocy - mówiła Akwila, chodząc naokoło Annagrammy, która próbowała się uwolnić. - Mówiłaś, że jeśli mamy talent, ludzie powinni o tym wiedzieć. Ty masz głowę na karku, i to dobrze tam przymocowaną. - Akwila nachyliła się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. - To byłoby okropne, gdyby okazała się nie aż tak dobrze przymocowana, prawda?

Machnęła dłonią i jej więźniarka opadła na ziemię. Ale choć Annagramma była nieprzyjemna, nie okazała się tchórzem, zerwała się na równe nogi, otworzyła usta do krzyku i podniosła rękę...

- Uważaj - powiedziała Akwila. - Bo mogę to zrobić jeszcze raz.

Annagramma nie była też idiotką. Opuściła rękę i wzruszyła ramionami.

- Udało ci się - przyznała z niechęcią.

- Ale przyznaję, że przydałaby mi się twoja pomoc.

- Niby do czego? - burknęła Annagramma, wciąż się bocząc.

Potrzebujemy sprzymierzeńców, myślał współzycz w umyśle Akwili. Mogą pomóc nas chronić. A w razie czego się ich poświęci. Inne stworzenia zawsze lgną do tych, którzy reprezentują sobą potęgę, a ta w szczególności kocha moc...

- Po pierwsze - mówiła Akwila - żebyś mi powiedziała, gdzie mogę się ubrać tak jak ty.

Oczy Annagrammie załśniły.

- Och, musisz wpaść do Zygza Węcemocnego w Bezwyjściu. On sprzedaje wszystko, czego tylko nowoczesna wiedźma może zapragnąć.

- W takim razie ja chcę wszystko - odparła Akwila.

- Będzie żądał zapłaty - ciągnęła dalej Annagramma. - To krasnolud. Oni potrafią odróżnić prawdziwe złoto od iluzji. Wszyscy próbowali już z nim tej sztuczki. Tylko się śmiał. A jeśli spróbujesz dwa razy, poskarży się na ciebie twojej przełożonej.

- Panna Libella twierdzi, że czarownica powinna mieć tylko tyle pieniędzy, ile trzeba.

- No właśnie - zgodziła się Annagramma - tyle ile trzeba, żeby mogła kupić wszystko, czego jej potrzeba! Pani Skorek twierdzi, że fakt, iż jesteśmy wiedźmami, nie oznacza, że musimy żyć niczym wieśniaczki. Ale panna Libella jest nieco staroświecka. Pewnie w ogóle nie trzyma w domu żadnych pieniędzy.

- O, ja wiem, skąd mogę wziąć pieniądze - powiedziała Akwila. - Wrócę tutaj, proszę, pomóż mi! po południu i zaprowadzisz mnie do tego krasnoluda.

- Co to było? - zapytała Annagramma ostrym tonem.

- Właśnie powiedziałam zatrzymaj mnie! że spotkamy się u ciebie po południu... - zaczęła Akwila.

- O, znowu! To było jakby... dziwne echo towarzyszące twoim słowom. Jakby dwoje ludzi próbowało mówić równocześnie.

- Ach, to - odparł współzycz. - To nic takiego. Niedługo przejdzie.

To był interesujący umysł i współzycz lubił go używać, tylko to jedno miejsce, maleńkie, ale wciąż zamknięte, strasznie go złościło, jak drzazga, która uwiera...

Współzycz nie myśli. To, co jest jego niby - umysłem, stanowi wspomnienie wszystkich umysłów, którymi niegdyś był. Są jak echa po tym, gdy muzyka już zamilknie. Ale nawet echa, objając się o siebie, mogą stworzyć odrębną harmonię.

Teraz się rozdzwoniły, wydawały z siebie dźwięki mówiące: Dopasuj się. Nie jesteś jeszcze na tyle mocny, by sobie robić wrogów. Znajdź przyjaciół...

Ciemny, niski sklep Zygzała mieścił w środku mnóstwo wszystkiego, na co można było wydać pieniądze. Zygzał rzeczywiście był krasnoludem, a ci tradycyjnie nie są zainteresowani używaniem magii, jednak z pewnością wiedział, jak ustawić towar, bo w tym są bardzo dobrzy.

Więc były tam różdżki, w większości metalowe, ale trafiały się i takie z rzadkiego drewna. Niektóre miały lśniące końce z kryształu, co oczywiście powodowało, że kosztowały więcej. W dziale „Eliksiry i mikstury” stały butelki z kolorowego szkła - co dziwne, im mniejsza buteleczka, tym miała wyższą cenę.

- Dlatego że zawierają bardzo rzadkie ingrediencje, na przykład łyż jakiegoś prawie nie występującego węża czy inne takie - powiedziała Annagramma.

- Wężę nie płaczą - odparła Akwila.

- Nie płaczą? Pewnie dlatego ich łyż są takie kosztowne.

Było tam także mnóstwo innych rzeczy. Z sufitu zwisały chaosy znacznie ładniejsze i bardziej interesujące od wszystkich, jakie dotąd oglądała Akwila. Ponieważ były całkowicie skończone, musiały też być martwe, tak jak te, które panna Libella trzymała dla ozdoby. Ale wyglądały dobrze, a przecież liczył się wygląd.

Były nawet kamienie, w które można było patrzeć.

- Kule kryształowe - wyszeptała Annagramma, kiedy Akwila podniosła jeden z nich. - Uważaj! Są horrendalnie drogie! - I wskazała napis umieszczony bardzo zmyślnie między lśniącymi kulami.

Głosił on:

Cudowne do oglądania
Przyjemne do potrzymania
Jeśli upuścisz
Rozszarpią cię dzikie konie

Akwila ujęła największą kulę w dłoń i zobaczyła, jak Zygzak przesuwając się nieznacznie zza kontuaru, gotowy podbiec z rachunkiem, gdyby tylko ją upuściła.

- Panna Tyk używa spodka z wodą, do którego nalewa odrobinę atramentu - powiedziała. - Na dodatek woda jest pożyczona, a i na atrament da się kogoś naciągnąć.

- Och, fundamentalizm! - jęknęła Annagramma. - Buraki... tak nazywa je pani Skorek... strasznie psują nam opinię. Naprawdę chcesz, żeby ludzie uważali wiedźmy za bandę stukniętych staruch? To takie przasne! Już najwyższy czas, by zacząć działać profesjonalnie.

- Hmmm - mruknęła Akwila, rzucając kulę w górę, a potem łapiąc ją jedną ręką. - Powinniśmy coś zrobić, żeby ludzie się nas bali.

- No... tak... z pewnością powinni czuć respekt - udało się powiedzieć Annagrammie. - Ale... gdybym była na twoim miejscu... lepiej bym uważała...

- Dlaczego? - zapytała Akwila, rzucając niedbale kulę za ramię.

- To był najlepszej jakości kwarc! - wrzasnął Zygzak, wybiegając zza kantorka.

- Och, Akwilo! - wykrzyknęła Annagramma, nieco przestraszona, ale powstrzymująca się też od śmiechu.

Zygzak minął je, biegnąc w stronę miejsca, gdzie upadła kula, a teraz leżały setki bardzo kosztownych kawałeczków...

...gdzie nie leżały setki bardzo kosztownych kawałeczków.

I on, i Annagramma w tej samej chwili odwrócili się w stronę Akwili.

A ona obracała kulę na czubku palca.

- Szybkość ręki potrafi oszukać oko - oświadczyła spokojnie.

- Przecież słyszałem trzask rozbijanej kuli! - wykrzyknął Zygzak.

- Oszukuje też ucho. - Akwila odłożyła kulę na miejsce. - Nie chcę jej, ale... - wskazała palcem - wezmę ten naszyjnik, i ten też, i tamten z kotami, i pierścioneł, i zestaw tych dwóch, nie, tych trzech, i... a co to jest?

- Hm, to Księga Nocy - powiedziała nerwowo Annagramma. - Rodzaj magicznego dziennika. Zapisujesz w nim, nad czym pracujesz...

Akwila sięgnęła po księgę oprawną w skórę. Na okładce w obramowaniu z jeszcze grubszej skóry widniało oko. Oko przesunęło się tak, że teraz spoglądało na nią. Prawdziwy pamiętnik czarownicy. Robił znacznie większe wrażenie niż jakiś tam bezwartościowy stary kalendarz kupiony od okréżnego sprzedawcy.

- Czyje to oko? - zapytała Akwila. - Czy to był ktoś interesujący?

- No, ja mam tę księgę od magów z Niewidocznego Uniwersytetu - odparł Zygzak, który jeszcze nie doszedł do siebie. - To nie jest prawdziwe oko, ale ma dość sprytu, by podążać za tobą, aż złapie kontakt z twoim okiem.

- Mrugnęło - stwierdziła Akwila.

- Magowie to naprawdę wyjątkowo sprytni ludzie – powiedział krasnolud, który już wyczuł transakcję. - Czy mam ją dla ciebie zapakować?

- Tak. Zapakuj to wszystko. A teraz czy ktoś mnie słyszy? pokaż mi dział ubrań...

...a w nim kapelusze. Czarownice, jak wszyscy, ulegają modom. Bywa, że modne są plisy, kiedy indziej czubek jest tak zakręcony, że potrafi wskazywać ziemię. I nawet najbardziej tradycyjny kapelusz (czarny rożek skierowany czubkiem w górę) potrafi mieć różne odmiany, takie jak na przykład: Wieśniaczka (wewnętrzne kieszenie, materiał nieprzemakalny), Pogromca Chmur (z haczykiem do zaczepiania na miotle) i, często używany, model Bezpieczny (gwarantujący w 80% przetrwanie zawałania się obiektów murowanych).

Akwila wybrała najwyższy rożek z czubkiem skierowanym ku górze. Miał ponad dwie stopy i był wyszywany w gwiazdy.

- To Drapacz Chmur, muszę przyznać, że bardzo w twoim stylu - pochwalił wybór Zygzak, który związał się jak fryga, otwierając kolejne szuflady. - Pasuje do czarownicy, która może wiele osiągnąć, wie, czego chce, i nie dba, ile żab przypłaci to życiem. – Parsknął śmiechem. - Chciałbym nadmienić, że wiele dam lubi mieć pasujący do tego kapelusza płaszcz. Chciałbym pokazać fason Północ, czysta wełna, piękny splot, wyjątkowo ciepły, ale... - spojrzał na Akwilę porozumiewawczo - ...tak się składa, że mam też płaszcz z bardzo limitowanej serii Lekki Zefir, niezwykle rzadko się trafia, czarny jak węgiel i cienki niczym pajęczyna. Trzeba zapomnieć o ochronie przed chłodem czy deszczem, ale przy najlżejszym podmuchu wygląda niezwykle efektownie. Proszę tylko spojrzeć...

Trzymając płaszcz w dłoni, lekko w niego dmuchnął. Materiał unióśł się w górę i furkotał jak liść na wietrze.

- Och! - jęknęła Annagramma.

- Biorę - oświadczyła Akwila. - Włożę go na sobotnie Próby.

- Gdybyś wygrała, powiedz wszystkim, że kupiłaś to tutaj - poprosił Zygzak.

- Kiedy wygram, powiem, że dostałam bardzo przyzwoitą zniżkę - powiedziała Akwila.

- Nigdy nie daję zniżek - oświadczył Zygzak tak hardo, jak tylko krasnolud potrafi.

Akwila, nie odrywając od niego wzroku, sięgnęła po jedną z najdroższych różdżek. Różdżka zaśniała.

- To numer sześć - wyszeptała Annagramma. - Pani Skorek ma właśnie taką.

- Widzę na niej runy - powiedziała Akwila, a sposób, w jaki wymówiła te słowa, spowodował, że Zygzak pobałdł.

- No oczywiście! - wykrzyknęła Annagramma. - Na różdżce muszą być runy.

- Te akurat są w języku Oggham. - Akwila uśmiechała się do krasnoluda bardzo nieprzyjemnie. - Czy powinnam powiedzieć, co jest tu napisane? Napisane jest: „Co za głupek macha mną?”.

- Nie tym tonem do mnie, młoda damo! - wykrzyknął krasnolud. - Kim jest twoja opiekunka? Znam ja takie jak ty! Nauczy się jednego zaklęcia i już jej się wydaje, że jest panną Weatherwax. Nie dopuszczę do takiego zachowania! Brian!

Za jego plecami poruszyła się kotara, za którą znajdowało się zaplecze sklepu, i po chwili pojawił się mag.

Od razu było widać, że to mag. Oni nigdy nie zostawiają miejsca na niedomówienia. Miał na sobie długą suknię w gwiazdy i różne magiczne symbole, było tam nawet parę cekinów. Jego broda byłaby długa, gdyby ten młody człowiek mógł wyhodować długą brodę. Była jednak poszarpana, wiotka i niezbyt czysta. Ogólny efekt psuł też fakt, że w jednej ręce trzymał papierosa, w drugiej kubek z herbatą, a jego twarz wyglądała jak u stworzenia, które mieszkało długo na moczarach.

Kubek był wyszczerbiony i zdobił go radosny napis: „Nie musisz znać się na magii, żeby tu pracować, choć by się to przydało!!!!”.

- Co? - zapytał i dodał z wyrzutem: - Przecież wiesz, że to moja przerwa śniadaniowa.

- Ta młoda... dama jest kłopotliwa - powiedział Zygzak. - Rzuca magią. Odpowiada i mądrzy się. To co zwykle.

Brian spojrzał na Akwilę, która uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Brian był na Niewidocznym Uniwersytecie - oświadczył Zygzak z uśmiechem wyraźnie mówiącym: No i widzisz! - Otrzymał stopień. O tym, czego nie wie na temat magii, można by napisać książkę! Paniom należy wskazać drogę do wyjścia, Brianie.

- No więc, drogie panie - odezwał się nerwowo Brian, odstawiając kubek. - Zróbcie to, co mówi pan Wręcemocny, i spadajcie, zgoda? Nie chcemy tu żadnych kłopotów, prawda? No dalej, jesteście przecież grzecznymi dziewczynkami.

- Po co panu mag do ochrony, skoro ma pan tyle magicznych amuletów, panie Wręcemocny? - zapytała słodko Akwila.

- No i co tak stoisz? - Zygzak zwrócił się do Briana. - Widzisz, ona to znowu robi! Chyba ci za coś płacę. Wpłyn na nie albo zrób coś!

- Jeśli studiowałeś magię, Brian, to masz jakieś pojęcie o zachowaniu masy, prawda? - zapytała Akwila. - Chodzi mi o to, że dokładnie wiesz, co się dzieje, kiedy chcesz kogoś zamienić w żabę?

- No, ja... - zaczął mag.

- Przecież to tylko przenośnia! - zachnął się Zygzak. - Chciałbym zobaczyć, jak ty zamieniasz kogoś w żabę!

- Życzenie spełnione - odparła Akwila i machnęła różdżką.

- Poczekaj - zaczął Brian - kiedy mówiłem, że byłem na Niewidocznym Uniwersytecie, chodziło mi o...

A zakończył, mówiąc: - Erk!

Oderwij teraz wzrok od Akwili i przenieś się wysoko, ponad sklep i ponad wioskę, tak by krajobraz rozciągnął się pod tobą jak patchwork pól, lasów i gór.

Magia rozchodzi się niczym zmarszczki na wodzie, do której wrzucimy kamień. Nawet kilka mil od miejsca, w którym się wydarzyła, powoduje, że chaosity zaczynają wirować, rwą się siatki na uroki. Im dalej zmarszczki magii odpływają, tym ich siła staje się mniejsza, ale nigdy nie zamiera, wciąż potrafią ją wyczuć urządzenia bardziej wrażliwe od najwrażliwszego chaosu...

Pozwólmy, by oko przesunęło się i teraz opadło w dół, do tego lasu, na tę polanę, do tej chatki...

Na ścianach nie ma nic, tylko biel wapna, podłoga to jedynie zimne kamienie. Na wielkim palenisku nie widać żadnych garnków. Czarny czajnik do herbaty wisi na czarnym haku nad czymś, co od biedy tylko można by nazwać w ogóle ogniem, bo to raptem kilka patyków zgromadzonych na stosik.

To jest dom, w którym nie ma nic poza kwintesencją rzeczy.

Na górze stara kobieta, cała ubrana w wypłowiałą czerń, leży na wąskim łóżku.

Nie pomyślisz, że nie żyje, tylko dlatego, że na jej szyi na sznurku wisi duża kartka z napisem:



...a w tak napisane słowa trudno powątpiewać. Jej oczy są zamknięte, dłonie skrzyżowane na piersiach, usta otwarte.

I po tych ustach chodzą pszczoły, tak samo jak po oczach i po poduszce. Pełno ich w całym pokoju, wlatują i wylatują przez otwarte okno, gdzie na parapecie ktoś postawił rzędkiem talerzyki z ocukrzoną wodą.

Oczywiście żaden talerzyk nie pasuje do innych. Wiedźmy nigdy nie mają naczyń w komplecie. Ale pszczoły pracują, wlatują i wylatują... zajęte, jak to pszczoły.

W chwili gdy zmarszczka magii przepływa w tym miejscu, brzęczenie staje się bardzo głośnie i pszczoły wpadają do środka, jakby wpychał je podmuch wiatru. Obsiadają nieruchomą staruszkę tak, że wreszcie jej głowa i ramiona pokryte są nieustannie poruszającą się masą małych brązowych ciałek.

A potem, niczym jeden owad, zrywają się i wylatują przez otwarte okno na zewnątrz, gdzie w powietrzu lata mnóstwo nasionek klonu.

Panna Weatherwax usiadła wyprostowana.

- Pfuj! - Wygrzebała z ust szamoczącą się pszczołę. Dmuchnęła na nią, kierując stworzenie w stronę okna.

Przez chwilę jej oczy wydawały się mieć wiele wymiarów, niczym oczy pszczół.

- Więc to tak - powiedziała wreszcie. - Czyżby nauczyła się, jak Pożyczać? A może to ona została wypożyczona?

* * *I

Annagramma zemdlą. Zygzak nie odrywał wzroku od żaby, zbyt przerażony, by uciekać w omdlenie.

- No bo widzisz - tłumaczyła Akwila, podczas gdy coś ponad nimi robiło „glup, glup”
- żaba waży tylko kilka uncji, podczas gdy Brian... no nie wiem... pewnie ze sto dwadzieścia funtów, prawda? Więc kiedy zamienia się kogoś tak dużego w żabę, musisz znaleźć sposób, by poradzić sobie ze wszystkimi kawałkami, które do niej nie pasują. Rozumiesz, prawda?

Pochyliła się i podniosła z podłogi spiczasty kapelusz maga.

- Szczęśliwy, Brian? - zapytała.

Mała żabka siedząca na stosie materiału spojrzała w górę i wydała z siebie:

- Erk!

Zygzak nie patrzył na żabę. Nie odrywał wzroku od rzeczy, która robiła „glup, glup”. Przypominało to duży różowy balon pełen wody, całkiem przyjemny dla oka, który objął się o sufit.

- Zabiłaś go! - wyszeptał.

- Co? O nie, to tylko reszta, której w obecnym stanie nie potrzebuje. Można to nazwać... zapasowym Brianem.

- Erk! - wydal z siebie Brian.

- Glup! - wydał z siebie zapasowy Brian.

- Wracając do zniżki... - zaczął pośpiesznie Zygzak - dziesięć procent będzie...

Akwila machnęła różdżką. Wszystkie kryształowe kule uniosły się w powietrze i zaczęły orbitować jedna wokół drugiej, zataczając lśniące koła. Wyglądały tak delikatnie!

- Ta różdżka nie potrafi tego zrobić! - wykrzyknął krasnolud.

- Oczywiście że nie. To śmieć. Aleja potrafię – oświadczyła Akwila. - Mówiłeś coś o dziewięćdziesięciu procentach zniżki? Myśl szybko, bo jestem już bardzo zmęczona. A zapasowy Brian wydaje mi się coraz... cięższy.

- Możesz sobie to wszystko wziąć! Za darmo! Tylko nie pozwól, żeby on się rozlał. Proszę!

- Ależ nie, nie chcę przecież, żebyś wypadł z interesu. Dziewięćdziesiąt procent zupełnie wystarczy. Chciałabym, żebyś myślał o mnie jak o... o przyjaciółce...

- Oczywiście! Oczywiście. Jestem twoim przyjacielem! W ogóle jestem bardzo przyjacielski! A teraz proszę, odstaw go! Błagam! - Zygzak padł na kolana. Nie kosztowało go to dużo wysiłku. - Błagam! On wcale nie jest magiem! Chodził tam tylko na zajęcia wieczorowe z grawerunku! Firma wynajmowała od uniwersytetu sale, to wszystko. Wydaje mu się, że tego nie wiem. Ale ponieważ gdzieś podwędził tę suknię, a ponadto przeczytał parę magicznych książek i potrafi mówić ich żargonem, trudno się połapać, że nim nie jest! Błagam! Przecież żaden prawdziwy mag nie zgodziłby się robić tego za takie pieniądze, jakie jemu płacę! Nie rób mu krzywdy, proszę!

Akwila machnęła ręką. To, co się w tej chwili zdarzyło, było jeszcze bardziej nieprzyjemne niż wtedy, gdy zapasowy Brian wyskoczył pod sufit, ale wkrótce potem cały Brian stał przed nimi z miną wyrażającą kompletne zdziwienie.

- Dziękuję ci! Dziękuję! Dziękuję! - dyszał Zygzak.

- Co się dzieje? - zapytał nic nierozumiejący Brian.

Zygzak czuł wielką ulgę, ale musiał sprawdzić, czy Brian jest rzeczywiście zdrow i cały, więc zaczął go energicznie poklepywać.

- Nie jesteś już balonem? - pytał.

- Co to? Ręce precz! - odsunął go Brian.

Z ust Annagrammy wyrwał się jęk. Otworzyła oczy i zobaczywszy Akwilę, próbowała się podnieść, a jednocześnie cofnąć, więc wyglądała jak chodzący do tyłu pająk.

- Proszę, nie rób mi tego! Proszę, nie! - krzyczała.

Akwila podbiegła do dziewczyny i pomogła jej się podnieść.

- Tobie bym nigdy nic nie zrobiła, Annagrammo! - wykrzyknęła radośnie. - Przecież jesteś moją przyjaciółką! Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi! Czyż to nie Cudowne proszę, proszę, niech ktoś mnie powstrzyma...

* * *

Musicie pamiętać, że praludki nie są krasnoludkami. Teoretycznie krasnoludki wykonują za ciebie prace domowe w zamian za spodeczek mleczka.

Jeśli chodzi o Fik Mik Figle... zapomnij o tym.

Nie żeby nie próbowały, jeśli oczywiście ciebie lubią i jeśli nie obrazisz ich propozycją spodka z mlekiem. Chcą pomagać. Tyle że kiepsko im to wychodzi. Na przykład nie powinno się chyba próbować oczyścić garnka ze starej rdzy przez uporczywe uderzanie nim w głowę.

Chyba też nikt nie chciałby zobaczyć zlewu pełnego praludków pomiędzy najlepszą porcelaną. Lub swojego ulubionego dzbanka, który się toczy to w jedną, to w drugą stronę po podłodze, podczas gdy praludki w środku walczą z brudem i z sobą nawzajem.

Ale panna Libella, dla której porcelana nie była tematem do zmartwienia, uznała, że lubi Figli. Było w nich coś niezniszczalnego. Co więcej, kobieta o dwóch ciałach nie robiła na nich najmniejszego wrażenia.

- E, to nic - oświadczył jej Rozbój. - Kiedyś służyliśmy Królowej do najazdów i trafiliśmy raz do świata, gdzie ludzie mieli po pięć ciał każdy. I to różnej wielkości, by łatwiej było wykonywać różne prace.

- Naprawdę? - zapytały jednocześnie oba ciała panny Libelli.

- Owszem, a największe ciało miało ogromną lewą rękę do otwierania słoików z przetworami.

- Te przykrywki nieraz bardzo trudno odkręcić - zgodziła się panna Libella.

- No tak, oglądaliśmy przedziwne królestwa, kiedy byliśmy wojskiem Królowej. Ale rzuciliśmy tę robotę, bo była intrygantką i kutwą, ot co!

- No właśnie, wcale nie wyrzuciła nas z Krainy Baśni za to tylko, że byliśmy całkiem ululani o drugiej po południu, choć niektóre łobuzy tak... - Głupi Jaś nie mógł skończyć, bo miał zatkane usta.

- Ululani? - powtórzyła panna Libella.

- No... ojej, chodziło mu o... zmęczeniu. Tak, właśnie, zmęczeniu. To właśnie miał na myśli - powiedział Rozbój, trzymając dłonie silnie zaciśnięte na ustach swego brata. - Nie wiesz, jak się rozmawia z damą, ty ciutskunksie!

- No... chciałam wam bardzo podziękować za pozmywanie naczyń - odezwała się panna Libella. - Naprawdę nie musieliście...

- Żaden kłopot - odparł pogodnie Rozbój, wypuszczając wreszcie Jasia. - Jestem pewien, że wszystkie talerze da się posklejać, trzeba tylko ciutkleju.

Panna Libella spojrzała na zegar bez wskazówek.

- Robi się późno. Jaka jest wasza propozycja?

- Co?

- Czy macie plan?

- Och, plan. No oczywiście.

Rozbój zaczął szperać przy swoim sączku - jest to skórzany woreczek, który prawie każdy Figiel nosi u paska. Zawartość sączka jest zazwyczaj tajemnicza, ale niekiedy drzemią w nim wielkie możliwości.

Tym razem objawił się złożony po wielokroć papier.

Panna Libella ostrożnie go rozłożyła.

- „PLN”? - zapytała.

- Tak! - oznajmił z dumą Rozbój. - Przybyliśmy przygotowani! Tylko spójrz, jest zapisany! Plan.

- Jak... powinnam to wyrazić? - zastanawiała się panna Libella. - No tak, wyruszyliście jak najspieszniej, przebyliście całą tę drogę, aby uratować Akwilę od stworzenia, którego nie da się zobaczyć, którego nie można dotknąć, powąchać ani zabić. Co zamierzaliście zrobić, kiedy już tu przybędziecie i znajdziecie je?

Rozbój podrapał się w głowę. Skutkiem tego były skaczące... no, nie myśli.

- To jedyny słaby punkt.

- Poza nim plan byłby wykonany?

- Jasne, po to jest plan - odparł Rozbój, znowu się rozjaśniając.

- Więc jak to ma wyglądać?

- Zazwyczaj przeciwnicy starają się nas powstrzymać, a my staramy się przeć do przodu.

- Ale to stworzenie siedzi w jej głowie!

- Jeśli trzeba, pójdziemy do jej głowy. Miałem nadzieję, że zdążymy, zanim to coś w nią wlezie, ale możemy go dalej ścigać.

Twarz panny Libelli była znakiem zapytania. A nawet dwoma znakami zapytania.

- Wewnątrz jej głowy? - zapytała.

- No jasne - odparł Rozbój, jakby takie rzeczy zdarzały się co dzień. - Niet problema. Wchodzimy i wychodzimy z każdego dowolnego miejsca. No, może poza pubami, gdzie z wychodzeniem mamy pewne kłopoty. Ale głowa? Bułka z masłem.

- Przepraszam, że pytam, ale mówimy tu o prawdziwej żywej głowie - tłumaczyła naprawdę przestraszona panna Libella. - Jak to robicie? Wchodzicie uszami?

Rozbój poszukał spojrzeniem pomocy u barda Wojtka Wielkiejgęby.

- Za małe, proszę pani - odparł bard, nie tracąc cierpliwości. - Ale trzeba pamiętać, że my potrafimy się poruszać między światami. Jesteśmy postaciami z bajki.

Panna Libella pokiwała obiema głowami. To była prawda, choć spoglądając na zwarte szeregi Fik Mik Figli, trudno było pamiętać, że technicznie biorąc, były bajkowymi postaciami. Trochę tak jak trudno się pamięta, że pingwiny to ptaki, kiedy się je widzi pływające pod wodą.

- I...? - zapytała.

- Możemy się dostać do snu... A umysł to przecież tylko inny rodzaj snu.

- Nie, na to nie pozwolę! - wykrzyknęła panna Libella. - Nie mogę się zgodzić, byście biegali po głowie młodej dziewczynki! Popatrzcie tylko na siebie. Ostatecznie jesteście w pełni dorosłymi... no, jesteście po prostu mężczyznami. To byłoby tak... jakbyście przeczytali jej pamiętnik!

- Naprawdę? - Rozbój bardzo się zdziwił. - Do jej pamiętnika zaglądaliśmy wiele razy. I nic złego się nie stało.

- Zaglądaliście do jej pamiętnika?! - zapytała przerażona panna Libella. - Dlaczego?

Później, kiedy o tym myślała, wiedziała, że powinna znać odpowiedź z góry.

- Ponieważ był zamknięty - odparł spokojnie Głupi Jaś. - Gdyby nie chciała, by ktoś tam zaglądał, po co by go chowała do szuflady pod skarpetkami? Tak czy siak było tam pełno słów, których nie rozumieliśmy, a poza tym rysunki serc i kwiatków, i takie tam.

- Serca? Naprawdę? - Panna Libella potrząsnęła głową. - Ale nie powinniście tego robić! A wchodzenie w czyjś umysł jest jeszcze gorsze.

- Współzyc już tam jest, proszę pani - powiedział łagodnie Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba.

- Przecież powiedziałeś, że nie możecie nic na to poradzić!

- Ale ona może. Jeśli ją tam odnajdziemy. Jeśli znajdziemy ten maleńki ciutkawałeczek jej, który jest ciągle nią. A kiedy się ją rozrusza, dzielny z niej wojownik. Bo widzi pani, umysł jest jak cały świat. Ona się gdzieś tam chowa, spoglądając przez swoje własne oczy, słuchając swoimi własnymi uszami, chce, by ludzie ją usłyszeli, i stara się tak schować, by ten stwór nie mógł jej znaleźć... a będzie szukał, aż ją zgniecie...

Panna Libella sama poczuła się, jakby była ścigana. Patrzyło na nią pięćdziesiąt twarzyczek, na których malowała się mieszanina smutku i nadziei, a pomiędzy tymi uczuciami tkwiły połamane nosy. A ona nie miała lepszego planu. Nie miała nawet PLN - u.

- No dobrze - wydusiła z siebie wreszcie. - Ale przynajmniej musicie się przedtem wykapać. Wiem, że to głupie, lecz dzięki te mu będę się jakoś lepiej czuła.

Odpowiedział jej zbiorowy jęk.

- Kąpiel? Dopiero co się kąpaliśmy, nie minął jeszcze nawet rok - oświadczył Rozbój.

- Kiedy wylądowaliśmy w tym wielkim stawie dla statków!

- Na litość! - wykrzyknął Duży Jan. - Nie możesz żądać, by mężczyzna brał tak często kąpiel! Nic by z nas nie zostało!

- Gorącą wodą i z użyciem mydła! - Panna Libella była nieugięta. - Nie ustąpię. Należę wody i... przetrzęcę przez krawędź cebrzyka linę, żebyście mogli się wdrapywać i wychodzić, ale macie . być czysti. Jestem czar... wiedźmą i lepiej róbcie, co wam każę!

- Och, na wszystkie szczury! - zawołał Rozbój. - Zrobimy to dla dużej ciutwiedźmy. Ale nie będziesz podglądać, co?

- Podglądać? - powtórzyła w oszołomieniu panna Libella. Jej palec wskazujący trząsł się lekko. - Marsz do łazienki!

* * *

Trzeba wszakże powiedzieć, że panna Libella podsłuchiwała pod drzwiami. Czarownice robią takie rzeczy.

Przez jakiś czas panowała cisza zakłócana tylko łagodnym pluskiem wody, ale potem doszły ją słowa:

- To nie jest takie złe, jak myślałem!

- Całkiem przyjemne.

- Patrzcie, tutaj jest duża żółta kaczką. Który to pcha swój wielki nocha?

Nastąpiło wilgotne „kwak!”, a potem odgłos bąbelków, kiedy gumowa kaczką opadała na dno.

- To chyba nie było najlepsze dla statku wypić wodę ze stawu, w którym się kąpałismy. Okropnie jest słyszeć, jak statek chce splunąć.

- Ale to nas zmiękczy. Nie ma dobrej kąpeli, jeśli wody nie skuwa lód.

- Kogoś nazywasz mięczakiem?

Potem siła plusków nasiliła się znacznie, aż wreszcie woda zaczęła wypływać pod drzwiami.

Panna Libella zastukała.

- Wychodzić mi tu zaraz i wycierać się! - rozkazała. - Ona może lada chwila wrócić.

Ale na to musieli poczekać jeszcze ze dwie godziny, podczas których panna Libella osiągnęła taki stan zdenerwowania, że jej naszyjnik podzwaniały przez cały czas.

Do bycia wiedźmą dojrzała później niż przeciętna kobieta. Choć dwa ciała potęgowały naturalne skłonności, jednak nigdy magia jej nie uszczęśliwiała. Prawdę mówiąc, większość czarownic potrafi przejść przez życie, nie zajmując się żadną poważną niezaprzeczną magią (robienie chaosu, siatek na uroki i łapaczy snów nie do końca się liczy, można je raczej potraktować jak rzemiosło, a cała reszta to medycyna stosowana, zdrowy rozsądek i umiejętność niewyglądania śmiesznie w spiczastym kapelusiku). Ale kiedy się jest czarownicą i nosi się spiczasty kapelusz, to trochę tak jakby się było policjantem. Ludzie widzą mundur, nie człowieka w nim. Kiedy ulicą biegnie szaleniec wymachujący siekierą, policjant nie może się odwrócić, mruczając do siebie: „Znajdź raczej kogoś innego. Ja zajmuję się zbłąkanymi psami i bezpieczeństwem na drodze”. Jeśli akurat jesteś w tamtym miejscu i masz odpowiednie nakrycie głowy, bierzesz się do roboty. To naczelna zasada czarownic: wszystko należy do ciebie.

Więc kiedy Akwila zjawiała się wreszcie, panna Libella była dwoma kłębkami nerwów, stała obok siebie, trzymając się za ręce, żeby dodać sobie odwagi.

- Gdzie byłaś, moja droga?

- Poza domem.

- I co tam robiłaś?

- Nic.

- Widzę zakupy...

- Tak.

- Z kim się wybrałaś?

- Z nikim.

- Ach, rozumiem - zaczęła panna Libella, kompletnie zagubiona. - Pamiętam, jak ja spędzałam czas za domem, nic nie robiąc. Czasami można być dla siebie najgorszym towarzyszem. Wierz mi, coś wiem na ten temat...

Ale Akwila już była na górze.

Mimo że trudno byłoby dostrzec jakiś ruch, w pomieszczeniu zaczęły się pojawiać Figle.

- Rozmowa nie poszła wam najlepiej - stwierdził Rozbój.

- Ona wygląda zupełnie inaczej! - wyrzuciła z siebie panna Libella. - Inaczej się porusza! Nie wiedziałam, co robić. I te wszystkie ubrania!

- No właśnie. Stoi się w piórka niczym młody kruk - oznajmił Rozbój.

- Widzieliście te torby? Skąd wzięła pieniądze? Ja z całą pewnością nie mam takich...

Zamarła i obie panny Libella wykrzyknęły jednocześnie:

- O nie!...

- ...z całą pewnością nie! Ona by na pewno nie...

- ...zrobiła tego, prawda?

- Nie wiem, o czym mówisz - odezwał się Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba - ale to, czego ona by nie zrobiła, nie ma najmniejszego znaczenia. Za myślenie odpowiada współzycz!

- Ojej! - Panna Libella klasnęła we wszystkie cztery dłonie. - Muszę iść do wioski i sprawdzić!

I jedna z niej ruszyła pędem do drzwi.

- No, przynajmniej odniosła miotłę - mruzczała do siebie ta, która została. Na jej twarzy malowało się pewne roztargnienie, które pojawiało się zawsze, kiedy oba ciała nie były w tym samym miejscu.

Usłyszeli na górze jakieś hałasy.

- Głosuję za tym, żeby po prostu wałnąć ją lekko w głowę - zaproponował Duży Jan. - Kiedy straci przytomność, nie powinien nam robić żadnych kłopotów, co nie?

Panna Libella zaciskała nerwowo dłonie.

- Nie! - oświadczyła. - Ja tam pójdę i poważnie z nią porozmawiam!

- Mówiłem już pani, że to nie ona - odezwał się Strasznie Ciut Wojtek ze znużeniem.

- No dobrze, poczekam, aż odwiedzę pana Gniewniaka - powiedziała panna Libella, stając w drzwiach kuchni. - Już prawie tam jestem... a on... śpi. Podniosę tylko leciutko wieko... jeśli zabrała jego pieniądze, bardzo się będę gniewać.

* * *

To świetny kapelusz, pomyślała Akwila. Był przynajmniej tak wysoki jak kapelusz pani Skorek i jego czerń przepięknie lśniła. Gwiazdy migotały.

Pozostałe pakunki rozrzucone były po podłodze i łóżku. Wyciągnęła kolejną czarną sukienkę, tę z czarną koronką, i płaszcz, który rozwinął się w powietrzu. Ten płaszcz naprawdę jej się podobał. Wystarczył najmniejszy podmuch, a nawet podmuszek, by rozwinął się i nadał, jakby rozpętała się wichura. Jeśli zamierzasz być wiedźmą, powiedziała do siebie, najwyższy czas, żebyś na taką wyglądała.

Obróciła się raz i drugi, a potem powiedziała kompletnie bez zastanowienia, tak że Współzycz w niej nie zdołał się przygotować:

- Zobacz mnie.

I Współzycz nagle znalazł się poza jej ciałem. Akwila była wolna. To było takie niespodziewane...

Poczuła, że jest sobą od stóp do głów. Rzuciła się do łóżka, złapała różdżkę Zygza i machała nią niczym bronią.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - krzyczała. - Zostań tam. To moje ciało, nie twoje. Przez ciebie ono robiło okropne rzeczy! Ukradłeś pieniądze panu Gniewniakowi. Popatrz tylko na te idiotyczne ubrania! I nie wiesz, co to jest jedzenie i picie. Trzymaj się z daleka. Nie wpuszczę cię z powrotem! Nawet nie śmieję! To ja mam moc!

My też ją mamy, odpowiedział jej własny głos w jej głowie. Twoją.

Rozpoczęła się walka. Ktoś, kto by na nią patrzył, widziałby tylko dziewczynkę w czarnej sukni, miotającą się po całym pokoju, machającą rękami, jakby pociągały je niewidzialne sznurki. Akwila walczyła o każdą część swego ciała, o każdy najmniejszy nawet palec. Obijała się o ściany, wpadała na drewnianą skrzynię...

Nagle gwałtownie otworzyły się drzwi.

Stała w nich jedna panna Libella. Już nie była zdenerwowana, o nie, teraz przepełniała ją wściekłość. Wymachiwała przed sobą trzęsącym się palcem:

- Posłuchaj mnie, kimkolwiek jesteś! Czy ty ukradłeś panu Gniew...?

Współzycz odwrócił się.

Współzycz uderzył.

Współzycz... zabił.



ROZDZIAŁ ÓSMY

TAJEMNICZY ŁĄD

Bycie nieżywym jest naprawdę wystarczająco nieprzyjemne. Przebudzenie w sytuacji, gdy chmara Figli siedzi ci na klatce piersiowej, uważnie ci się przyglądając z odległości kilku cali, jest chyba jeszcze bardziej przykre.

Panna Libella jęknęła. Czuła się tak, jakby leżała na podłodze.

- Widzicie, ta wystarczająco żyje - powiedział jeden z Figli. - Mówilem wam!

Panna Libella spoglądała na nich w niemym zdziwieniu jedną parą oczu. Nagle zamarła z przerażenia.

- Co się ze mną stało? - wyszeptała.

Twarz Figla, który się w nią wpatrywał, zastąpiła buźka Rozbója, co nie było zmianą na lepsze.

- Ile palców pani widzi? - zapytał.

- Pięć - wyszeptała panna Libella.

- Naprawdę? Chociaż może ma pani rację, to pani zna się na liczeniu. - Rozbój odsunął rękę. - Mielśmy tu niewielki ciutwypadeczek. Jest pani odrobinę ciutnieżywa.

Pannie Libelli głowa opadła na podłogę. Poprzez mgłę, która spowodowana była czymś, co jednak nie było bólem, usłyszała, jak Rozbój komuś tłumaczy:

- No przecież podałem jej to łagodnie, nawet dwa razy powiedziałem, że to było ciut.

- Czuję się tak, jakby część mnie... znajdowała się gdzieś bardzo daleko - wyszeptała.

- I nie myli się pani - zgodził się Rozbój, mistrz dobrych manier.

Jakieś wspomnienia wyrwały się na powierzchnię gęstej zupy, która wypełniała umysł panny Libelli.

- Zabiła mnie Akwila, prawda? - zapytała. - Pamiętam czarną postać, która odwróciła się ku mnie, miała taki straszny wyraz twarzy...

- To był współzycz - odparł Rozbój. - Nie Akwila. Ona z nim walczyła. Nadal walczy, wewnątrz siebie! Ale on nie pamiętał, że pani ma dwa ciała. Musimy jej pomóc!

Panna Libella podniosła się z wysiłkiem. To, co czuła, nie było bólem, było duchem bólu.

- Jak umarłam? - zapytała słabym głosem.

- Wybuch i dym, i to wszystko - odparł Rozbój. - Żadnego bałaganu.

- Przynajmniej los był odrobinę łaskawy. - Znowu upadła na podłogę.

- No właśnie, duża purpurowa chmura, jakby tuman - potwierdził Głupi Jaś.

- Gdzie jest... nie czuję... gdzie jest moje drugie ciało?

- To właśnie ono zamieniło się w dużą chmurę - odparł Rozbój. - Dobrze, że ma pani zapasowe, co?

- Nie może sobie tego poukładać - wyszeptał Strasznie Ciut Wojtek. - Postępujcie z nią łagodnie.

- Jak dajecie sobie radę, widząc wszystko tylko z jednej strony? - sennie zapytała cały świat panna Libella. - Jak dam sobie radę z codziennymi obowiązkami, mając tylko jedną parę rąk i nóg? Będąc w jednym miejscu naraz... jak ludzie to robią? To niemożliwe.

Zamknęła oczy.

- Panno Libello, potrzebujemy pani! - krzyknął Rozbój prosto w jej ucho.

- Potrzebują, potrzebują, potrzebują - mruczała do siebie panna Libella. - Każdy potrzebuje czarownicy. Nikt nie dba o to, czego potrzebuje czarownica. Dawać i dawać przez cały czas... Powiem wam coś, dobra wróżka nigdy nie ma własnych życzeń...

- Panno Libello! - wydzierał się Rozbój. - Nie może pani zrzucać tego na nas!

- Jestem taka wyczerpana - wyszeptała panna Libella. - Nic mnie to nie obchodzi.

- Panno Libello! Duża ciutwiedźmą leży na podłodze jak nieżywa, jest zimna niczym lód, a poci się jak koń w galopie! Walczy z siedzącym w niej potworem i przegrywa! - Rozbój wpatrywał się w twarz panny Libelli, ale po chwili potrząsnął głową. - Nic z tego. Zemdlała. Chodźcie, chłopaki, przeniesiemy ją!

Jak wiele niewielkich stworzeń, Figle mają nieproporcjonalnie dużo siły. A jednak aż dziesięciu potrzeba było, żeby przenieść pannę Libellę wąskimi schodami i nie poobijać jej więcej, niż to było konieczne, choć trzeba przyznać, że użyli jej stóp, by otworzyć drzwi do pokoju Akwili.

Dziewczynka leżała na podłodze. Od czasu do czasu któryś jej mięsień drgał.

Panna Libella siedziała przy ścianie podparta niczym lalka.

- Jak mamy ocucić dużą ciutwiedźmę? - zapytał Duży Jan.

- Słyszałem, że trzeba położyć głowę między nogami. - W głosie Rozbója pobrzniwało zwątpienie.

Głupi Jaś westchnął i wyciągnął miecz.

- Dla mnie to ciut drastycznie - oświadczył - ale jeśli ktoś mi pomoże i ją przytrzyma, żeby się nie ruszała...

Panna Libella otworzyła oczy. Na całe szczęście. Usiłowała skupić wzrok na Figlach, po chwili uśmiechnęła się dziwnie szczęśliwym uśmiechem.

- O, elfy - wyszeptała.

- O nie, ona bredzi! - jęknął Rozbój.

- Nie, ona myśli o elfach, tak jak je sobie wyobrażają ludzie - odparł Strasznie Ciut Wojtek. - Malutkie brzęczące ciutstworzonka mieszkające w kwiatach i latające z motylami.

- Co? Nigdy nie widzieli prawdziwych elfów? Gorsze to od os! - burknął Duży Jan.

- Nie mamy na to czasu! - huknął Rozbój. Wskoczył na kolano panny Libelli. - O tak, madame, jesteśmy elfami z krainy... z krainy... - Spojrzał bezradnie na Wojtkę.

- Brzęczącej? - podsunął mu Wojtek Wielkagęba.

- No właśnie, z Brzęczącej Krainy, gdzie znaleźliśmy prawdziwą ciutksiężniczkę, którą zaatakowała banda łobuzów...

- ...złych goblinów - zaproponował Wojtek.

- No tak, złych goblinów, zgadza się, ona jest w nie najlepszym stanie, więc zastanawiamy się, czy będzie pani tak miła i się nią zajmie...

- ...zanim pojawi się przystojny książę na białym koniu w złotogłowie, by obudzić ją magicznym pocałunkiem - dokończył Wojtek.

Rozbój rzucił mu pełne desperacji spojrzenie i odwrócił się do zdezorientowanej panny Libelli.

- O to właśnie idzie, zanim stanie się to, co mówił mój przyjaciel.

Panna Libella próbowała się skupić.

- Jak na elfy jesteście strasznie brzydkie - powiedziała.

- No tak, te, które zazwyczaj się widuje, zajmują się pięknymi kwiatami. - Umysł Rozbója pracował na pełnych obrotach. - My raczej jesteśmy od parzących pokrzyw, ostów i innych chwastów, rozumie pani, prawda? To nie byłoby w porządku, gdyby tylko śliczne kwiatuszki miały swoje elfy, prawda? Wydaje mi się to nawet nie zgodne z prawem. A teraz czy mogłaby pani, proszę, pomóc przy księżniczce, zanim te łobuzy...

- ...złe gobliny... - odpowiedział Wojtek.

- No właśnie, zanim wrócą - zakończył Rozbój.

W napięciu wpatrywał się w pannę Libellę. Na jej twarzy pojawiło się coś sugerującego zachodzący w głowie proces myślenia.

- Czy ma szybki puls? - wymamrotała. - Czy oddycha gwałtownie? Mówiliście, że skórę ma zimną, ale się poci? To wygląda na szok. Musicie ją ogrzać. Podnieść jej nogi w górę. Nie spuszczać z niej oka. Usunąć przyczynę... - Głowa jej opadła.

- Koń w złotogłowie? - Rozbój obejrzał się w stronę Wojtki. - Skąd ty wzięłaś te wszystkie bzdury?

- W pobliżu Długiego Jeziora stoi duży dom i oni tam czytają swoim ciutmaluchom takie opowieści. Siadałem w mysiej dziurze i słuchałem - odparł Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba. - Pewnego dnia zakradłem się i obejrzałem obrazki, były tam Wielkiedziela, które nazywano rycerzami, w zbrojach, z mieczami i tarczami, i konie w pióropuszech...

- No cóż, choć to bzdury, podziały - stwierdził Rozbój. Spojrzał na Akwilę. Ponieważ leżała na ziemi, sięgał jej do policzka. To było jak spacer wokół wzgórków. - Na litość, smutno mi się robi, kiedy patrzę na tę biedną ciutdziewczynkę. - Potrząsnął głową. - Chodźcie, chłopaki, zdejmijmy przykrycie z łóżka, a poduszkę położymy pod stopy.

- Rozbój - zagadnął Głupi Jaś.

- No? - Rozbój wpatrywał się w nieprzytomną Akwilę.

- Jak my się dostaniemy do jej głowy? Musi być coś, co nas tam zaprowadzi.

- Tak jest, Jasiu, i ja wiem, co to może być, ponieważ używam swojej głowy do myślenia! - odparł dumnie Rozbój. - Przyglądałem się dużej ciutwiedźmie wystarczająco często, prawda? Widzisz ten naszyjnik?

Sięgnął po prezent od Rolanda. Srebrny koń zsunął się z szyi Akwili i leżał na podłodze pomiędzy amuletami na tle czarnego lśniącego materiału.

- Tak - rzekł Jaś.

- To prezent od syna barona. A ona go nosi. Próbowала przemienić się w jedno ze stworzeń nocy, ale coś kazało jej to zatrzymać. Więc będzie także w jej głowie. Jest dla niej ważne. Musimy tylko wyfrancować się w jego bieg i zabierze nas tam, gdzie ona jest*.

Głupi Jaś podrapał się w głowę.

- A ja myślałem, że ona uważa go za nic wartego. Widziałem, jak się zachowywała, kiedy przejeżdżała koło niej: nos w górę i patrzyła w całkiem inną stronę. Zdarzało się jej nawet czekać pełne dwadzieścia pięć minut, żeby mogła to zrobić.

* Jeśli ktoś wie, co oznacza wyfrancować, rozumie też sposób podróżowania Fik Mik Figli.

- Żaden mężczyzna nie zrozumie, jak działa umysł kobiety - oświadczył górnolotnie Rozbój. - Idziemy za koniem.

* * *

Z księgi „Baśniowe stwory i jak ich unikać” autorstwa panny Roztropnej Tyk:

Nikt dokładnie nie wie, w jaki sposób Fik Mik Figle przechodzą z jednego świata do drugiego. Ci, którzy byli świadkami tego zdarzenia, twierdzą, że odrzucają wtedy do tyłu ramiona, a jedną nogę wyciągają energicznie przed siebie, potem szybko poruszają stopą i już ich nie ma. Nazywane jest to krokwskok, a jedyny komentarz Figli, jaki można usłyszeć na ten temat, to: „Chodzi o odpowiedni ruch kostką i tyle”. Najwyraźniej udaje im się magicznie podróżować pomiędzy różnymi światami, ale nie wewnątrz tych światów. Do tego służą im nogi, jak zapewniają ludzi.

Niebo było całkiem czarne, choć słońce stało wysoko. Wisiało w takiej pozycji, jakby właśnie minęło południe, oświetlało krajobraz jaskrawym światłem gorącego letniego dnia, ale pozostawało czarne i błyszczały na nim gwiazdy.

To był krajobraz umysłu Akwili Dokuczliwej.

Figle rozejrzały się wokół. Otaczały ich pagórki, jakby ktoś rozsypał zielony groch.

- Ona mówi tej ziemi, jak ma wyglądać. A ta ziemia mówi jej, kim ona jest - wyszeptał Strasznie Ciut Wojtek. - Ona naprawdę ma w swej głowie duszę tamtej ziemi...

- Tak właśnie jest - mruknął Rozbój. - Ale nie ma tu żadnych stworzeń. Ani owiec. Ani ludzi.

- Może... może coś ich wystraszyło? - podsunął Głupi Jaś.

I rzeczywiście, nie było tam życia. Królowały bezruch i cisza. Akwila, która starannie zawsze dobierała wyrażenia, powiedziała, że panował tam idealny spokój. Spokój, jaki może ogarniać katedry o północy.

- No dobrze, chłopaki - wyszeptał Rozbój. - Nie wiemy, co tu jeszcze spotkamy, zachowujcie się więc jak myszy pod miotłą, rozumiano? Idziemy znaleźć dużą ciutczarownicę.

Pokiwali głowami i ruszyli przed siebie niczym duchy.

Droga prowadziła w górę, a kawałek dalej majaczyły dwa wybrzuszenia. Szli ostrożnie, przez cały czas oczekując zasadzki, ale nic ich nie zatrzymało, kiedy wspinali się na dwa podłużne wały tworzące rodzaj krzyża.

- To zrobił człowiek - powiedział Duży Jan, gdy dotarli na szczyt. - Jak za dawnych czasów, Rozboju.

Cisza wessała jego słowa.

- Znajdujemy się w głębi głowy dużej ciutwiedźmy. - Rozbój rozglądał się w skupieniu. - Nie wiemy, kto to zrobił.

- Nie podoba mi się tutaj - szepnął któryś z Figli. - Tu jest za cicho.

- Moje piękne kwiaty...

- Jasiu, zamilcz! - zachnął się Rozbój, nie odrywając wzroku od dziwnego ukształtowania terenu.

Śpiew umilkł.

- Jak chcesz, Rozbój - odezwał się Głupi Jaś.

- Wiesz, kiedy mówię, że jesteś winny głupoty i nieodpowiedzialnego zachowania?

- Tak, Rozbój - odparł pokornie Jaś. - 1 to był jeden z tych razy?

- Owszem.

Ruszyli przed siebie, rozglądając się wokoło. Wciąż panował ten sam całkowity spokój. Cisza tuż przed chwilą, gdy orkiestra zaczyna grać. Cisza przed burzą. Tak jakby wszystkie małe odgłosy panujące normalnie na wzgórzach zrobiły miejsce dla wielkiego hałasu, który szykował się, by zabrzmieć.

I wtedy zobaczyli Białego Konia.

Widywali go też na Kredzie. Ale tutaj nie był wycięty w murawie. Stał przed nimi.

- Strasznie Ciut Wojtku - odezwał się Rozbój, wzywając dłonią młodego barda. - Ty znasz się na poezji i snach. Co to jest? Dlaczego tak wysoko? Nie powinien stać na szczycie wzgórza!

- Prawdziwe dziwo, Rozbój - odparł Wojtek. - Poważne dziwo. Nie rozpracowałem go jeszcze.

- Znała Kredę. Dlaczego zrobiła to nie tak?

- Myślę nad tym, Rozbój.

- Nie mógłbyś się postarać myśleć trochę szybciej?

- Rozbój! - Duży Jan wracał do nich biegiem. Wcześniej udał się na zwiady.

- Tak? - Głos Rozbója zabrzmiał ponuro.

- Lepiej chodź i sam zobacz.

Na szczycie wzgórza stał na czterech kołach dom pasterski z zaokrąglonym dachem i kominem, który wychodził z okrągłego pieca. Wewnątrz ściany obklejone były setkami żółto - błękitnych opakowań po tytoniu Wesoły Żeglarz. Wszędzie wisiały stare worki, a tył drzwi był oznaczony kredą - tak babcia Dokuczliwa liczyła dni i owce. Stało też wąskie żelazne łóżko, wyściełone wygodnie wełną i workami.

- Rozumiesz coś z tego, Strasznie Ciut Wojtku? - zapytał Rozbój. - Czy możesz nam powiedzieć, gdzie znajduje się wielka ciutwiedźmą?

Młody bard nie wyglądał na ucieszonego.

- No, panie Rozbój, wie pan przecież, że ja dopiero co zostałem bardem. To znaczy, znam wszystkie pieśni i opowieści, ale nie mam jeszcze doświadczenia w...

- Tak? A jak myślisz, ilu bardów przed tobą wędrowało przez sny wiedźmy?

- No... z tego co słyszałem, to żaden, panie Rozbój - wyznał Wojtek.

- Właśnie. Więc ty już teraz wiesz o tym więcej niż wszyscy tam ci ważniacy. - Rozbój uśmiechnął się do chłopaka. - Postaraj się.

Niczego więcej od ciebie nie oczekuję.

Wojtek zajrzał przez drzwi wozu. Wziął głęboki wdech.

- W takim razie powiem, że moim zdaniem ona chowa się gdzieś bardzo blisko, niczym zagonione zwierzątko. To jest to ciut pamięci, miejsce należące do jej babci, miejsce, gdzie zawsze się czuła bezpieczna. Powiem, że moim zdaniem właśnie jesteśmy w samym centrum ciutwiedźmy, w jej duszy. W tym kawałku, który jest nią. I strasznie się o nią boję. Jestem przerażony od stóp do głów.

- Dlaczego?

- Ponieważ przyglądam się cieniom, panie Rozbój - odparł Wojtek. - Słońce się przesuwa. Zachodzi.

- Ze słońcem tak bywa... - zaczął Rozbój.

- Nie. Nie rozumie pan. Mówię panu właśnie, że to nie jest słońce prawdziwego świata. To jest słońce jej duszy.

Figle popatrzyły na słońce, popatrzyły na cienie, a potem z powrotem na Wojtkę. Choć stał z dumnie podniesioną głową, cały dygotał.

- Ona umrze, kiedy nadejdzie noc? - zapytał Rozbój.

- Są gorsze rzeczy od śmierci, panie Rozbój. Współzycz posiędzie ją od stóp do głów...

- To się nie stanie! - wykrzyknął Rozbój tak gwałtownie, że Wojtek aż się cofnął. - Ona jest silną dużą ciutdziewczyzną! Wygrała z Królową, mając za broń jedynie patelnię!

Strasznie Ciut Wojtek przełknął ślinę. Było mnóstwo rzeczy, które wolałby teraz robić, zamiast sprzeciwiać się Rozbojowi. Lecz nie ustąpił.

- Przykro mi, panie Rozbój, ale chcę panu powiedzieć, że patelnia była żelazna, a ona stała obiema nogami na swojej ziemi. A teraz jest daleko, daleko od swego domu. Jeśli współzycz znajdzie to miejsce, ścisnie je, by nie zostało go wcale, i wtedy przyjdzie noc, i...

- Przepraszam, Rozbóju, ale mam pomysł.

To był Głupi Jaś. Zaciskał nerwowo dłonie. Wszyscy spojrzeli na niego.

- Ty masz pomysł? Ty?! - powtórzył pytająco Rozbój.

- Tak, ale powiem ci pod warunkiem, że nie nazwiesz go nie odpowiednim, dobrze, Rozbóju?

- Dobrze. - Jego starszy brat westchnął. - Masz moje słowo.

- No więc... - Jaś nerwowo zaciskał pięści. - Co to jest za miejsce, jeśli to nie jest jej miejsce? Co to jest, jeśli to nie jest murawa, po której chodziła? Jeśli nie może zwalczyć tego potwora tutaj, nie będzie go mogła zwalczyć nigdzie!

- Ale on tu nie przyjdzie - odparł Wojtek. - Nie potrzebuje. Kiedy ona straci siły, to miejsce samo wyblaknie.

- Na litość! - jęknął Głupi Jaś. - Ale to był dobry pomysł, prawda? Chociaż nie zadziałał?

Rozbój nie zwracał na niego uwagi. Przyglądał się uważnie pasterskiej chacie. „Mój mężczyzna musi używać głowy nie tylko do trykania kumpli”, powiedziała jego Joanna.

- Głupi Jaś ma rację - powiedział bardzo spokojnie. - To jej kryjówka. To jej ziemia. Ten potwór nie może jej tutaj osiągnąć. Tutaj siła należy do niej. Ale kryjówka może się zamienić w więzienie, jeśli duża ciutdziewczyna się podda. Zamknięta tutaj będzie widzieć, jak życie przecieka jej między palcami. Będzie spoglądać na świat niczym więzień przez małe okienko i zobaczy, że wszyscy jej nienawidzą lub się jej boją. Więc żeby nie wiem co, musimy tu ściągnąć potwora i go zabić!

Figle wiwatowały. Nie bardzo wiedziały, o co chodzi, ale ogólny wydźwięk im się podobał.

- Jak? - zapytał Strasznie Ciut Wojtek.

- Musiałeś wyskakiwać z tym pytaniem? - Rozbój skrzywił się. - Atak mi dobrze szło...

Odwrócił się. Coś skrobało w drzwi ponad nim.

Wysoko, między rzędami na wpół startych znaków, pojawiały się jedna po drugiej litery, jakby je rysowała niewidzialna ręka.

- Słowa! - wykrzyknął Rozbój. - Ona próbuje nam coś powiedzieć!

- Tak, słowa mówią...

- Dobrze wiem, co mówią! - przerwał mu gwałtownie Rozbój. - Znam się na czytaniu! Mówią.... Widzę literę okrągłą jak słońce, a potem drugą jak zęby piły, dalej jak księżyc, kiedy się cofa, zygzak, a to człowiek stojący na rozstawionych nogach, no a potem jest coś,

co nazywa się odstępem, a potem dalsza część tej piły... grzebień... przewrócony zygzak... i znowu człowiek na rozstawionych nogach, a w następnym rzędku mamy człowieka, który rozłożył ręce, grzebień, maszerującego przed siebie grubasa, o, teraz się zatrzymał, znowu grzebień i przewrócony zygzak, znowu ten człowiek rozłożył ręce, a teraz drzewo... przewrócony zygzak... człowiek na rozstawionych nogach, a w ostatnim rzędku znowu te zęby piły, grzebień, słońce, no i drzewo, dobrze ustawiony zygzak, tylko teraz ptaszek nad nim narobił, kolejny grzebień, trochę księżyc, trochę słońce, siedzący człowiek, a teraz stojący, grubas, który ruszył naprzód, i zygzak znowu. I to już koniec. Uf!

Wziął się pod boki.

- Widzisz! Było to czytanie czy nie?

Fikle krzyczały z radości, niektóre nawet wiwatowały.

Strasznie Ciut Wojtek patrzył na napisane kredą litery:



Potem spojrzał na wyraz twarzy Rozbója i powiedział:

- Tak, oczywiście. Znakomicie sobie pan radzi. Owczyna wełna, terpentyna i Wesoły Żeglarz.

- No jasne, każdy potrafi to przeczytać jednym ciągiem - zbył go Rozbój. - Ale naprawdę trzeba być dobrym, żeby to rozbić na oszukańcze litery. A już naprawdę znakomitym, żeby pojąć znaczenie całości.

- I udało się panu to pojąć? - zapytał Strasznie Ciut Wojtek.

- Słowa te oznaczają, mój drogi bardziej, że będziemy kraść!

Pozostali zawtórowali okrzykami radości. Co prawda nie bardzo rozumieli szczegóły, ale to słowo rozpoznawali znakomicie.

- I będzie to kradzież, którą wszyscy zapamiętają! - wykrzyknął Rozbój. Odpowiedział mu kolejny okrzyk radości. - Głupi Jasiu!

- Obecny!

- Jesteś odpowiedzialny za to zadanie. Twój mózg trudno porównać do mózgu żuka, mój bracie, ale gdy przychodzi do kradzieży, na tym świecie nie masz sobie równych! Musisz skombinować terpentynę, świeżą owczą wełnę i trochę tytoniu Wesoły Żeglarz! Masz to wszystko zanieść do dużej wiedźmy, co ma dwa ciała! Powiedz, że musi zmusić współżycza, by to powąchał, rozumiesz? To go tutaj sprowadzi. I lepiej się pospiesz, bo słońce zachodzi. Ścigasz się z samym czasem, rozumiesz? Jakies pytania?

Głupi Jaś podniósł palec.

- Tylko dla porządku... chciałbym zaznaczyć, że ciut mnie zraniłeś, mówiąc, że trudno porównać mój mózg do mózgu żuka.

Rozbój zawahał się, ale tylko przez chwilę.

- Masz rację, Głupi Jasiu, całkowitą rację. To było z mojej strony bardzo nie w porządku powiedzieć coś takiego. Poniosło mnie, przyznaję, i bardzo mi przykro z tego powodu. Stoję teraz przed tobą i mówię: Głupi Jasiu, twój mózg da się porównać do mózgu żuka, i mogę stanąć do pojedynku z każdym, kto powie co innego!

Głupi Jaś rozciągnął ustaw szerokim uśmiechu, ale po chwili znowu się zasępił.

- Ale przecież ty jesteś dowódcą, Rozbój - powiedział.

- Nie w tej potyczce, Jasiu. Zostaję tutaj. Pokładam w tobie całkowitą pewność, że będziesz znakomitym przywódcą, a nie - jak podczas siedemnastu ostatnich razy - kompletnym fajtlapą.

Tłum jęknął.

- Spójrzcie no na słońce! - krzyknął Rozbój. - Przesunęło się podczas naszej rozmowy! Ktoś musi z nią zostać! Nie pozwolę, by potem gadano, że pozostawiliśmy ją samą, kiedy umierała! A teraz ruszać się, bando próżniaków, bo zaraz poczujecie płaz mojego miecza!

Uniósł miecz i ryknął. Rozpierzchli się.

Rozbój odłożył broń troskliwie na murawę i zasiadł na stopniach chaty, by patrzeć na słońce.

Po chwili zdał sobie z czegoś sprawę...

* * *

Hamisz lotnik popatrzył z powątpiewaniem na miotłę panny Libelli. Wisiała kilka stóp nad ziemią, co go nieco martwiło.

Podciągnął tłumoczek na plecach, w którym mieścił się jego spadochron, chociaż technicznie był to reformochron, ponieważ został wykonany ze sznurków i najlepszej niegdyś pary reform Akwili, bardzo dobrze wypranych. Wciąż widać było na nich kwiatki i świetnie chroniły Figła spadającego na ziemię. Miał uczucie, że to (a właściwie one) może (mogą) być przydatne.

- Ona nie ma piór - poskarżył się.

- Nie mamy czasu na dyskusje! - Przerwał mu Głupi Jaś. - Przecież wiesz, że się spieszymy, a tylko ty potrafisz latać.

- Szczotki nie latają - odparł Hamisz. - To magia nimi lata.

Szczotka nie ma skrzydeł, a ja się nie znam na tym urządzeniu.

Ale Duży Jan już zaczepił kawałek sznurka na brzozowych wtkach i wdrapywał się teraz na nie. Kolejne Figle poszły za nim.

- I jeszcze coś. Jak się tym steruje? - nie ustępował Hamisz.

- No a jak sobie radzisz z ptakami? - chciał wiedzieć Głupi Jaś.

- O, to proste. Wystarczy przenieść swój ciężar, ale...

- Dobra, nauczysz się podczas lotu - przerwał mu Wojtek. - Latanie nie może być trudne. Nawet kaczki to potrafią, a one mózgu nie mają za pensa.

Kłótnia nie miała sensu, dlatego też kilka minut później Hamisz przesunął się o kilka cali po ręczce miotły. Pozostałe Figle, nie przestając paplać między sobą, skupiły się po drugiej stronie, na wtkach. Do których przywiązany też został mocno pakunek wyglądający, jakby składał się z kijów i szmat, pogniecionego kapelusza, a na szczycie brody.

Dodatkowe obciążenie spowodowało, że koniec kija uniósł się w górę, kierując się w stronę prześwitu między drzewami. Hamisz westchnął, wziął głęboki wdech, naciągnął gogle i ujął dłonią wyslizgany odcinek kija tuż przed nim.

Miotła uniosła się delikatnie w powietrze. Z gardeł wszystkich Figli wyrwał się okrzyk radości.

- Widzisz, mówiłem ci, że wszystko będzie dobrze! - wykrzyknął Głupi Jaś. - Ale czy nie mógłbyś ciut przyspieszyć?

Hamisz ostrożnie dotknął lśniącego drewna powtórnie.

Kij zadrżał, zawisł na moment nieruchomo, po czym wyskoczył do przodu, wydając odgłos, który brzmiał bardzo jak „wrrrrr”...

* * *

W ciszy świata w głowie Akwili Rozbój sięgnął po swój miecz i zaczął nim wodzić po ciemniejszej murawie.

Coś się tam kryło, coś małego, ale się poruszało.

To był mały ciernisty krzak, rósł tak szybko, że widać było gołym okiem, jak gałązki się wydłużają. Rozbój czuł ten krzak, jakby był cierniem w jego oku. Cienie gałązek tańczyły na trawie. Przyglądał się uważnie. To musiało coś oznaczać. Mały krzak, który rośnie...

A potem przypomniał sobie coś, co powiedziała im stara wodza, kiedy był jeszcze ciuchłopcem.

Dawno temu całą ziemię porastały lasy, gęste i ciemne. Potem przyszedł człowiek i wyciął drzewa, dopuszczając do ziemi słońce. Na polanach wyrosła wtedy trawa. Wielkiedziela sprowadziły owce, które szczypały trawę i to, co rosło w trawie: siewki drzew. I w ten sposób gęste lasy wymarły. Choć trudno było mówić o życiu, tam gdzie panowała wieczna ciemność jak na dnie morza, bo korony drzew nie pozwalały przedostać się promieniom słonecznym. Czasem słychać było trzask gałęzi, stukot spadającego żołędzia wypuszczonego z łapki wiewiórki, która w gęstym mroku nie trafiała z gałęzi na gałąź. Ale głównie królowała tam cisza i upał. Poza granicami lasu znajdowały schronienie nieprzeliczone stworzenia. Głęboko w lesie, wiecznej puszczy, królowało tylko drzewo.

A w słońcu żyła murawa, z tysiącem traw, kwiatów, ptaków i insektów. Fik Mik Figle wiedziały to najlepiej, ponieważ żyły tak blisko ziemi. To, co z pewnej odległości wyglądało jak zielona gładź, było tak naprawdę miniaturową, prosperującą, ryczącą dżunglą...

- Ach - mruknął Rozbój. - Więc na tym polega twoja gra, co? O nie, tutaj nie zapanujesz.

I ciął krzak mieczem.

Szum liści za plecami spowodował, że instynktownie się odwrócił.

Dwa kolejne krzewy rosły na potęgę. A dalej trzeci. Rozbój spojrzał dalej i ujrzał tuzin, a jeszcze dalej setkę małych drzew rozpoczynających swój wyścig ku niebu.

I choć był przerażony, a był od stóp do głów, uśmiechnął się szeroko. Tym, co Figle lubią najbardziej, jest świadomość, że niezależnie gdzie uderzą, trafią nieprzyjaciela.

Słońce zachodziło, cienie się wydłużały, murawa umierała.

A Rozbój szarżował.

* * *

Wrrrrrr...

To, co wydarzyło się podczas wyprawy Figli, po odpowiedni zapach zostało zapamiętane przez kilku świadków (nie licząc wszystkich sów i nietoperzy pozostawionych w tyle za miotłą pilotowaną przez gromadę rozwrzeszczanych błękitnych ludzików).

Jednym z nich był Numer 95, baran o niezbyt rozwiniętej wyobraźni. Ale wszystko, co zapamiętał, to nagły hałas w nocy i coś jak - by przeciąg na grzbiecie. Było to dla niego mało ekscytujące, więc powrócił myślami do trawy.

* * *

Wrrrrrr...

Świadkiem była też Łagodna Pchacz, lat siedem, córka farmera, właściciela Numeru 95. Pewnego dnia, kiedy już bardzo dorosła i została babcią, opowiedziała wnukom o pewnej nocy, kiedy zeszła na dół ze świeczką w ręce, bo zachciało jej się pić. I wtedy usłyszała pod zlewem głosy...

A właściwie głosiki. Jeden z nich mówił:

- Jasiu, nie możesz tego pić, zobacz, na tej butelce jest napisane „Trucizna”.

A drugi mu odpowiedział:

- Daj spokój, bardziej, piszą takie rzeczy, żeby nie pozwolić człowiekowi ciut się napić.

Na co pierwszy głos:

- Jasiu, to jest trucizna na szczury.

- To świetnie, boja nie jestem szczurem!

- Wtedy otworzyłam szafkę pod zlewem - opowiadała dziewczynka, która była już babcią - i wiecie, co zobaczyłam? Pełno krasnoludków! Patrzyły na mnie, a ja patrzyłam - na nich i wtedy jeden z nich powiedział: „To jest tylko twój sen, duża ciutdziewczynko!”, a pozostali natychmiast się z nim zgodzili! I wtedy ten pierwszy dodał: „Więc w tym śnie, który śnisz, duża ciutdziewczynko, nie masz nic przeciw temu, by powiedzieć nam, gdzie jest terpentyna, prawda?”, więc im powiedziałam, że jest w zagrodzie. „Tak? No to zjeżdżamy. Ale najpierw damy prezent dużej ciutdziewczynce, która pójdzie teraz prosto do łóżka spać!”. I już ich nie było.

Jedno z wnucząt słuchające tego z otwartą buzią spytało:

- I co ci dali, babciu?

- To! - Łagodna wyciągnęła srebrną łyżkę. - A co dziwne, była to łyżka, która należała do mojej mamy i tajemniczo znikła z szuflady tego samego wieczoru! Bardzo jej pilnuję od tej pory.

Dzieci oglądały łyżkę w nabożnym skupieniu. Wreszcie jedno zapytało:

- A jak te krasnoludki wyglądały, babciu?

Babcia Łagodna myślała przez chwilę.

- Nie były tak ładne, jak byście tego oczekiwały – powiedziała wreszcie. - Ale jakieś takie zaskakująco czyściutkie. A kiedy znikły, usłyszałam warkot... wrrrr...

* * *

Ludzie w Królewskich Nogach (właściciel zwrócił uwagę, że istnieje mnóstwo karczm, zajazdów i pubów nazwanych Królewska Głowa lub Królewskie Ramię, i dostrzegł lukę na rynku) podnieśli wzrok, kiedy usłyszeli na dworze hałas.

Po minucie lub dwóch gwałtownie otworzyły się drzwi.

- Dobry wieczór, koledzy Wielkiedziela! - zawołała postać w nich stojąca.

W pomieszczeniu zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Stawiając niepewnie kroki, każda noga w innym kierunku, postać przypominająca stracha na wróble, chwiejąc się na wszystkie strony, parła j w stronę baru, gdzie złapała za ladę w ostatniej chwili, zanim nogi się pod nią ugięły.

- Dużą potężną ciutkropelkę najlepszej whisky, mój drogi kolego, to znaczy barmanie kolego - wydobyło się spod kapelusza.

- Wydaje mi się, przyjacielu, że już masz za dużo w czubie - odparł barman, którego ręka powędrowała w stronę pałki leżącej pod barem na wypadek specjalnych gości.

- Kogo nazywasz „przyjacielem”, chłopie?! - ryknęła dziwna postać, ze wszystkich sił próbująca utrzymać równowagę. - To zachęta do bójki, co? I najwyraźniej nie dość się napiłem, bo zostały mi jeszcze pieniądze. Co na to powiesz?

Dłoń na chwilę zniknęła w kieszeni palta i trzęsąc się, wydostała stamtąd, dzierżąc coś, co upadło na blat baru. Starożytne złote monety potoczyły się we wszystkich kierunkach, a jeszcze kilka srebrnych wyleciało z rękawa.

Cisza się pogłębiła. Dziesiątki oczu śledziły lśniące krążki wirujące na barze, a potem spadające na podłogę.

- I chcę jedną uncję tytoniu Wesoły Żeglarz - oświadczyła dziwna postać.

Ależ oczywiście, proszę pana - odparł pospiesznie barman, którego wychowano w respekcie dla złotych monet. Po chwili wychynął zza baru ze zmienioną twarzą. - Och, tak mi przykro, proszę pana, ale sprzedałem cały zapas. Wesoły Żeglarz jest bardzo popularny. Miałem go mnóstwo...

Postać już odwróciła się w stronę sali.

- No dobra, pierwszy, który da mi fajkę nabitą Wesołym Żeglarzem, dostanie ode mnie garść złotych monet.

Sala wybuchła. Stoły wylatywały w górę. Krzesła się przewracały.

Strach na wróble złapał pierwszą fajkę i rzucił w powietrze garść pieniędzy. W tej samej chwili rozpoczęła się bójka. A on odwrócił się do barmana.

- Poproszę o ciutkropelkę whisky, zanim stąd pójde, panie barman. O nie, Duży Janie, ty nie. Wstydź się! Nogi, zamknąć mi się w jednej chwili! Kieliszeczek whisky nam nie zaszkodzi. Coś takiego! Kto z was zrobił dużego człowieka? Co, łobuzy? Gdyby tu był z nami Rozbój? Jasne, że on też by się napił!

Klienci baru zaprzestali przepychać się do monet i podnieśli twarze, słuchając, jak całe ciało przybysza klóci się ze sobą.

- A tak w ogóle to ja jestem w głowie, zgadza się. I głowa dowodzi. Nie będę się słuchał jakichś tam kolan! Mówilem, że to zły pomysł, bo zawsze mamy kłopoty, jeśli chodzi o wychodzenie z pubu, Jasiu! No cóż, przemawiając z pozycji nóg, nie będziemy stać spokojnie i patrzeć, jak głowa się zalewa, nie ma tak dobrze!

Ku przerażeniu zebranych cała dolna połowa postaci odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi, w związku z czym górna połowa upadła do przodu. Trzymając się z całych sił baru, udało jej się powiedzieć:

- No dobrze, ale czy smażone na głębokim tłuszczu, marynowane jajka nie wchodzi w grę? - I wtedy postać...

...przerwała się na pół. Nogom udało się jeszcze zrobić kilka kroków w stronę drzwi, po czym padły.

Nastąpiła pełna przerażenia cisza, którą przerwał okrzyk dochodzący ze spodni:

- Na litość! Czas spływać!

W powietrzu zafurkotało, trzasnęły drzwi.

Po dobrej chwili jeden z gości ostrożnie podszedł do kupy ubrań i kijków, czyli tego, co zostało z gościa, i szturchnął je. Odskokczył, kiedy kapelusz potoczył się po podłodze.

Rękawiczka, która nadal trzymała się baru, spadła naraz na ziemię z głośnym „płask!”.

- Spójrzmy na to w ten sposób - oświadczył barman. - Cokolwiek to było, zostawiło po sobie kieszenie...

Z zewnątrz doszło ich głośnie „wrrrrrrr...”.

* * *

Miotła uderzyła twardo w kryty słomą dach domku panny Libelli i już tam pozostała. Figle posypały się z niej, wciąż walcząc między sobą.

Kłębiąca się masa wtoczyła się do domku. Nie przerywając walki, pokonała schody, by wylądować w sypialni Akwili, gdzie ci, którzy pozostali, by pilnować śpiącej dziewczynki i panny Libelli, przyłączyli się do bitki.

Walczący zdawali sobie kolejno sprawę, że coś koło nich rozbrzmiewa. To był Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba. Jego mysie dudy wbijały się w bitwę niczym cięcie miecza. Dłonie przestały ścisnąć za gardła, pięści zamierały w pół uderzenia, kopnięcia pozostały zawieszone w powietrzu.

Łzy spływały po twarzy Straszego Ciut Wojtka, kiedy grał „Moje piękne kwiaty”, najsmutniejszą piosenkę świata. Opowiadała o domu, o matce, o tym, że wszystko, co dobre, już minęło, i o tych, których nigdy już nie zobaczymy. Figle odsuwały się od siebie, patrząc na swe stopy, gdy opływały je rzewne dźwięki, opowiadając o zdradzie i niedotrzymaniu obietnic...

- Jak wam nie wstyd! - zawołał Strasznie Ciut Wojtek, wypuszczając z ust piszczalkę. - Zdrajcy! Przeniewiercy! Wasza wiedźma walczy o swoją duszę! Nie macie honoru? - Cisnął dudami, aż jęknęły. - Przeklinam własne stopy, które stoją przed wami! Przeklinam słońce, które na was świeci! Niech będzie przeklęta wódza, która was urodziła! Zdrajcy! Strusie! Co ja tu w ogóle między wami robię? Któryś z was chce się bić? Niech się bije ze mną. No, dalej! Przysięgam na moje dudy, że strącę go na samo dno oceanu, potem kopem pošlę na księżyc, a wreszcie na siodle wykonanym przez czarownicę polecą na samo dno piekła. Mój gniew ma siłę sztormu i miażdży góry. No i który z was stanie naprzeciw mnie?

Duży Jan, który był prawie trzykrotnie wyższy od Strasznie Ciut Wojtka, cofał się z lękiem. Żaden Figiel nie podniósłby teraz na barda ręki, bojąc się o życie. Gniew barda potrafi być straszliwy. Ponieważ bard potrafi używać słów jak mieczy.

Głupi Jaś wysunął się do przodu.

- Widzę, że jesteś zdenerwowany - wymamrotał. - Ja ponoszę winę za całą tę głupotę. Powinienem być pamiętać, jak to jest z nami i pubami.

Wyglądał na tak zgnębionego, że Strasznie Ciut Wojtek uspokoił się troszkę.

- No dobrze - powiedział chłodno, bo trudno tak szybko otrząsnąć się z wielkiego gniewu. - Nie będziemy już o tym rozmawiać. Ale będziemy o tym pamiętać, prawda? - Pokazał na śpiącą Akwilę. - A teraz zbierzcie wełnę, tytoń i terpentynę, rozumiano? Któryś zdejmie zamknięcie z butelki z terpentyną i naleje ciutkropelkę na kawałek materiału. I żeby nikt, mam nadzieję, że wyrażam się jasno, nikt nie wypił nic z tego!

Figle rzuciły się, by go posłuchać. Rozległ się odgłos darcia, kiedy kawałek materiału odrywał się od sukienki panny Libelli.

- No dobrze - powiedział Strasznie Ciut Wojtek. - Głupi Jasiu, weź te trzy rzeczy i połóż na piersi dużej ciutczarownicy, niech je wacha.

- Jak może je wachać, kiedy jest taka zimna? - zapytała

- Nos nie usypia - odparł krótko bard.

Trzy zapachy chaty pasterskiej znalazły się w pełnej szacunku harmonii jeden przy drugim tuż pod brodą Akwili.

- Teraz pozostaje nam tylko czekać - powiedział Strasznie Ciut Wojtek. - Czekać i mieć nadzieję.

* * *

W małej sypialni, gdzie leżały dwie wiedźmy i było mnóstwo Figli, zrobiło się ciepło. Wkrótce też zapachy owczej wełny, terpentyny i tytoniu uniosły się, połączyły i wypełniły powietrze...

Akwila poruszyła nosem.

Nos to wielki myśliciel. I ma dobrą pamięć, bardzo dobrą. Zapach może tak silnie przywrócić wspomnienia, że aż boli. Mózg nie potrafi tego zatrzymać. Ani nic na to poradzić. Współzycz może kontrolować umysł, ale nie potrafi kontrolować żołądka, który chce zwracać w czasie lotu na miotle. A w sprawach nosa jest po prostu bezsilny...

Zapach owczej wełny, terpentyny i Wesołego Żeglarza potrafi przenieść umysł na wielką odległość, w to spokojne miejsce, gdzie jest cicho, bezpiecznie i nic nam nie zagraża...

* * *

Współzycz otworzył oczy i rozejrzał się.

- Pasterska chata? - zapytał sam siebie.

Usiadł. Czerwone światło zachodzącego słońca wpadało przez otwarte drzwi i przeświecało przez pnie drzew. Wiele z nich było już całkiem dużych i rzucało długie cienie. Jednak wokół samej chaty wszystkie były wycięte.

- To trik - powiedział. - Nie zadziała. My jesteśmy tobą. Myślimy tak jak ty. I jesteśmy lepsi w myśleniu jak ty niż ty.

Nic się nie stało.

Współzycz wyglądał jak Akwila, choć teraz był trochę od niej wyższy, ponieważ Akwila myślała, że jest nieco wyższa, niż była w rzeczywistości. Wyszedł przed chatę.

- Robi się późno - powiedział w pustkę. - Popatrz na drzewa. To miejsce umiera. Nie mamy gdzie uciec. Wkrótce wszystko to będzie częścią nas. Wszystko, czym ty naprawdę mogłaś być. Jesteś dumna, że masz swoje miejsce na ziemi. Pamiętamy czasy, gdy w ogóle nie było światów! My... ty możesz zmieniać rzeczywistość jednym machnięciem dłoni! Możesz spowodować, że coś będzie dobre lub złe, i to ty możesz o wszystkim zdecydować! I nigdy nie umrzesz!

- Więc czemu się tak pocisz, ty wielka góro dzieła? Co za drań! - odezwał się za nim głos.

Współzycz się zachwiał. Jego kształt w sekundę zmienił się po wielokroć. Widać było kawałki mniejsze i większe, pojawiły się płetwy, zęby, spiczasty kapelusz, szpony... a potem nagle znów stała uśmiechnięta Akwila.

- Rozbój, jak cieszę się, że cię widzę! - wykrzyknęła. - Pomożesz nam?

- Nie ze mną takie numery! - odkrzyknął Rozbój, podskakując w gniewie. - Potrafię rozpoznać współzycz, kiedy go napotkam! Na litość, ale cię czeka lekcja!

Współzycz znowu się zmienił, teraz był lwem z zębami wielkości mieczy. Ryknął co sił w gardle.

- Ach, to tak?! - wykrzyknął Rozbój. - Trzeba zwiewać! - Przebiegł kilka kroków i zniknął.

Współzycz znowu przybrał postać Akwili.

- Widzisz, twój mały przyjaciel poszedł sobie. No, wyjdź już. Wyjdź. Dlaczego się nas boisz? Jesteśmy tobą. Z tobą nie będzie tak jak z całą resztą, z tymi durnymi zwierzętami, głupimi królami i chciwymi czarodziejami. Razem...

Ale w tej właśnie chwili wrócił Rozbój, w towarzystwie... no, wszystkich.

- Wiemy, że nie możesz umrzeć! - wrzasnął. - Ale możemy sprawić, byś tego pragnął! I zaatakowali.

Figle mają tę przewagę w większości bójek, że są mali, a ich przeciwnicy duzi. Jeśli jesteś mały i szybki, trudno w ciebie trafić. Współzycz walczył, przez cały czas zmieniając kształt. Szpony były raz długie, raz krótkie, ręce stawały się kłami - wirował po murawie, warcząc i wrzeszcząc, przywołując swe przeszłe kształty, by odeprzeć kolejny atak. Ale Figle trudno zabić. Uderzone odskakiwały, przewrócone wstawały, łatwo uchylały się przed zębami i pazurami. Walczyły...

...gdy nagle ziemia zatrzęsała się tak, że nawet współzycz stracił równowagę.

Pasterska chata pękła na kawałki i zaczęła się zapadać w murawę, która otwierała się, jakby była miękka niczym masło. Drzewka zachwiały się i padały jedno po drugim, jakby ktoś przeciął ich korzenie.

Ziemia... podnosiła się.

Spadając w dół po wznoszącym się wzgórzu, Figle ujrzały, jak wzgórza sięgają nieba. To coś, co było tu od zawsze, teraz widniało przed nimi.

Podnosząca się do nieba skała miała głowę, ramiona, pierś. Ta, która tu leżała, porośnięta trawą, której ręce i nogi stanowiły góry i doliny, teraz usiadła. Poruszał się z

kamienną powolnością, miliony ton wzgórz przemieszczały się i pękały wokół niej. To, co wyglądało jak dwa podłużne masywy w kształcie krzyża, okazało się złożonymi ramionami gigantycznej dziewczyny.

Dłoń o palcach dłuższych niż zagroda sięgnęła w dół, złapała współzycza i uniosła go w powietrze.

W oddali trzykrotnie odezwał się grzmot. Głos zdawał się dochodzić nie z tego świata. Figle siedziały na małym wzgórzu, które było kolanem gigantycznej dziewczyny, odwróciły się tylko na chwilę.

- Ona mówi ziemi, czym jest ziemia, a ziemia mówi jej, czym ona jest - powiedział Strasznie Ciut Wojtek. Łzy spływały mu po twarzy. - Nie umiem napisać o tym pieśni! Nie jestem dość dobry!

- Czy to duża ciutwiedźmą śni, że jest tymi wzgórzami, czy te wzgórza śnią o tym, że są nią? - zapytał Głupi Jaś.

- Pewnie jedno i drugie - odparł Rozbój.

Patrzyli, jak wielka dłoń zaciska się na współzyczu.

- Przecież jego nie można zabić - powiedział Jaś.

- Nie, ale można go wyrzucić - odparł Rozbój. - Wszechświat jest wielki. Na jego miejscu nawet bym nie myślał, by do niej wrócić.

Gdzieś daleko znowu rozległ się potrójny grzmot.

- Ja myślę - dodał - że czas, byśmy się zmywali.

Do drzwi domku panny Libelli ktoś mocno pukał w drzwi. Bum, bum, bum!



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

DUSZA I KWINTESENCJA

Akwila otworzyła oczy, przypomniała sobie wszystko i pomyślała: Czy to był sen, czy to było naprawdę?

Jej następna myśl brzmiała: Skąd wiem, że ja to ja? Przypuśćmy, że nie jestem sobą, tylko tak myślę? Skąd to mogę wiedzieć? Kim jest to ja”, które zadaje pytania? Czy to ja myślę? I skąd mam wiedzieć, jeśli nie ja?

- Mnie o to nie pytaj - odpowiedział głos tuż przy jej głowie. - Czy to zgadywanka?

To był Głupi Jaś. Siedział na jej poduszce.

Akwila leżała na łóżku w domku panny Libelli. Przykrywała ją zielona kapa. Kapa. Zielona. Nie trawa, nie wzgórze... ale gdy się tak patrzyło, można by je pomylić.

- Czy to wszystko mówiłam na głos? - zapytała Akwila.

- Jasne.

- I... to wszystko się wydarzyło, prawda?

- Oczywiście - potwierdził radośnie Głupi Jaś. - Duża wiedźma siedziała tu do południa, ale potem powiedziała, że już się chyba nie obudzisz jako potwór.

Fragmenty wspomnień zaatakowały pamięć Akwili niczym rozgrzane do czerwoności kawałki skał spokojną planetę.

- Czy tobie nic nie jest?

- Pewnie - odparł Jaś.

- A co z panną Libellą?

Ten fragment pamięci był potężny jak meteoryt, który pozbawił życia miliony dinozaurów. Akwila złapała się dłońmi za usta.

- Ja ja zabiłam! - wykrzyknęła.

- Nie, ty wcale...

- Zabiłam ją! Czułam, jak mój umysł to robi! Rozgniewała mnie! Więc tylko machnęłam ręką o tak... - tuzin Figli schowało się pod kapek - i ona eksplodowała! To byłam ja! Pamiętam!

- Tak, ale wielka czarownica czarownic powiedziała, że ono używało twojego umysłu, by nim myśleć... - mówił Jaś.

- Pamiętam to! To byłam ja, zrobiłam to własną ręką! - Figle, które w międzyczasie wysunęły głowy spod kapy, zanurkowały pod nią znowu. - Och... moje wspomnienia... pamiętam pył, który zamienia się w gwiazdy... gorąco... krew, czuję krew... pamiętam... pamiętam sztuczkę „zobacz mnie”! O nie! Można powiedzieć, że go zaprosiłam. I zabiłam pannę Libellę!

Cienie przesłoniły jej oczy, w uszach dzwoniło. Akwila usłyszała otwierane drzwi i jakieś ręce podniosły ją, jakby była lekka niczym piórko. Przerzucono ją przez ramię, następnie zniesiono dość pośpiesznie po schodach na jasność poranka, tam rzucono na ziemię.

- ...My wszyscy... zabiliśmy ją... weź jeden srebrny tygiel... - mamrotała.

Ktoś z całej siły uderzył ją w twarz. Poprzez wewnętrzną mgłę spoglądała na ciemną postać przed nią. W dłoń wepchnięto jej uchwyt wiadra.

- Idź teraz wydoić kozy. I to szybko, Akwilo, słyszysz? Te stworzenia mają do ciebie zaufanie! Czekają na ciebie! Akwilo, idź do kóz! Ręce wiedzą, jak to zrobić, głowa sobie przypomni i stanie się silniejsza!

Ktoś siłą posadził ją na stołeczku do dojenia i poprzez mgłę, która wciąż przesłaniała jej oczy, dostrzegła skuloną Czarną Meg.

Dłonie pamiętały. Znalazły wiadro, złapały za wymię, a potem, właśnie w chwili gdy Meg podniosła nogę, by kopnąć w skopek, zdołały także ją złapać i przytrzymać bezpiecznie na platformie do dojenia.

Akwila pracowała wolno, jej głowę wciąż wypełniała gorąca mgła. Pozwalała, by ręce działały samodzielnie. Skopek był napełniany i opróżniany, wydojona koza dostawała wiadro jedzenia z pojemnika...

...Rwetest Prostota był dość zdziwiony faktem, że doi kozę. Zamarł.

- Jak się nazywasz? - zapytał jakiś głos za nim.

„Rwetest. Prostota”.

- Nie. To był mag, Akwilo! On jest najsilniejszym echem, ale nie jesteś nim. Wejdz do obory, Akwilo!

Potykając się, przeszła do ciemnego pomieszczenia, słuchając kierującego nią głosu, i nagle świat się ześrodkował. Na płycie leżał śmierzdzący zepsuty ser.

- Kto go tu położył? - zapytała.

- Współzycz. Chciał zrobić ser, używając do tego magii! Ty nie jesteś nim, Akwilo.

Ty wiesz, jak powinno się robić ser, prawda?

Wiesz to na pewno! Jak masz na imię?

...wszystko było zamieszaniem i dziwnymi zapachami. W panice ryknęła...

Znowu poczuła uderzenie w twarz.

- Nie, to był tygrys szablatozębny, Akwilo! To wszystko tylko stare wspomnienia współzyczna. Przebywał w wielu stworzeniach, ale ty nimi nie jesteś. Pokaż się, Akwilo!

Słyszała słowa, lecz właściwie ich nie rozumiała. Przeływały gdzieś tam, pomiędzy ludźmi, którzy byli tylko cieniami. Ale nie potrafiła ich nie posłuchać.

- Kurka wodna! - wykrzyknęła zamglona wysoka postać. -

Gdzie jest ten mały błękitny koleżka? Pan Bój?

- Jestem, proszę pani. I nazywam się Rozbój, proszę pani. I błagam, proszę nie zamieniać mnie w nic nienaturalnego, proszę pani!

- Mówiłeś, że miała pudło ze swoimi rzeczami. Znieś mi tu je natychmiast. Bałam się, że coś takiego mogło się wydarzyć. To okropne, ale nie mam wyjścia!

Akwila została kolejny raz obrócona, spoglądała w zamgloną twarz, a silne dłonie trzymały ją za ramiona. Dwoje niebieskich oczu wpatrywało się w nią przenikliwie. Lśniły we mgle niczym szafiry.

- Jak masz na imię, Akwilo? - zapytał głos.

- Akwila!

Oczy się w nią wwiercały.

- Naprawdę? Zaśpiewaj mi w takim razie pierwszą piosenkę, jakiej się w życiu nauczyłaś. Już!

- Hzan, hzana, m'tzana...

- Przestań, tego nigdy nie uczyli w krainie kredy! Nie jesteś Akwilą. Podejrzewam, że jesteś królową pustyni, która zabiła swoich dwunastu mężów przy pomocy piaskowej wiedźmy i skorpiona! A ja szukam Akwili. Ty wracaj w swoje ciemności!

* * *

Wszystko znowu zmętniało. Poprzez mgłę dochodziła do niej dyskusja szeptem.

- No cóż, to może zadziałać - odezwał się wreszcie jakiś głos. - Jak masz na imię, praludku?

- Strasznie Ciut Wojtek Wielkagęba Mik Figiel, proszę pani.

- I jesteś bardzo mały, prawda?

- Tylko jeśli bierzemy pod uwagę wzrost, proszę pani.

Dłonie na ramionach Akwili się zacisnęły. Błękitne oczy załśniły.

- Co oznacza twoje imię w starym języku Fik Mik Figli, Akwilo? Myśl..

To nadeszło z najgłębszych głębin jej umysłu, rozgarniając po drodze mgłę. Nadeszło, przedzierając się przez głośno protestujące głosy, przenosząc ją w miejsce, gdzie już nie dosięgały jej niewidzialne ręce. Do przodu, pozostawiając gdzieś za sobą mgłę.

- Moje imię znaczy: Woda - powiedziała i nogi się pod nią ugięły.

- O nie, nic z tego, tego ci wcale nie potrzeba - mówiła postać, która ją trzymała. - Wyspałeś się dosyć. No dobrze, wiesz, kim jesteś! Teraz musisz się trzymać i działać! Musisz być Akwilą ze wszystkich sił, tak bardzo jak tylko możesz, a wtedy inne głosy zostawią cię, uwierz mi. Chociaż to nie najgorszy pomysł, żebyś przez jakiś czas nie robiła kanapek.

Czuła się lepiej. Wypowiedziała swoje imię. Ci, co protestowali w jej głowie, uspokoili się nieco, chociaż wciąż coś między sobą szeptali, tak że trudno jej było się skupić. Ale teraz przynajmniej widziała dobrze. Ubrana na czarno postać, która ją trzymała, nie była wcale wysoka, ale tak świetnie grała swoją rolę, że udawało jej się oszukać większość ludzi.

* * *

- Och... to jest... panna Weatherwax?

Panna Weatherwax pchnęła ją delikatnie na krzesło. Na każdym pozwalającym na to miejscu w kuchni siedziały Fik Mik Figle i przyglądały się Akwili.

- Tak, to ja. I mamy tu niezły bałagan. Odpocznij chwilę, a potem musimy się brać do roboty...

- Dzień dobry paniom. No i jak ona się miewa?

Akwila odwróciła głowę. W drzwiach stała panna Libella. Była blada i opierała się na lasce.

- Leżałam w łóżku, ale pomyślałam: Nie ma żadnego powodu, żeby się tak nad sobą użalać - oświadczyła.

Akwila wstała z krzesła.

- Jest mi tak przy... - zaczęła, lecz panna Libella tylko machnęła ręką lekceważąco.

- Nie twoja wina - powiedziała, siadając ciężko przy stole. - Jak się czujesz? I jeśli już jesteśmy przy tym, kim jesteś?

Akwila poczerwieniała.

- Wciąż sobą, jak sędzę - szepnęła.

- Zjawiłam się tu wczoraj wieczorem, żeby sprawdzić, jak się czuje panna Libella - odezwała się panna Weatherwax. - I żeby za jąć się tobą także, dziewczyno. Mówiłaś przez

sen, a raczej mówił Rwetest Prostota, czy raczej to, co z niego zostało. Ten stary mag okazał się całkiem pomocny jak na to, że składa się już tylko z wiązki wspomnień i przyzwyczajęń.

- Nie rozumiem, o co chodzi z tym magiem - powiedziała Akwila. - Czy z królową pustyni.

- Nie rozumiesz? - zdziwiła się czarownica. - No cóż, współzycz kolekcjonuje ludzi. Stara się ich dodać do siebie, tak to chyba można ująć, używa ich do myślenia za niego. Doktor Prostota badał współzycze paręset lat i wreszcie zastawił na jednego pułapkę. W którą sam wpadł, stary głupiec. Wreszcie go to zabiło. Wszyscy na końcu ginęli. Najpierw tracili zmysły, w taki lub inny sposób, a wtedy zapominali, czego nie wolno im zrobić. Ale on trzymał coś w rodzaju... słabej kopii każdej z tych postaci, coś w rodzaju żywej pamięci... - Spojrzała na zdumioną Akwilę i wzruszając ramionami, dodała: - Coś jakby ducha.

- I zostawił te duchy w mojej głowie?

- Tak naprawdę to bardziej duchy duchów. Coś, na co nie mamy określenia.

Panna Libella wzdrygnęła się.

- No, wreszcie mamy to już za sobą. - Głos jej zadrżał. - Czy ktoś ma ochotę na filiżankę dobrej herbaty?

- Och, to proszę zostawić nam! - wykrzyknął Rozbój, zrywając się na równe nogi. - Głupi Jasiu, bierz chłopaków i przygotujcie paniom herbatę!

- Dziękuję - odparła słabo panna Libella, słysząc za sobą brzęk naczyń. - Czuję się taka niez... Zaraz, zaraz, wydawało mi się, że potłukliście wszystkie filiżanki do herbaty, kiedy je myliście.

- Oczywiście - potwierdził rozpromieniony Rozbój. - Ale Jaś znalazł pełen kredens bardzo starych Filiżanek...

- To niezwykle cenna porcelana, którą podarował mi ktoś bardzo bliski! - wykrzyknęła panna Libella. Ruszyła w stronę zlewu.

Z zadziwiającą szybkością jak na kogoś, kto jest częściowo nieżywy, wyrwała czajniczek, filiżankę i spodek z rąk zaskoczonych praludków i trzymała je tak wysoko, jak tylko potrafiła.

- Na litość! - wykrzyknął Rozbój, wpatrując się w zastawę. - To się nazywa wiedźma!

- Przykro mi, że byłam niegrzeczna, ale mają dla mnie ogromną wartość sentymentalną! - oświadczyła panna Libella.

- Panie Bóju, a teraz pan i pańscy ludzie zostawią pannę Libellę w spokoju i zamkną się! - powiedziała panna Weatherwax. - Proszę nie przeszkadzać pannie Libelli w robieniu herbaty.

- Ale ona trzyma... - zaczęła niezwykle zdziwiona Akwila.

- I niech w tym nie przeszkadza jej twoja paplanina, dziewczyno! - ostro przycięła jej wiedźma.

- No tak, ale ona podniosła ten czajniczek bez... - zaczął jakiś głosik.

Wiedźma się odwróciła. Figle cofnęły się niczym morska fala.

- Głupi Jasiu - odezwała się lodowatym tonem - w mojej studni znajdzie się jeszcze miejsce na jedną żabę, pod warunkiem jednakże, że masz na to dość rozumu.

- Ha, to akurat się pani nie uda! - oświadczył dumnie Głupi Jaś, zadzierając hardo głowę. - Oszukałem panią. Ponieważ ja mam mózg żuka!

Panna Weatherwax wpatrywała się w niego przez chwilę płonącym wzrokiem, po czym odwróciła się z powrotem do Akwili.

- Ja zamieniłam kogoś w żabę - powiedziała dziewczynka. - To było okropne. Nie zmieścił się w niej cały, więc pozostało coś dużego i różowego...

- Teraz to nie ma żadnego znaczenia - powiedziała panna Weatherwax głosem, który nagle był tak miły i normalny, że przy pominął dzwonenie dzwoneczków. - Z pewnością wiele rzeczy wydaje ci się tu innych niż w domu, prawda, moje dziecko?

- Co? No tak, oczywiście, w domu nie zamieniałam... - zaczęła Akwila zdziwiona, po czym zauważyła, że staruszka wykonuje tuż nad kolanami chaotyczne okrężne ruchy, które w jakiś sposób oznaczały: Zachowuj się, jakby nic dziwnego się nie stało.

Więc gawędziły jak oszalałe na temat owiec i panna Weatherwax powiedziała, że one są bardzo wełniste, czyż nie, a Akwila odparła, że są, i to wyjątkowo, a panna Weatherwax na to, że słyszała, iż bardzo wełniste... a w tym czasie wszystkie oczy w pomieszczeniu śledziły pannę Libellę...

...która przygotowywała herbatę, używając czterech rąk, z których dwóch nie było, ale ona nie zdawała sobie z tego w ogóle sprawy.

Czarny czajnik przyzełgował przez pokój i najwyraźniej sam przełaził swą zawartość do dzbanka. Filiżanki, spodeczki, łyżeczki i cukiernica przemieszczały się, jakby doskonale wiedziały, gdzie mają się znaleźć.

Panna Weatherwax nachyliła się ku Akwili.

- Mam nadzieję, że nadal się czujesz... samotna? - wyszeptwała.

- Tak, dziękuję pani. Chciałam powiedzieć, że mogę... tak jak by... czuć ich tutaj, lecz nie wchodzi mi w drogę... i... ale wcześniej czy później ona zda sobie sprawę... to znaczy... tak będzie, prawda?

- Ludzki umysł to bardzo śmieszna rzecz - wyszeptała stara kobieta. - Zdarzyło mi się kiedyś opiekować biednym młodym człowiekiem, któremu drzewo zniażdżyło nogi. Stracił je od kolan w dół. Musiał mieć drewniane protezy. Które zresztą zostały zrobione z tego właśnie drzewa, co stanowiło pewną rekompensatę. Trzeba powiedzieć, że ten młody człowiek dość szybko stanął na nogi. Ale pamiętam, jak do mnie mówił: „Panno Weatherwax, nadal czuję, że coś idzie mi w pięty”. To jest tak, jakby głowa nie zaakceptowała tego, co się wydarzyło. I w dodatku ona nie jest przecież... zacznijmy od tego, że ona nie jest całkiem zwyczajną osobą. Przyzwyczała się, że ma ręce, których nie widzi...

- No i proszę. - Panna Libella krzątała się nad trzema filiżankami i cukiernicą. - Jedna dla ciebie, jedna dla ciebie, jedna dla... och!

Cukiernica wymsknęła się z niewidzialnej dłoni i cukier rozsypał się na stole. Panna Libella przez chwilę przyglądała się w przestrachu, filiżanka trzymana przez drugą niewidzialną rękę zadrżała.

- Niech pani zamknie oczy, panno Libello! - W głosie panny Weatherwax brzmiała jakaś dziwna ostrość, aż Akwila również zamknęła oczy. - Dobrze! Teraz wiesz, gdzie jest filiżanka, czujesz swoją rękę - mówiła panna Weatherwax. - Zaufaj jej! Twoje oczy nie widzą wszystkiego! A teraz odłóż delikatnie filiżankę... tak, dobrze. Możesz otworzyć oczy, ale chciałabym, żebyś jeszcze coś teraz zrobiła, specjalnie dla mnie. Połóż te dłonie, które widzisz, płasko na stole. Dobrze. W porządku. Teraz, bez odrywania tych rąk, pójdz do kredensu i wyjmij błękitne pudełko z maślanymi ciasteczkami. Lubię maślane ciasteczka do herbaty. Bardzo ci dziękuję.

- Ale... aleja nie mogę tego teraz zrobić...

- Zapomnij o „nie mogę”, panno Libello - zachnęła się panna Weatherwax. - Nie myśl o tym, tylko to zrób! Moja herbata stygnie!

Więc wiedźmowatość polega także na tym, pomyślała Akwila. To trochę przypomina sposób rozmawiania babci Dokuczliwej ze zwierzętami. Coś jest takiego w głosie. Raz ostry, raz łagodny. Używała krótkich poleceń na przemian z zachętą, nie przestawała mówić i powodowała, że cały świat zwierzęcia wypełniały jej słowa, dzięki temu pies pasterski słuchał, a owca się uspokajała...

Pudełko z ciasteczkami przyplęnęło od kredensu. Gdy było już w pobliżu, stara kobieta zdjęła pokrywkę i położyła ją w powietrzu tuż obok. Sięgnęła po ciastka.

- Och, takie są najlepsze do herbaty. - Wzięła cztery, z których trzy wepchnęła szybko do kieszeni. - Bardzo wytworne.

- To jest strasznie trudne! - jęknęła panna Libella. - To jak nie myśleć o różowych nosorożcach!

- Tak? - zdziwiła się panna Weatherwax. - Co jest szczególnego w niemyśleniu o różowych nosorożcach?

- Wprost niemożliwością jest nie myśleć o nich, zwłaszcza gdy ktoś powie ci, że nie możesz - wyjaśniła Akwila.

- Nieprawda. - Panna Weatherwax była bardzo zdecydowana. - Ja nigdy o nich nie myślę, daję ci na to moje słowo. Chcesz przejąć kontrolę nad swoim umysłem, panno Libello. Straciłaś zapasowe ciało? Czym jest inne ciało, kiedy wszystko zostało powiedziane i zrobione? Tylko uprzykrzenie, kolejna gęba do nakarmienia i meble się podwójnie wycierają... jednym słowem, zupełnie zbędne. Ustaw odpowiednio umysł, panno Libello, a świat będzie należał do ciebie... - Stara wiedźma nachyliła się ku Akwili i wyszeptała: - Co to jest? Żyje w morzu, bardzo małe, ludzie to jedzą.

- Krewetka? - strzeliła Akwila, nieco zdziwiona.

- Krewetka? Niech będzie. Świat jest twoją krewetką, panno Libello. Więc nie tylko zdrowo zaoszczędzisz najedzeniu i ubraniu, co nie jest wcale do pogardzenia w dzisiejszych ciężkich czasach, to jeszcze ludzie, widząc, jak przesuwasz przedmioty w powietrzu, będą mówić: „To jest prawdziwa wiedźma, większej nie widzieliśmy!”. I będą mieli rację. Ćwicz umiejętność, panno Libello. Pomyśl o tym, co ci powiedziałam. A teraz odpocznij. My zajmiemy się wszystkim, co trzeba dzisiaj zrobić. Przygotuj tylko listę, Akwila mi pomoże.

- Cóż, no dobrze, czuję się nieco... rozbita - powiedziała panna Libella, bezmyślnie odgarniając włosy z czoła niewidzialną ręką. - Niech się zastanowię... powinniście wpaść do pana Parisola i do pani Murado, i do chłopaka od Krzyżówkowych, sprawdzić stłuczenia pani Miejskiej, zanieść maść numer pięć do pana Poganiacza, pójść z wizytą do pani Łowczej w Źródlanym Zakątku i... zaraz, czy o kimś nie zapomniałam...?

Akwila uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. To był okropny dzień po straszliwej nocy, ale nieubłagane wisiała jeszcze nad nią wizyta w miejscu, które było na końcu panny Libelli języka. To miało być najtrudniejsze.

- A tak, trzeba porozmawiać z panną Prędką w Najwyższym klifie, a potem zapewne także z panią Prędką, po drodze zanieść kilka paczek, są naszykowane w koszu i opisane. I to chyba już wszystko... o nie, ależ gapa ze mnie! Zupełnie zapomniałam... trzeba też zajrzeć do pana Gniewniaka.

Akwila wypuściła oddech. Naprawdę tego nie chciała. Wolałaby nigdy już nie zaczerpnąć powietrza, niż stanąć przed panem Gniewniakiem i otworzyć pustą skrzynkę.

- Jesteś pewna, że... całkiem doszłaś do siebie, Akwilo? - zapytała panna Libella, a dziewczynka natychmiast skorzystała z tej starej jak świat wymówki, by nie iść.

- Tak naprawdę to ciągle się nie czuję... - zaczęła, ale przerwała jej panna Weatherwax.

- Nic jej nie jest, panno Libello. Przeszkadzają jej tylko echa. Współzyczą odszedł na dobre z tego domu, mogę wszystkich zapewnić.

- Naprawdę? - zapytała panna Libella. - Nie chciałabym być niegrzeczna, ale skąd ta pewność?

Panna Weatherwax wskazała palcem.

Kryształek po kryształku, rozsypany cukier toczył się po stole, by kolejno wskoczyć do cukierniczki.

Panna Libella aż klasnęła w dłonie.

- Och, Oswaldzie! - wykrzyknęła i uśmiechnęła się radośnie. - Wróciłeś!

* * *

Panna Libella, zapewne w towarzystwie Oswalda, odprowadzała je wzrokiem, stojąc przy furtce.

- Dobrze jej zrobi odpoczynek w towarzystwie twoich małych ludzików - odezwała się panna Weatherwax, kiedy już skręciły w leśną ścieżkę. - To, że jest na pół żywa, może wreszcie postawić ją na nogi.

Akwila spojrzała na nią zaszokowana.

- Jak może być pani tak okrutna?

- Kiedy ludzie zobaczą, jak przesuwa różne rzeczy w powietrzu, zaczną ją szanować. Szacunek to dla czarownicy jedzenie i picie. A nasza panna Libella niezbyt jest szanowana.

To była prawda. Ludzie nie czuli respektu przed panną Libellą. Lubili ją na trochę bezmyślny sposób i to wszystko. Panna Weatherwax miała rację, a Akwila by wołała, żeby nie miała.

- Dlaczego w takim razie wysłałyście mnie z panną Tyk właśnie do niej? - zapytała.

- Ponieważ jest życzliwa - odparła wiedźma, maszerując rażno przed siebie. - Dbam o ludzi. Nawet o tych głupich, złych, niedorozwiniętych, o matki z niedomytymi dziećmi i bez pomysłu w głowie, o niedołączonych oraz tych na tyle głupich, że traktują ją jako coś w rodzaju służącej. I to właśnie ja nazywam prawdziwą magią - widzieć to wszystko, dawać sobie z tym radę i nie poddawać się. Siedzieć całymi nocami przy jakimś biednym starym człowieku, który żegna się z tym światem, starać się ulżyć mu w bólu i ukoić jego przerażenie, odprawić go bezpiecznie na dalszą drogę... a potem umyć go, ubrać, wyszykować na pogrzeb, pomóc płaczącej wdowie pościelić łóżko i uprać pościel - to nie jest

zadanie, pozwól sobie powiedzieć, dla kogoś o słabym sercu - a potem wytrzymać jeszcze kolejną noc, czuwając przy trumnie przed pogrzebem, a kiedy wreszcie wróci się do domu i zdąży usiąść na pięć minut, jakiś zrozpaczony człowiek zaczyna walić w drzwi, ponieważ jego żona nie może urodzić ich pierwszego dziecka, a położna już pada z nóg, i wtedy trzeba się podnieść, wziąć torbę i znowu iść... Wszystkie to robimy, każda na swój sposób, a gdybym miała powiedzieć z ręką na sercu, ona jest w tym lepsza ode mnie. To są korzenie, serce, dusza i kwintesencja bycia wiedźmą. Dusza i kwintesencja! - Panna Weatherwax uderzała pięścią w dłoń, wybijając rytm swoim słowom. - Du... sza... i... kwint...e...sen...cja!

W nagłej ciszy, jaka zapanowała w lesie, echo odbiło te słowa. Nawet koniki polne przestały grać na skraju ścieżki.

- A pani Skorek - mówiła dalej panna Weatherwax głosem, który przypominał teraz warkot - opowiada swoim dziewczętom, że wszystko polega na kosmicznej równowadze, obrotach, kolorach, różdżkach i... innych zabawkach. Tak, zabawkach! - Pociągnęła nosem. - Och, z pewnością świetnie spełniają swoją funkcję jako dekoracje, miło na nie popatrzeć, czasem też przydają się, by coś lepiej wyglądało, niż jest naprawdę, ale początek i koniec, początek i koniec to pomaganie ludziom, których życie jest na krawędzi. Nawet tym ludziom, których się nie lubi. Gwiazdy są łatwe, to ludzie są trudni.

Umilkła. Minęło dobrych kilka sekund, zanim ptaki znowu zaczęły śpiewać.

- W każdym razie ja tak uważam - dodała tonem osoby, która uznała, że może posunęła się nieco dalej, niż zamierzała.

A ponieważ Akwila nic nie mówiła, odwróciła się do niej i zobaczyła, że dziewczyna stoi pośrodku ścieżki i wygląda jak zmokła kura.

- Czy z tobą wszystko w porządku, dziewczyno?

- To byłem ja! - wykrzyknęła w odpowiedzi Akwila. - Współ - życzył był mną! On nie myślał, używając mego mózgu, on używał moich myśli! Używał tego, co znalazł w mojej głowie! Wszystkie te zniewagi, wszystkie... - przełknęła ślinę. - Wszystkie... nieprzyjemne zachowania. To byłem ja...

- ...bez tego kawałka ciebie, który udało ci się skryć - odpowiedziała jej ostro panna Weatherwax. - Pamiętaj o tym.

- Tak, ale zakładając... - zaczęła Akwila, walcząc, by całość jej nieszczęścia ujrzała światło dzienne.

- To, co zdołało się ukryć, było bardzo ważną częścią ciebie - oświadczyła panna Weatherwax. - Uczenie się, jak nie robić czegoś, jest równie trudne jak nauka, jak to coś

robić. A może i trudniejsze. Byłoby dostrzegalnie więcej żab na tym świecie, gdybym się nie nauczyła nie zamieniać ludzi w nie. O różowych balonach nie wspomniawszy.

- Proszę, nie! - Akwila zadygotała.

- Właśnie dlatego wszystkie wędrujemy, doktoryzujemy się i w ogóle - powiedziała panna Weatherwax. - No i dlatego że dzięki nam ludzie stali się odrobinę lepsi. Ale robienie tego przybliży cię do kwintesencji twojego ja, oczywiście nie mówię o tej galaretowatej części. Daje ci to kotwicę. Pozwala ci być wciąż człowiekiem, nie da ci zbyt dużo gdać. Twoja babcia tak zajmowała się owcami, które w mojej opinii są równie głupie i nieprzewidywalne jak ludzie. Twierdzisz, że zobaczyłaś prawdziwą siebie, i okazało się, że jesteś zła? Też coś! Widziałam ludzi złych i daleko ci do nich. A teraz mogłabyś już przestać się mazać?

Panna Weatherwax parsknęła śmiechem, widząc, jak twarz dziewczynki wykrzywia się w grymasie złości.

- O tak, jesteś wiedźmą od butów do czubka głowy. Jest ci smutno, ale przez cały czas przyglądasz się sobie smutnej i myślisz: Oj, ja nieszczęśliwa! A na dodatek gniewasz się na mnie, bo nie użalam się nad tobą i nie mówię: „Moje ty biedactwo”. Pozwól więc, że zwrócę się od razu do twojej trzeciej myśli, bo chcę porozmawiać z dziewczynką, która wybrała się na wojnę z Królową Baśni uzbrojona tylko w patelnię, a nie z jakimś dzieciakiem, który joyczy ze zmartwienia.

- Co? Ja nie joczę! - Akwila podbiegła do starej wiedźmy, tak że dzieliło je kilka cali.

- I po co była ta cała gadka o byciu miłym dla ludzi, co?

Ponad ich głowami zaczęły się obsypywać z drzew liście.

- To nie dotyczy innych wiedźm, a zwłaszcza nie takich jak ty! - odparowała panna Weatherwax, stukając ją w pierś palcem twardym jak sęczek.

- Co? Co? A to niby co miało znaczyć?

Przez las przegalopował jelen. Podniósł się wiatr.

- Nie dotyczy kogoś, kto nie zwraca na innych uwagi, dziecko!

- Dlaczego? Czego takiego nie zauważyłam, co ty widziałaś... stara kobieto?

- Mogę być starą kobietą, ale mówię ci, że współzycz krąży w pobliżu. Ty go tylko odrzuciłaś! - krzyczała panna Weatherwax. Ptaki zrywały się z gałęzi drzew w panice.

- Wiem! - wrzeszczała równie głośno Akwila.

- Czyżby? Naprawdę? Skąd?

- Wiem, ponieważ w nim jest wciąż kawałek mnie! Kawałek mnie, o którym wołałabym nie wiedzieć! A teraz czuję go na zewnątrz. A ty niby skąd to wiesz?

- Ja wiem, ponieważ jestem cholernie dobrą wiedźmą i tyle - burknęła panna Weatherwax. Króliki pogłębiały nory, żeby uciec jak najdalej. - Czy mam się nim zająć, podczas gdy ty będziesz się nad sobą użalała?

- Jak śmiesz! To jest moja powinność. Sama sobie z nim poradzę, a pani już podziękujemy!

- Ty? Ze współżyciem? To wymaga czegoś więcej poza waleniem patelnią, moja panno. Jego się nie da zabić!

- Poradzę sobie! Wiedźmy używają głów!

- Chciałabym zobaczyć, jak próbujesz!

- I zobaczysz! - wykrzyknęła Akwila. Zaczęło padać.

- O, więc wiesz, jak go zaatakować?

- Nie bądź głupia! On zawsze może mi schodzić z drogi! Może nawet zapaść się pod ziemię. Ale wreszcie przyjdzie, żeby mnie znaleźć, rozumiesz? Mnie, nikogo innego, tylko mnie! I ja to wiem! A wtedy będę gotowa!

- Naprawdę będziesz gotowa? - Panna Weatherwax założyła ręce na piersi.

- Tak!

- Kiedy?

- Teraz!

- Nie!

Stara wiedźma uniosła dłoń.

- Niech pokój zapanuje w tym miejscu - rzekła bardzo stanowczo. Wiatr ucichł. Deszcz przestał padać. - Jeszcze nie. On jeszcze nie atakuje. Nie uważasz, że to dziwne? Gdyby miał język, lizałby rany. A ty nie jesteś jeszcze gotowa, choćbyś nie wiem co myślała. Na razie mamy co innego do roboty, prawda?

Akwili zabrakło słów. Fala wściekłości, która się przez nią przetoczyła, była tak gorąca, że nawet uszy jej płonęły. Ale pan na Weatherwax się uśmiechała. To jakoś nie pasowało do siebie.

Pierwsza myśl Akwili była taka: Przed chwilą straszliwie pokłóciłam się z panną Weatherwax. Powiadają, że nawet jeśli się ją zatnie nożem, to nie krwawi, dopóki na to nie pozwoli. Mówią też, że kiedy ugryzły ją wampiry, potem pragnęły już tylko herbaty i słodkich ciastek. Ona potrafi wszystko! A ja nazwałam ją starą kobietą!

Druga myśl dodała: Ona jest starą kobietą.

A trzecia myśl podsumowała: Ona jest panną Weatherwax. I to ona podsycala twój gniew. Gdy ktoś jest pełen gniewu, nie ma już miejsca na strach.

- Zatrzymaj ten gniew - odezwała się panna Weatherwax, jak by czytała jej w myślach. - Hołub go w swoim sercu, pamiętaj, skąd się zjawiał, pamiętaj jego kształt, zachowaj go do chwili, gdy będzie przydatny. Bo teraz wilk chodzi gdzieś po lesie, a ty musisz pilnować stada.

To ten głos, pomyślała Akwila. Ona tak mówi do ludzi, jak babcia Dokuczliwa przemawiała do owiec, tyle że wcale nie przeklina. Aleja czuję się teraz... lepiej.

- Dziękuję - powiedziała.

- W tym również pana Gniewniaka.

- Tak, wiem - odparła Akwila.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

PÓŹNY KWIAT

To był... interesujący dzień. W górach każdy słyszał o pannie Weatherwax. Jeśli nie darzą cię szacunkiem, nie masz nic, zwykła mówić. Dzisiaj miała wszystko. Część nawet dostała się Akwili.

Były traktowane po królewsku - i nie chodzi tu o prowadzenie na ścięcie ani robienie czegoś rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem, o nie, chodzi o takie chwile, gdy ludzie chodzą rozanieleni, mówiąc: „Naprawdę się ze mną przywitała, co za łaska! Nigdy już tej ręki nie umyję”.

Nie żeby ludzie, z którymi się widziały, specjalnie przejmowali się myciem rąk, pomyślała Akwila, która jako wytwórca serów miała inne podejście do higieny. Ale ludzie zbierali się pod domami, do których zachodziły, przyglądając się i nasłuchując, podchodzili też do Akwili, żeby przekazała starej wiedźmie zaproszenie na herbatę, obiecując, że umyją przedtem filiżankę. Akwila zauważyła również, że w każdym ogrodzie, który mijały, wzmagala się aktywność pszczół.

Pracowała, starając się zachować spokój, próbując skupiać się nad tym, co w danej chwili robiła. Spełniała swe lekarskie obowiązki starannie, a gdy musiała zajmować się czymś sączącym czy broczącym, myślała tylko, jak to będzie miło, gdy już przestanie się tym zajmować. Czuła, że panna Weatherwax nie byłaby zadowolona z jej podejścia. Ale Akwili podejście panny Weatherwax też nie bardzo się podobało. Kłamała przez cały czas - a raczej nie zawsze mówiła prawdę.

Na przykład wygodka Krzyżówkowych. Panna Libella wielokrotnie tłumaczyła panu i pani Krzyżówkowym, że wygodka została ustawiona zdecydowanie za blisko studni i dlatego woda, którą piją, pełna jest maleńkich, ciupienieńkich stworzonek, przez które ich dzieci chorują. Za każdym razem słuchali wykładu bardzo uważnie, ale nigdy nawet palcem nie ruszyli, żeby przenieść wygodkę. A panna Weatherwax powiedziała im, że choroby wywołują

gobliny, które przyciąga tu zapach, i nim jeszcze wyszły z obejścia, już pan Krzyżówkowy z trójką przyjaciół kopał nową studnię na drugim końcu ogrodu.

- Choroby naprawdę wywołują małe stworzonka - powiedziała Akwila, która kiedyś za jedno jajko otrzymała prawo ustawienia się w kolejce do wędrownego nauczyciela i popatrzenia przez **Zdumiewająco Mikroskopijne Urządzenie! Zoo w Każdej Kropli Wody Z Rynsztoku!**. Następnego dnia o mały włos, a zasłabłaby z pragnienia. Niektóre z tych stworzonek były włochate.

- Naprawdę? - zapytała sarkastycznie panna Weatherwax.

- Tak. A panna Libella twierdzi, że należy mówić prawdę!

- Dobrze! To bardzo porządna, uczciwa kobieta - stwierdziła panna Weatherwax. - Aleja ci powiem, że ludziom trzeba mówić to, co potrafią zrozumieć. Sporo się jeszcze musi zmienić i pan Krzyżówkowy będzie musiał się dobrze kilka razy puknąć w głowę, zanim zrozumie, że niewidzialne istoty mogą przynieść chorobę. A zanim to się stanie, jego dzieci będą coraz bardziej chorowały. Gobliny zadziałają od razu. Dzięki nim krzywda zostanie dzisiaj naprawiona. Jutro spotkam się z panną Tyk i powiem jej, że już czas, by wędrowni nauczyciele dotarli tutaj.

- No dobrze - odparła niechętnie Akwila - ale powiedziała pani szewcowi Patisolowi, że ból w piersi mu przejdzie, jeśli codziennie przez miesiąc będzie chodził do wodospadów Spadające Skały i gdy wrzuci trzy lśniące kamyczki do stawu dla duszków wody. To nie jest leczenie!

- Nie, ale on myśli, że tak. A zbyt dużo czasu spędza w pochylonej pozycji. Pięćmiłowy spacer na świeżym powietrzu każdego dnia z pewnością go uzdrowi.

- Och - wyszeptała Akwila. - Kolejna historia?

- Możesz to tak nazywać. - W oczach panny Weatherwax zabłyśły iskierki. - Ale nigdy nie wiadomo, może duszki wody będą wdzięczne za kamyki.

Zerknęła na Akwilę, sprawdzając wyraz jej twarzy, i poklepała ją po ramieniu.

- Nie przejmuj się tak, panienko. Spójrz na to w ten sposób. Jutro twoja praca zmieni świat na lepsze. Dzisiaj ja pracuję, by do tego jutra wszyscy tutaj dotrwali.

- No tak, aleja myślę... - zaczęła Akwila, lecz zamilkła. Spojrzała na linię lasu dzielącą niewielkie poletka leżące w dolinie i stepowe łąki u podnóża gór. - On wciąż tu jest - powiedziała.

- Wiem - odparła panna Weatherwax.

- Trzyma się w pobliżu, ale się do nas nie zbliża.

- Wiem - powtórzyła panna Weatherwax.

- A właściwie co on robi?

- Ma w sobie kawałek ciebie. W takim razie ty mi powiedz?

Akwila zastanowiła się. Dlaczego nie atakuje? Oczekiwała go już lepiej przygotowana, ale on nadal był silny.

- Może czeka na chwilę, gdy znowu mi będzie źle - powiedziała. - Ale męczy mnie pewna myśl. Która nie ma sensu. Myślę wciąż o... trzech życzeniach.

- Życzeniach czego?

- Nie wiem. To brzmi strasznie głupio.

Panna Weatherwax przystanęła.

- Wcale nie - powiedziała. - Coś, co jest w tobie bardzo głęboko, stara się ci przesłać wiadomość. Musisz to sobie przypomnieć. A teraz...

- Tak. - Akwila westchnęła. - Wiem, pan Gniewniak.

Do żadnej smoczej jamy nigdy nie zbliżano się równie ostrożnie jak do tego małego domku w zachwaszczonym ogrodzie.

Akwila pchnęła furtkę i obejrzała się za siebie, ale panna Weatherwax dyplomatycznie zniknęła. Najprawdopodobniej ktoś zaproponował jej filiżankę herbaty i słodkie ciasteczka, pomyślała dziewczynka. Ona nimi żyje.

Otworzyła furtkę i weszła do środka.

Nie mogła powiedzieć: To nie moja wina. Nie mogła powiedzieć: Nie odpowiadam za to.

Jedyne, co można było powiedzieć, to: Muszę sobie z tym poradzić.

Wcale nie trzeba tego chcieć. Po prostu musi się to zrobić i już.

Wzięła głęboki wdech i weszła do ciemnego domku.

Pan Gniewniak spał na swym fotelu tuż za drzwiami. Miał otwarte usta, w których widać było żółte zęby.

- Hm... dzień dobry. - Głos dziewczynki zadrżał. - Przyszłam... no... żeby sprawdzić... czy wszystko jest... w porządku...

Rozległo się jeszcze jedno chrapnięcie, a potem pan Gniewniak się zbudził, oblizując z ust resztkę snu.

- O, to ty - powiedział. - Dzień dobry. - Podciągnął się w fotelu, by było mu wygodniej, i zapatrzył się gdzieś w drzwi, ignorując ją kompletnie.

Może nie poprosi, myślała, myjąc, odkurzając, wytrzepując poduszki i sprząając nocnik. Ale prawie krzyknęła, kiedy jedno ramię wyskoczyło w powietrze i złapało ją za nadgarstek, a stary człowiek popatrzył błagalnie.

- Proszę, sprawdź pudło, Marysiu, dobrze? Zanim pójdziesz. Bo widzisz, ostatniej nocy. słyszałem jakieś pobrzękiwania. Mógł tu dostać się jakiś podstępny złodziej.

- Dobrze - powiedziała Akwila, myśląc: Ja nie chcę tu być ja nie chcę tu być!

Wyciągnęła pudło. Nie miała wyboru.

Wydawało jej się bardzo ciężkie. Podniosła pokrywę.

Zaskrzypiały zawiasy, a potem zapanowała cisza.

- Nic ci nie jest, dziewczyno?

- No... - udało się powiedzieć Akwili.

- Jest tam wszystko czy nie? - zapytał zniecierpliwiony.

Umysł Akwili przypominał bajoro mazi.

- Tak... wszystko tu jest - udało jej się wykrztusić. - I... teraz to jest złoto.

- Złoto? Coś takiego! Nie nabieraj mnie, dziewczyno. Nigdy złota w rękach nie miałem!

Akwila delikatnie położyła pudło na kolanach staruszka. Spojrzał na monety.

Rozpoznała je. Praludki jadły z nich w kopcu. Kiedyś były na nich rysunki, lecz z czasem się wytarły.

Ale złoto jest złotem, nieważne rysunki.

- No tak - powiedział pan Gniewniak. - No tak. - I na tym zakończył rozmowę na jakiś czas. Wreszcie rzekł: - To o wiele za dużo, by zapłacić za pogrzeb. Nie pamiętam, bym tyle zaoszczędził. Za takie pieniądze można pochować króla.

Akwila nie mogła tej sprawy tak zostawić. Po prostu nie mogła.

- Muszę panu o czymś powiedzieć - oświadczyła. I powiedziała. Opowiedziała mu wszystko od początku do końca, nie tylko to, co o niej dobrze świadczyło. Siedział i słuchał bardzo uważnie.

- No cóż, to bardzo interesująca historia - oświadczył, kiedy skończyła.

- Więc... bardzo mi przykro. - Akwila nie wiedziała, co mogłaby jeszcze dodać.

- Chciałaś mi powiedzieć, że potwór zmusił cię do zabrania moich pieniędzy, więc ci twoi bajkowi przyjaciele napełnili moją skrzynkę złotem, żebyś nie miała kłopotów, tak?

- Tak mi się wydaje.

- W takim razie to chyba ja powinienem ci podziękować - stwierdził pan Gniewniak.

- Co?!

- No bo gdybyś nie zabrała srebra i miedziaków, nie zrobiłabyś miejsca dla złota, zgadza się? A chyba nie jest ono potrzebne temu pradawnemu królowi pochowanemu w kopcu.

- No tak, ale...

Zanurzył dłoń w skrzyni i wyciągnął garść złota, za którą można było kupić całą jego chałupinę.

- To dla ciebie, dziewczyno - powiedział. - Kup sobie jakieś wstążki czy coś takiego...

- Nie! Nie mogę! To nie byłoby w porządku! – protestowała Akwila rozpaczliwie.

- Tak uważasz? - zapytał pan Gniewniak. Popatrzył na nią długo i bystrze. - W takim razie nazwijmy to zapłatą za te drobne prace, które dla mnie wykonasz, co? Wejdiesz na schody, bo mnie już się to nie udaje od pewnego czasu, i zniesiesz czarny garnitur, który wisi na drzwiach, a u wezgłowia w skrzyni znajdziesz białą koszulę. Wyglansujesz mi buty i pomożesz mi wstać. Ścieżką chyba już pójdę sam. No bo widzisz, to jest zdecydowanie za dużo pieniędzy, by człowieka pochować, ale całkiem dość, by go ożenić, więc idę się oświadczyć wdowie Gram, żeby się ze mną zaręczyła i wyszła za mnie.

Akwila musiała się zastanowić, zanim treść tej wypowiedzi do niej dotarła. A wtedy powiedziała:

- Idzie pan?

- Zamierzam to właśnie zrobić - potwierdził pan Gniewniak. - To znakomita kobieta, smaży świetne steki z cebulą i ma wszystkie zęby. Wiem, bo mi pokazywała. Najmłodszy syn obstał jej w dużym mieście elegancką sztuczną szczękę, bardzo piękną. Wdowa Gram pożyczyła mi je pewnego dnia, kiedy nie mogłem sobie poradzić z pogryzieniem wieprzowiny. Nie zapomina się takiej życzliwości.

- A... nie sądzi pan, że powinien pan to jeszcze przemyśleć?

Roześmiał się.

- Myśleć? Młoda damo, kim ty jesteś, że mówisz mnie, staremu, o konieczności myślenia? Ostatecznie mam dziewięćdziesiąt jeden lat. Czas wstać i działać. Poza tym, po błyskach w jej oczach, mam prawo wierzyć, że wdowa Gram nie będzie kręcić nosem na moją propozycję. Przez te wszystkie lata znalazłoby się kilka, które pokręciły nosami i nie bez powodu. Ale niespodziewane znalezienie skrzynki ze złotem sporo może dopomóc, jak mawiał mój nieboszczyk ojciec.

Dziesięć minut zabrała panu Gniewniakowi zmiana stroju, a ile przy tym było szarpaniny! I na dodatek latały brzydkie wyrazy. Ale nie chciał żadnej pomocy Akwili, kazał

jej odwrócić się i zakryć uszy dłońmi. Potem musiała mu pomóc przejść do ogrodu, gdzie odrzucił jedną z lasek, po czym wymierzył palcem w chwasty.

- A do was się zabiorę jutro! - oświadczył triumfalnie.

Przy furtce złapał za słupek, dzięki czemu wyprostował się prawie do pionu. Dyszał ciężko.

- Wszystko w porządku - powiedział nieco tylko zaniepokojony. - Teraz albo nigdy. Czy dobrze wyglądam?

- Wygląda pan jak należy.

- Wszystko jest czyste? Nie ma dziur?

- No... tak.

- A jak moje włosy?

- No... już ich pan nie ma - przypomniała mu.

- A, prawda. Muszę kupić sobie tę, jak to się nazywa, no, kapelusz z włosów? Czy mam dość pieniędzy?

- Chodzi panu o perukę? Może pan kupić i tysiąc.

- Ha! Wspaniale! - Rozejrzał się łśniącymi oczami po ogrodzie. - Czy są tu jakieś kwiaty? Za dobrze nie widzę. A... te... okuli nary... widziałem je kiedyś, zrobione ze szkła, widzisz przez nie jak za dawnych lat... czy mam dość pieniędzy, by kupić okulary?

- Ma pan dość pieniędzy na wszystko.

- Niech ci się darzy, dziewczyno! Ale teraz potrzebuję bukietu kwiatów. Nie mogę iść się oświadczać bez kwiatów, a nic nie widzę. Czy coś tu takiego rośnie?

Kilka róż przetrwało pomiędzy chwastami i kolczastymi krzewami porastającymi ogród. Akwila wróciła do kuchni, wzięła nóż i ścięła je na bukiet.

- Ładne - stwierdził pan Gniewniak. - Późno rozkwitają, zupełnie jak ja! - Złapał je mocno wolną ręką, potem nagle zmarszczył się, jakby zapadł w sobie, stał niczym posąg. - Tak bym chciał, żeby mój Tobiasz i moja Marysia mogli przyjechać na wesele - powiedział cicho. - Ale wiesz, oni już nie żyją.

- Tak, wiem.

- Chciałbym też, żeby moja Nancy żyła, co pewnie nie jest zbyt rozsądnym życzeniem, kiedy się człowiek chce powtórnie żenić z inną damą. Ha! Prawie wszyscy z tych, których znałem, już nie żyją. - Pan Gniewniak przez chwilę przyglądał się kwiatom, ale potem znowu się wyprostował. - Nikt i nic temu nie zaradzi, prawda? Nawet skrzynka pełna złota!

- Nie - ochryple odparła Akwila.

- No, nie płacz, dziewczyno! Słońce świeci, ptaki śpiewają i to, co się rozbilo, nie da się naprawić, nieprawdaż? - Zaśmiał się jowialnie. - A wdowa Gram czeka na nas!

Przez moment wyglądał na przerażonego, potem odchrząknął.

- Jak pachnę? Nie najgorzej? - zapytał wreszcie.

- E... to tylko kulki na mole.

- Kulki na mole? W porządku. No to ruszamy, nie ma co tracić czasu!

Opierając się tylko na jednej lasce, drugą ręką, w której trzymał kwiaty, wymachując dla równowagi, pan Gniewniak ruszył z zaskakującą szybkością.

- No proszę - odezwała się panna Weatherwax, kiedy z rozwianymi połami marynarki zniknął za rogiem. - To było całkiem miłe.

Akwila rozejrzała się szybko. Panny Weatherwax nie było nigdzie widać, ale musiała gdzieś być. Akwila zajrzała za coś, co z całą pewnością było starą studnią porośniętą powojem, ale dopiero gdy stara wiedźma się poruszyła, zdołała ją wypatrzeć. Nie zrobiła nic ze swym ubraniem, przynajmniej Akwili nie wydawało się, by było to coś magicznego, ale w jakiś sposób jej suknia... wyblakła.

- Owszem. - Akwila wyciągnęła chusteczkę i wydmuchała nos.

- Ale ciebie to martwi - dodała wiedźma. - Uważasz, że nie tak się powinno to wszystko zakończyć, prawda?

- Nie tak! - zawołała Akwila z pasją.

- Uważasz, że byłoby lepiej, gdyby go pochowali w jakiejś taniej trumnie sprawionej przez wioskę, co?

- Nie! - Akwila wyłamywała sobie palce. Panna Weatherwax była ostrzejsza niż pole szpilek. - Ale... no tak, to nie wydaje się... w porządku. Chodzi mi o to, że wołałabym, by Figle tego nie zrobiły. Jestem pewna, że w jakiś sposób... poradziłabym sobie z tym, zaoszczędziła...

- Cały świat nie jest w porządku, dziecko. I ciesz się, że masz przyjaciół.

Akwila spojrzała w stronę linii drzew.

- Masz rację - powiedziała panna Weatherwax. - Nie tam.

- Odchodzę - oświadczyła Akwila. - Zastanawiałam się nad tym i znikam stąd.

- Na miotle? - zapytała panna Weatherwax. - Miotły nie latają wystarczająco szybko...

- Nie! Gdzie niby miałabym polecieć? Do domu? Nie chciałabym go tam zabrać. Poza tym nie mogę lecieć z tym buczeniem koło siebie! Kiedy się... kiedy ja go spotkam, nie chcę być w pobliżu ludzi, rozumie mnie pani, prawda? Wiem już, co potrafię... co mi się może wydarzyć w gniewie! Na wpół zabiłam pannę Libellę!

- A jeśli on podąży za tobą?

- To dobrze. Wyprowadzę go tam! - Ręką machnęła w stronę gór.

- Całkiem sama?

- A mam jakieś wyjście?

Panna Weatherwax spojrzała na nią przeciągle, nawet trochę zbyt długo.

- Nie - powiedziała wreszcie. - Nie masz. I ja nie mam również. Dlatego pójde z tobą. I nie dyskutuj, panienko. Jak niby chcesz mnie zatrzymać? A to mi przypomina... te tajemnicze siniaki pani Miejskiej biorą się stąd, że pan Miejski ją bije. A ojcem dziecka panny Prędkiej jest młody Fred Mura. Mogłabyś o tym wspomnieć pannie Libelli.

Kiedy to mówiła, pszczoła przeleciała jej koło ucha.

* * *

Przynęta, myślała Akwila kilka godzin później, kiedy oddaliły się już od domku panny Libelli, kierując się w stronę górskich wrzosowisk. Czy to ja jestem przynętą, tak jak w dawnych czasach, kiedy myśliwi prowadzili na postronku owce lub jagnię, żeby przywabić wilka?

Bo wiem na pewno, że ona planuje zabić współzycza. Coś wymyśli. Kiedy przyjdzie po mnie, ona wtedy tylko machnie ręką.

Musi mieć mnie za głupią gęś.

Oczywiście, znowu się pokłóciły. Ale panna Weatherwax robiła nieprzyjemne osobiste przycinki. Jak to było? Masz jedenaście lat. Coś w tym stylu. Masz jedenaście lat i co panna Tyk powie twoim rodzicom? Przykro mi z powodu Akwili, ale pozwoliłyśmy jej pójść samej, by walczyła ze starożytnym potworem, którego nie można zabić, i to, co z niej zostało, przynoszę tu w słoju.

A panna Libella tylko dolewała oliwy do ognia, prawie we łzach.

Gdyby Akwila nie była wiedźmą, sama by się popłakała, bo wszyscy zachowywali się tak nie w porządku!

Uczciwie mówiąc, zachowywali się bardzo w porządku. Wiedziała, że są w porządku. Nie tylko myśleli o niej, ale także o innych, a Akwila nienawidziła sama siebie, bo ona nie pomyślała. Ale to było takie przebiegłe, że wybrały ten właśnie moment, żeby być w porządku. To było takie nie w porządku...

Nikt jej nie mówił, że ma zaledwie dziewięć lat, kiedy szła do Krainy Baśni uzbrojona jedynie w patelnię. Choć trzeba też przyznać, że nikt nie wiedział, gdzie się wybierała, poza Fik Mik Figłami, a od nich była o wiele większa.

Czy poszłabym, gdybym wiedziała, co mnie tam czeka?

Tak, poszłabym.

I czy chcę stawić czoło współzyczowi, chociaż nie wiem, jak go pokonać?

Tak. Ta część mnie pozostała we mnie. Może uda mi się coś zrobić...

Ale czy czasem nie jestem tak odrobinę zadowolona, że panny Weatherwax i Libella postawiły na swoim i idę teraz, wykazując się ogromną odwagą, ale towarzyszy mi, całkowicie wbrew mojej woli, najpotężniejsza z żyjących wiedźm?

Akwila westchnęła. To okropne, kiedy nawet twoje myśli próbują zapędzić cię w kozi róg.

Figle nie miały nic przeciwko jej wyprawie na współzycz. Natomiast bardzo im się nie podobało, że nie mają jej towarzyszyć. Wiedziała, że ich obraziły. Ale, jak stwierdziła panna Weatherwax, tu chodziło o prawdziwe czarowanie i na żadne Figle nie było miejsca. Jeśli współzycz się tam zjawi, nie we śnie, tylko naprawdę, nie będzie niczego, w co mogłyby kopnąć lub uderzyć głową.

Akwila próbowała dziękować im za pomoc, lecz Rozbój tylko założył przed sobą ręce i odwrócił głowę. Wszystko poszło nie tak. Ale stara wiedźma miała rację. Podczas tej wyprawy mogła je spotkać krzywda. Cóż, kiedy tłumaczyło się Figlom, że coś jest niebezpieczne, wpadali w coraz większy zachwyty.

Zostawiła ich kłócących się pomiędzy sobą. Niedobrze wyszło.

Ale to już przeszłość. Teraz drzewa wzdłuż drogi były mniej liściaste, a bardziej iglaste. Gdyby Akwila lepiej się znała na drzewach, powiedziałaby, że bór sosnowy wypierał dąbrowę.

Cały czas czuła współzycz. Podążał za nimi, lecz trzymał się na dystans.

Gdyby ktoś wyobrażał sobie najważniejszą wiedźmę, nigdy nie wymyśliłby panny Weatherwax. Może panią Skorek, która przemykała po podłodze jak na kółkach i nosiła sukienkę tak czarną jak ciemność w najgłębszej piwnicy, ale panna Weatherwax była tylko staruszką o pobrużdżonej twarzy i szorstkich dłoniach, i miała suknię czarną jak noc, która nigdy nie jest tak ciemna, jak to sobie ludzie wyobrażają. Suknia poza tym była zakurzona i nieco poprzecie - rana na szwach.

Ale, odezwała się druga myśl, pamiętasz chyba, jak dałaś kiedyś babci pasterkę z porcelany? Całą w bielach i błękitach, aż lśniącą.

Pierwsza myśl zripostowała natychmiast: Wtedy byłam dużo młodsza.

Na to druga spokojnie odrzekła: Nie w tym rzecz. Pomyśl, która była prawdziwa? Lśniaca dama w pięknej czystej sukience i bucikach zapinanych na sprzączki czy stara kobieta, która przedzierała się przez śnieg w butach utkanych słomą, okryta workiem?

W tym właśnie momencie panna Weatherwax się potknęła. Ale bardzo szybko odzyskała równowagę.

- Niebezpieczne są te kamienie na ścieżce - powiedziała. - Uważaj na nie.

Akwila spuściła wzrok. Wcale nie było dużo kamieni, w dodatku żaden nie wyglądał na niebezpieczny lub szczególnie niezwiązany z podłożem.

Ile lat ma panna Weatherwax? To kolejne pytanie, którego niestety nigdy nie zadała. Chuda i żylasta, podobnie jak babcia Dokuczliwa, takie osoby są bezwielkowie... ale pewnego dnia babcia położyła się do łóżka i już nigdy więcej nie wstała. Ot, po prostu tak...

Słońce zachodziło. Akwila czuła współżycza w ten sam sposób, w jaki się czuje, że ktoś na Ciebie patrzy. Wciąż jeszcze krył się w lasach, które otaczały góry niczym wstęgą.

Wreszcie wiedźma zatrzymała się w miejscu, gdzie skały niczym kolumny wyrastały z ziemi. Usiadła, opierając się o wielką skałę.

- To musi wystarczyć - powiedziała. - Niedługo zrobi się ciemno, a na tych luźnych kamieniach łatwo sobie skrócić nogę.

Otaczały je ogromne głązy wielkości domów, które w przeszłości stoczyły się ze szczytu. Podnóże góry zaczynało się niedaleko od nich, kamienna ściana, która zdawała się wisieć Akwili nad głową niczym fala. Całkiem bezładne miejsce. Każdy dźwięk odbijał się echem.

Usiadła obok panny Weatherwax i otworzyła torbę, którą panna Libella naszykowała im na podróż.

Akwila nie była szczególnie doświadczona w takich sprawach, ale zgodnie z baśniami, typowym jedzeniem na wędrowną podróż był chleb i ser. Twardy kawałek sera.

Panna Libella naszykowała im kanapki z szynką, do tego pikle i dołożyła jeszcze serwetki. Dziwna myśl nasza dziewczynkę: Staramy się znaleźć sposób, jak zabić potwora, ale przynajmniej nie będziemy obsypane okruszkami.

Była też butelka z zimną herbatą i torba z ciasteczkami. Panna Libella dobrze знаła pannę Weatherwax.

- Czy nie powinniśmy rozpaść ognia? - zaproponowała Akwila.

- Po co? Do lasu, gdzie mogłybyśmy zebrać chrust, jest kawał drogi, a mniej więcej za dwadzieścia minut wszędzie księżyc w drugiej kwadrze. Twój przyjaciel trzyma się z daleka, a nic innego nas tutaj nie zaatakuje.

- Jest pani pewna?

- W moich górach mogę wędrować bezpiecznie - odparła panna Weatherwax.

- A nie ma tu trolli, wilków i im podobnych?

- Są, całe mnóstwo.
- I nie będą próbowały nas zaatakować?
- Już nie. - Zadowolony z siebie uśmiezek mignął w ciemnościach. - Czy mogłabyś mi podać ciasteczka?

- Proszę. A nie ma pani ochoty na marynaty?
- Marynaty powodują u mnie okropne wiatry.
- W takim razie...
- Ależ ja nie powiedziałam nie - dokończyła panna Weatherwax, biorąc dwa duże korniszony.

No proszę, pomyślała Akwila.

Zabrała też ze sobą trzy świeże jajka. Rozwieszanie chaosu zabierało jej zbyt wiele czasu. To idiotyczne. Inne dziewczęta potrafiły je tworzyć. A była pewna, że robi wszystko prawidłowo.

Wypełniła kieszeń przypadkowymi przedmiotami. Teraz wyciągała je, nie patrząc, owinęła nitką jajko, tak jak robiła to już ze sto razy wcześniej, złapała drewnianą, przesuwając je tak, żeby...

Pac!

Jajko się rozbilo.

- Mówiłam ci - mruknęła panna Weatherwax. - To tylko zabawki. Patyki i kamienie.
- Używała pani kiedyś tego? - spytała Akwila.
- Nie. Nie potrafiłam ich rozwiesić. Nie układały mi się. - Panna Weatherwax ziewnęła, owinęła się w koc, parę razy mruknęła „mhm, phm”, szukając sobie najwygodniejszego miejsca oparcia na skale, i po jakiejś chwili jej oddech się pogłębił.

Akwila czekała w milczeniu, zawinięta w swój koc. Wreszcie wyszedł księżyc. Wydawało jej się, że się wtedy lepiej poczuje, ale tak się nie stało. Przedtem otaczała ją tylko ciemność. Teraz pokazały się cienie.

Obok niej rozległo się chrapanie. Należało do tych solidniejszych, jakby ktoś rwał gruby brezent.

Zdarzały się chwile ciszy. Bezdźwięk jak lot pióra, cisza spadała w ciemności nocy na srebrnych skrzydłach, przemieniała się w ptaka, który wylądował na pobliskiej skale. Przechylił głowę, żeby przyjrzeć się Akwili.

W spojrzeniu ptaka było coś więcej niż tylko ciekawość.

Stara kobieta zachrapała znowu. Akwila, nie spuszczać wzroku z sowy, nachyliła się i potrząsnęła nią łagodnie za ramię. Ponieważ to nie zadziałało, potrząsnęła mocniej.

Rozległ się hałas, jakby zderzyły się trzy prosiaki, po czym panna Weatherwax otworzyła jedno oko.

- Kto? - zapytała.

- Sowa się nam przygląda. Jest tu bardzo blisko.

Nagle sowa zamrugała, spojrzała na Akwilę jakby zdziwiona, że widzi ją tutaj, rozwinęła skrzydła i zanurkowała w noc.

Panna Weatherwax odkasznęła raz i drugi, a potem powiedziała chrapliwie:

- Oczywiście, że to była sowa, moje dziecko. Dobre dziesięć minut zabrało mi zwabienie jej tak blisko! A teraz bądź cicho, kiedy zacznę od początku, bo inaczej będę się musiała zadowolić nietoperzem, a kiedy latam jako nietoperz, zawsze potem mi się wydaje, że widzę uszami, a to nie przystoi przyzwoitej kobiecie.

- Ale pani chrapała!

- Nie chrapałam! Odpoczywałam wdzięcznie, podczas gdy wabiłam sowę! Gdybyś mnie nie potrząsnęła, a jej nie przestraszyła, byłabym już na górze, mając całe wrzosowisko przed oczami.

- Pani... pani zabiera umysł sowy? - zapytała Akwila nerwowo.

- Nie! Nie jestem takajak te twoje współzycze! Ja tylko... pożyczam sobie przejażdżkę od nich, tylko... popycham je delikatnie, nieco kierując. One nawet nie wiedzą, że tam jestem. A teraz spróbuj odpocząć!

- A jeśli współzycz...?

- Jeśli tylko znajdzie się blisko nas, ja ci o tym powiem, nie ty mnie! - syknęła panna Weatherwax i położyła się na plecach. Nagle jeszcze raz uniosła głowę. - I ja nie chrapię! - dodała.

Nie minęło pół minuty, a zaczęła chrapać znowu.

Kilka minut później sowa była z powrotem, zresztą może to była inna sowa. Spłynęła na tę samą skałę, przysiadła tam na chwilę i zerwała się do dalszego lotu. Wiedźma przestała chrapać. Prawdę mówiąc, przestała oddychać.

Akwila przysunęła się bliżej, wreszcie aż przysunęła ucho do suchej piersi, by sprawdzić, czy usłyszy bicie serca...

Jej własne serce było ściśnięte niczym pięść...

...bo to było jak w dzień, gdy znalazła babcię Dokuczliwą w jej chacie. Babcia leżała spokojnie na wąskim żelaznym łóżku, lecz Akwila poczuła, że coś jest nie tak, kiedy tylko weszła do środka...

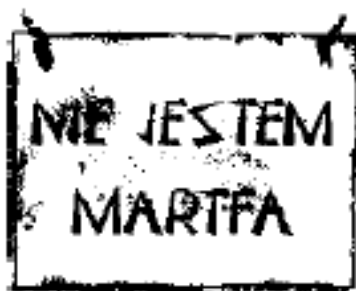
Bum!

Akwila policzyła do trzech.

Bum!

Serce biło.

Bardzo powoli, jak pęd, który rośnie, sztywna ręka się poruszyła. Sunęła jak jęzor lodowca w stronę kieszeni i wyciągnęła z niej dużą kartkę, na której napisane było:



Akwila uznała, że nie będzie się spierać. Okryła staruszkę dokładnie kocem i sama też zawinęła się w swój.

Przy świetle księżyca jeszcze raz spróbowała z chaosem. Z pewnością będzie potrafiła zmusić go, żeby powstał. Może jeśli...

W świetle księżyca bardzo, bardzo ostrożnie...

Pac!

Jajko pękło. Jajka zawsze pękały i teraz zostało jej już tylko jedno. Nie śmiałyby spróbować z żukiem, nawet gdyby jakiegoś znalazła. To byłoby zbyt okrutne.

Oparła się o skałę i spojrzała na srebrzysto - czarny krajobraz, a jej trzecia myśl pomyślała: Nie zamierza się przybliżyć.

Dlaczego?

Myślała dalej: Nie jestem pewna, skąd to wiem. Ale wiem. Trzyma się z daleka. Wie, że panna Weatherwax jest przy mnie.

I pomyślała: Skąd to może wiedzieć? Przecież nie ma umysłu! Nie wie, kim jest panna Weatherwax.

Wciąż myślę, pomyślała trzecia myśl.

Akwila osunęła się przy skałe.

Czasami wydawało jej się, że ma... zbyt tłoczno w głowie...

A potem był poranek, świeciło słońce, rosa osiadła jej na włosach, mgła unosiła się nad ziemią jak dym... Na skałę, którą w nocy odwiedzała sowa, siedział teraz orzeł, zjadając coś futrzastego. Widziała każde pióro w jego ogonie.

Przełknął, spojrzał przelotnie na Akwilę swym szalonym ptasim wzrokiem i odleciał, mieszając we mgle.

Leżąc obok niej panna Weatherwax zaczęła znowu chrapać, co Akwila uznała za znak, że staruszka wróciła do swego ciała. Szturchnęła ją i regularny dźwięk nagle się urwał.

Staruszka usiadła, odkasznęła i zaczęła poirytowana ponaglać Akwilę, by podała jej butelkę z herbatą. Nie odezwała się ani słowem, dopóki nie wypila połowy jej zawartości.

- Niech mówią, co chcą - wyrzuciła z siebie, zatykając butelkę korkiem - ale króliki smakują znacznie lepiej po ugotowaniu. I bez futra!

- Pani wzięła... pożyczyla sobie orla? - zapytała Akwila.

- Oczywiście. Nie mogłam wymagać od biednej starej sowy latania po wschodzie słońca, po to tylko by zobaczyć, kto jest w okolicy. Przez całą noc polowała na polne myszy, a możesz mi wierzyć, że surowy królik jest jednak lepszy od myszy. Nigdy nie jedz myszy.

- Nie będę - oświadczyła z całym przekonaniem Akwila. - Panno Weatherwax, wydaje mi się, że wiem, co robi współzycz. Myśli.

- Wydawało mi się, że on nie ma mózgu!

Akwila pozwoliła, by jej myśli wypowiedziały się samodzielnie.

- Ale jest w nim moje echo, prawda? Musi być. Bo było w nim echo każdego, kim kiedyś był. Musi być w nim kawałek mnie. Ja wiem, że on tutaj jest, i on wie, że ja jestem tutaj z panią. Tylko trzyma się na odległość.

- Och, tak? A to dlaczego?

- Myślę, że się pani boi.

- Ha! A to z kolei dlaczego?

- Boja się boję - odparła zwyczajnie Akwila. - Trochę.

- Ojej, naprawdę, kochanie?

- Tak. To jak z psem, który został uderzony, ale nie ucieka. Nie rozumie, co zrobił nie tak. Ale... jest w tym coś...jakaś myśl, której nie umiem nazwać...

Panna Weatherwax nic nie odpowiedziała. Twarz miała bez wyrazu.

- Czy nic pani nie jest? - zapytała Akwila.

- Daję ci czas, żebyś zrozumiała tę myśl - odpowiedziała panna Weatherwax.

- Przepraszam, umknęła mi. Ale... my myślimy o współzyczu nie tak, jak powinniśmy.

- Naprawdę? Dlaczego tak uważasz?

- Ponieważ... - Akwila zmagala się z tą myślą. - Uważam, że my nie chcemy myśleć o nim w odpowiedni sposób. To ma jakiś związek z... trzecim życzeniem. I nie wiem, co to znaczy.

- Staraj się złowić tę myśl - powiedziała wiedźma, po czym podniosła wzrok i dodała:
- Mamy towarzystwo.

Akwila dopiero po kilku chwilach zobaczyła to, co panna Weatherwax już widziała - kształt na krawędzi lasu, mały i ciemny. Zbliżał się ku nim, chybocząc się na boki.

Objawił się w końcu jako Petulia, lecąca powoli i nerwowo kilka stóp nad wrzosowiskiem. Od czasu do czasu zeskakiwała, by ustawić kij w odpowiednim kierunku.

Zsunęła się kilka kroków przed Akwilą i panną Weatherwax, złapała pospiesznie miotłę i skierowała ją w stronę potężnej skały. Miotła uderzyła w nią lekko i już tam została, ponawiając próby przelecenia przez górę.

- Hm... przepraszam - wyjąkała Petulia. - Ale nie zawsze udaje mi się ją zatrzymać, a to jest lepsze niż wożenie ze sobą kotwicy... hm.

Skinęła głową na powitanie w stronę panny Weatherwax, ale przypomniawszy sobie, że ma przed sobą wiedźmę, więc w połowie tego ruchu rozpoczęła ukłon. Za takie przedstawienie można byłoby brać pieniądze. Zakończyła podwójnie zgięta i gdzieś z głębi doszedł cichy głos:

- Hm... czy ktoś mi może pomóc? Wydaje mi się, że mój oktogram z Trzech Koron zaczepił się za woreczek z dziewięcioma ziołami...

Rozplątywanie zajęło im dobrą minutę.

- Zabawki, tylko zabawki - mamrotała panna Weatherwax, podczas gdy rozczepiały naszyjniki i wisiorki.

Kiedy Petulia się wyprostowała, buzię miała purpurową. Widząc wyraz twarzy panny Weatherwax, zdjęła z głowy kapelusz i miała go teraz w dłoniach. Była to oznaka szacunku, ale faktem jest, że długi na dwie stopy ostry rożek był wycelowany prosto w nie.

- Hm... poszłam odwiedzić pannę Libellę, a ona powiedziała, że udałyście się tu w pogoni za czymś strasliwym. Hm... więc pomyślałam sobie, że lepiej sprawdzę, jak się macie.

- Hm... to bardzo miłe - powiedziała Akwila, ale jej zdradliwa druga myśl wyskoczyła z: I co niby byś zrobiła, gdyby to coś nas zaatakowało? Wyobraziła sobie Petulię stojącą przed ryczącym potworem, ale nie było to wcale tak śmieszne, jak jej pierwsza myśl sugerowała. Bo Petulia trwałaby przed nim, drżąc ze strachu, brzęcząc swymi bezużytecznymi amuletami, tracąc zmysły z przerażenia... ale nie cofając się. Wiedziała, że one mogą się mierzyć z czymś prze okropnym, ale przybyła mimo to.

- Jak ci na imię, dziewczyno? - zapytała panna Weatherwax.

- Hm... Petulia Chrzastka, proszę pani, uczę się u Gwinifredy Czarnykaptur.

- U starej mateczki Czarnykapur? - ucieszyła się panna Weatherwax. - To bardzo rozsądna osoba. I świetnie sobie radzi ze świniami. Dobrze zrobiłaś, zjawiając się tutaj.

Petulia nerwowo spojrzała na Akwilę.

- Hm... a jak ty się czujesz? Panna Libella powiedziała mi, że... chorowałaś.

- Już znacznie lepiej, ale bardzo ci dziękuję, że pytasz - odparła Akwila cicho. - Posłuchaj, przykro mi ze względu na...

- Nieważne, byłaś chora - szybko przerwała jej Petulia.

To była druga jej cecha charakterystyczna. Zawsze chciała o wszystkich myśleć jak najlepiej. Jeśli ktoś się zachowywał nie tak, starała się myśleć o nim jeszcze lepiej, jakby to mogło naprawić daną osobę.

- Czy wrócisz do domu przed Próbami?

- Jakimi Próbami? - Akwila całkiem się pogubiła.

- Przed Próbami Czarownic - podpowiedziała panna Weatherwax.

- To dzisiaj - dodała Petulia.

- Kompletnie o tym zapomniałam! - wykrzyknęła Akwila.

- A ja nie - wtrąciła stara wiedźma. - Nigdy nie opuszczam Prób. Nie zdarzyło mi się nie stawić na nich przez sześćdziesiąt lat. Czy mogłabyś zrobić przysługę starej kobiecie, droga panno Chrzątko? Wróć teraz na miotle do domu panny Libelli, przekaż jej moje uszanowanie i poinformuj, że zamierzam prosto stąd udać się na Próby. Czy ona ma się dobrze?

- Hm, żonglowała piłkami, nie używając rąk! - wykrzyknęła Petulia w zachwycie. - I wiecie co jeszcze? Widziałam w ogródku elfa! Błękitnego!

- Naprawdę? - Akwili ścisnęło się serce.

- Tak. Prawdę mówiąc, był dość niechlujny. I kiedy zapytałam go, czy jest naprawdę elfem, powiedział, że jest... hm... „wielkim, śmierdzącym, okropnie parzącym elfem, który mieszka w pokrzywie w Brzęczącej Krainie”, i jeszcze krzyknął „ty skunksie!”. Czy rozumiecie coś z tego?

Akwila spojrzała w okrągłą, naiwną twarz Petulii. Już otwierała usta, żeby powiedzieć: „Ktoś tu za bardzo lubi bajki” - ale powstrzymała się na czas. To nie byłoby w porządku. Westchnęła.

- Petulio, widziałas Fik Mik Figła. To jest postać z bajki, ale niezbyt słodka. Przykro mi. One są dobre... no, mniej lub bardziej... ale nie do końca. A okrzyk „ty skunksie!” stanowi rodzaj słowa - miecza. Nie wydaje mi się zresztą szczególnie ostry.

Wyraz naiwnej buzi przez moment się nie zmieniał. Wreszcie Petulia wydusiła z siebie:

- Więc to był jednak elf?

- No, technicznie rzecz biorąc, raczej krasnoludek!

Okrągła buzia rozświeciła się uśmiechem.

- To dobrze. Nie byłam pewna, ponieważ, no wiecie, wychylał się zza jednego z ogródkowych krasnali panny Libelli.

- Nie ma wątpliwości, że był to Figiel - odparła Akwila.

- Z pewnością wielka, śmierdząca, okropnie parząca pokrzywa też potrzebuje swojego elfa, tak jak każda inna roślina - oświadczyła Petulia.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

ARTUR

Kiedy Petulia odleciała, panna Weatherwax tupnęła nogą i oświadczyła:

- Idziemy, młoda damo. Do Stromeo klifu mamy dobre osiem mil. I tak nie zdążymy na początek.

- A co ze współzyczem?

- Och, jeśli chce, może iść z nami także. - Panna Weatherwax się uśmiechnęła. - 1nie marszcz się tak. Na Próbach będzie ponad trzysta wiedźm ze wszystkich stron. Nie znajdziesz bezpieczniejszego miejsca. Chyba że chcesz się z nim spotkać teraz? Pewnie udałoby nam się to zrobić. On nie porusza się zbyt szybko.

- Nie! - wykrzyknęła Akwila nieco głośniejsze, niż zamierzała. - Nie, ponieważ... nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Coś się nie zgadza. Ja... ja nie potrafię tego wytłumaczyć. Tu działa trzecie życzenie.

- A ty nie wiesz, jak ono brzmi.

- Nie wiem. Ale mam nadzieję, że wkrótce się dowiem.

Stara wiedźma przyjrzała jej się uważnie.

- Ja też mam taką nadzieję. No cóż, nie ma sensu tu dalej sterczeć. Ruszajmy. - I z tymi słowami zwinęła koc i ruszyła przed siebie, jakby ciągnięta niewidocznymi sznurkami.

- Ale nie mamy nawet nic dojedzenia! - zawołała Akwila, biegnąc za nią.

- Ja spożyłam mnóstwo myszy zeszłej nocy - rzuciła panna Weatherwax przez ramię.

- Tak naprawdę ich pani nie zjadła. To był posiłek sowy.

- Technicznie rzecz biorąc, owszem - zgodziła się panna Weatherwax. - Ale jeśli pomyślisz, że jadłaś przez całą noc myszy, zadziwiające, jak to potrafi zepsuć apetyt na cokolwiek rano. Czy kiedykolwiek.

Pokazała na oddalającą się sylwetkę Petulii.

- To twoja koleżanka? - zapytała, kiedy się zrównały.

- No... jeśli tak, to na nią nie zasługuję - odparła Akwila.

- Cóż - mruknęła panna Weatherwax. - Czasami otrzymujemy coś, na co nie zasługujemy.

Jak na starą kobietę, wiedźma poruszała się bardzo szybko. Pokonywała wrzosowisko, jakby było jej osobistym nieprzyjacielem. Ale była też dobra w czymś jeszcze.

Znała się na ciszy. Towarzyszył jej szum spódnicy przedzierającej się przez krzaki, ale w jakiś sposób stał się on częścią szumu przyrody.

I kiedy tak szły w milczeniu, Akwila słuchała wspomnień. Współzycz zostawił ich całe setki. Większość z nich słabych - te stanowiły jedynie leciutkie uczucie niewygody w głowie, ale prehistoryczny tygrys wciąż widniał wyraźnie w jej umyśle, a za nim gdzieś krył się wielki jaszczur. W swoim czasie i jeden, i drugi były jak maszyna do zabijania. Najpotężniejsze stworzenia świata. Kiedyś. Współzycz je zajął. Umarły, walcząc z nim.

Brał nowe ciała i zawsze doprowadzał ich właścicieli do szaleństwa, zawsze szukając potęgi, którą za każdym razem zabijał.. a kiedy Akwila zadawała sobie pytanie dlaczego, pamięć odpowiadała: ponieważ jest przerażony.

Czego się tak boi? - zastanawiała się dziewczynka. Jest taki potężny!

Kto wie? Ale jest oszalały ze strachu. Całkiem zafiksowany.

- Ty jesteś Rwetest Prostota, prawda? - zapytała Akwila i w tej samej chwili uszy poinformowały ją, że wypowiedziała to na głos.

- Bardzo rozmowny, nieprawdaż? - wtrąciła się panna Weatherwax. - Mówił przez twój sen tamtej nocy. Miał o sobie bardzo wysokie mniemanie. Podejrzewam, że dlatego jego wspomnienia tak długo przetrwały.

- Ale nie odróżnia słowa „zafiksowany” od „sfiksowany” - mruknęła Akwila.

- No cóż, pamięć słabnie. - Panna Weatherwax zatrzymała się, opierając o skałę. Wyraźnie brakowało jej oddechu.

- Czy pani się dobrze czuje? - spytała zaniepokojona Akwila.

- Jestem zdrowa jak dzwon. - Wiedźma świsnęła lekko. - Tylko łapię mój drugi wiatr. A zresztą zostało nam już tylko sześć mil.

- Zauważyłam, że pani odrobinę kuleje.

- Naprawdę? To przestań zauważać!

Zabrzmiało to gromko niczym rozkaz, aż echo odpowiedziało. Kiedy echo ucichło, panna Weatherwax odkasznęła. Akwila pobladała.

- Wydaje mi się - powiedziała stara wiedźma - że mogę być dzisiaj nieco podrażniona. Wszystko przez te myszy. - Odkasznęła znowu. - Ci, którzy mnie znają i zasłużyli sobie na to w jakiś sposób, mogą nazywać mnie babcią Weatherwax. Nie miałabym nic przeciwko, gdybyś ty mnie tak nazywała.

- Babcia Weatherwax? - zaskoczyła Akwila po chwili, zaskoczona co najmniej zaskakującą propozycją.

- Nie technicznie - dodała pospiesznie pani Weatherwax. - Coś takiego nazywają tytułem honorowym, tak jak na przykład Stara Matka Taka to Taka albo Niania Jaktojejnaimię. Żeby pokazać, że wiedźma ma... że jest naprawdę... że była...

Akwila nie wiedziała, czy się śmiać, czy wybuchnąć łzami.

- Wiem - powiedziała.

- Naprawdę?

- Tak jak babcia Dokuczliwa. Była moją babcią, ale wszyscy na Kredzie nazywali ją babcią Dokuczliwą.

Pani Dokuczliwa zupełnie do niej nie pasowało. Potrzebne było słowo duże, ciepłe, otwarte. Babcia Dokuczliwa to było to.

- Tak jakby była babcią wszystkich! - dodała. A nie dodała: Bo opowiadała im bajki!

- No właśnie. Być może. Więc mówią na mnie babcia Weatherwax - powiedziała babcia Weatherwax i dodała szybko: - Ale technicznie rzecz biorąc, nie jestem babcią. No a teraz ruszajmy.

Wyprostowała się i rażno pomaszerowała przed siebie.

Babcia Weatherwax. Akwila próbowała smak tego słowa. Nigdy nie знаła swojej drugiej babci, która umarła, jeszcze zanim Akwila się urodziła. Nazywanie kogoś innego babcią wydawało się dziwne, ale mimo wszystko jakoś w porządku. No bo powinno się mieć dwie babcie.

Współłycz podążał za nimi. Czuła to. Lecz wciąż trzymał się na dystans. No tak, oto sztuczka, z którą przyjdę na Próby, pomyślała. Babcia - coś zamrowiło ją w mózgu, kiedy pomyślała to słowo - babcia z pewnością miała jakiś plan. Musiała mieć.

Ale... sprawy nie toczyły się tak, jak powinny. Czuła jakąś myśl, która nie mogła się do końca sformułować. Kiedy już myślała, że ją ma, myśl się rozplywała. Lecz Akwila wiedziała, że współłycz nie zachowuje się tak, jak powinien.

Dogoniła staruszkę.

Po jakimś czasie pojawiły się wskazówki, że są już w pobliżu Prób. Akwila zobaczyła w powietrzu co najmniej trzy postacie na miotle, kierujące się w tę samą stronę. Najwyraźniej

szły dobrą drogą, bo ciągnęły nią także całe gromady ludzi. Dało się zauważyć pomiędzy nimi kilka spiczastych kapeluszy, co chyba można uznać za bardzo dobrą wskazówkę. Droga przez jakiś czas biegła lasem, a potem wynurzyła się na patchworku poletek i wreszcie skierowała do wysokiego żywopłotu, zza którego dochodziły dźwięki orkiestry dętej grającej wiazankę popularnych przy takich okazjach melodii, choć z samych dźwięków trudno byłoby powiedzieć, która to akurat melodia i na jaką okazję.

Akwila aż podskoczyła, widząc unoszący się ponad drzewami balon porwany przez wiatr, ale okazał się zwykłym balonem, a nie resztą Briana. Poznała to po mieszaninie okrzyków gniewu i skargi towarzyszącej ulatującej zabawce: Jago chęc hęc hęc poleciał pole - ciał POLECIAŁ!” - jest to tradycyjny okrzyk małych dzieci uczących się, że przy balonach, podobnie jak w życiu, ważne jest wiedzieć, kiedy nie należy puszczać sznurka. Balony są po to, aby dzieci się tego nauczyły.

Ale ponieważ była to specjalna okazja, jedna z mioteł, ponad którą widniał spiczasty kapelusz, podleciała w górę i złapała balon, a potem opuściła się z nim na ziemię.

- Niegdyś tak wcale nie było - poskarżyła się babcia Weatherwax, kiedy dotarli do bramy. - Gdy byłam dziewczynką, spotykałyśmy się gdzieś na łąkach, tylko we własnym gronie. Ale teraz to musi być Specjalna Okazja dla Całej Rodziny. Ha!

Przy bramie zgromadził się niezły tłum, ale najwyraźniej coś było w tym „Ha!”, bo ludzie jak za sprawą magii rozstąpili się, a kobiety zagarniały dzieci bliżej siebie, gdy babcia maszerowała prosto do wejścia.

Siedział tam chłopak sprzedający bilety, który w tym momencie najwyraźniej wołałby nigdy się nie narodzić.

Babcia Weatherwax popatrzyła na niego. Akwila widziała, jak uszy chłopaka czerwienieją.

- Dwa bilety, młodzieńcze - powiedziała babcia. Z jej słów leciały sopelki lodu.

- To będzie... no... jeden dziecięcy i jeden dla emerytów? - Chłopakowi głos się trząsł.

Babcia pochyliła się w jego stronę i zapytała:

- Co to znaczy emeryt, młodzieńcze?

- No... to jest, tego... wie pani... ktoś starszy wiekiem - wymamrotał chłopak. Teraz i dłonie mu się trzęsły.

Babcia pochyliła się jeszcze bardziej. Chłopak bardzo, ale to bardzo pragnął się cofnąć, lecz stopy miał jak przytwierdzone do podłoża, mógł jedynie odchyłać się w tył.

- Młodzieńcze - oświadczyła babcia - ja ani teraz, ani w ogóle nigdy nie będę starsza wiekiem. Poproszę dwa bilety, które jak widzę z napisu, kosztują każdy jeden pens. - Ręka babci wystrzeliła do przodu jak żmija. Chłopak odskoczył w tył.

- Oto dwupensówka - powiedziała panna Weatherwax.

Akwila popatrzyła na jej dłoń. Palec wskazujący i kciuk złożone były razem, ale nie było widać między nimi żadnej monety.

Mimo to chłopak, uśmiechając się rozpaczliwie, wziął bardzo starannie brak monety w dwa palce. Staruszka delikatnie wyjęła z jego drugiej ręki bilety.

- Dziękuję, młody człowieku - powiedziała i wmaszerowała na pole. Akwila pobiegła za nią.

- Co ty...? - zaczęła, ale babcia Weatherwax podniosła palec do ust, złapała Akwilę za ramię i obróciła ją.

Sprzedawca biletów wpatrywał się w swoje palce. Nawet potarł jeden o drugi. Potem wzruszył ramionami, przeniósł rękę ponad skórzaną torbę na pieniądze i rozwarł palce, jakby wypuścił z nich monetę.

Brzdęk, brzdęk...

Tłum zebrany przy bramie odetchnął, a parę osób zaczęło nawet klaskać. Chłopiec uśmiechał się dość dziwnie. Chyba się spodziewał, że coś takiego się wydarzy.

- No dobrze - powiedziała zadowolona z siebie babcia Weatherwax. - A teraz nie pogardziłabym filiżanką herbaty i kilkoma słodkimi ciasteczkami.

- Babciu, tu są dzieci! Nie tylko wiedźmy!

Ludzie im się przyglądali. Babcia złapała Akwilę za podbródek i pociągnęła energicznie w górę, tak by spojrzeć jej prosto w oczy.

- Popatrz wokoło. Nie da się zrobić kroku, żeby nie natknąć się na amulety, różdżki czy inne takie. Powinno się tego zakazać.

Akwila się rozejrzała. Wszędzie stały stragany. Na wielu sprzedawano odpustowe zabawki - widywała takie podczas wystaw rolniczych na Kredzie: gwizdzące tutki, wiatraczki, skaczące kulki. Ku uciesze dzieci była tam kładka nad małym jeziorkiem, z której mogły skakać do wody, co w tak gorący dzień było świetną zabawą. Niegdyś z takiego urządzenia spławiano czarownice. Nie było natomiast popularnego na odpustach namiotu wróżki, bo kto by się odważył przepowiadać przyszłość w miejscu, gdzie tak wiele odwiedzających jest dobrze przygotowanych do dyskusji. Były za to namioty wiedźm. Zygzak także miał potężny namiot, przed którym prezentował się manekin w kapeluszu model Drapacz Chmur i płaszczu Lekki Zefir, przyciągający gromady admiratorek. Inne

stragany były mniejsze, ale aż ugięły się od rzeczy lśniących i dzwoniących, wyraźnie odchodziła tam też ożywiona wymiana pomiędzy młodymi wiedźmami. Całe stoły zajmowały łapacze snów i siatki na uroki, w tym także samoopróżniające się. Chociaż trochę dziwił fakt, że kupowały je czarownice. To tak jakby ryba kupowała parasolkę.

Współycz chyba nie mógł się zjawić w miejscu, gdzie zagęszczenie czarownic na metr kwadratowy z pewnością po wielokroć przekraczało normę.

Akwila odwróciła się do babci Weatherwax.

Której tam nie było.

Trudno znaleźć czarownicę podczas Prób Czarownic. A raczej znaleźć czarownicę podczas Prób Czarownic jest aż za łatwo, za to bardzo trudno trafić na tę, której się właśnie poszukuje, szczególnie jeśli nagle poczułaś się zagubiona, całkiem sama i rośnie w tobie panika.

Stare wiedźmy siedziały przy stołach rozstawionych na koziołkach wokół kwadratowej przestrzeni odgradzonej linami. Piły herbatę. Spiczaste kapelusze podskakiwały w rytm języków. Każda miała najwyraźniej umiejętność jednoczesnego mówienia i słuchania wszystkich innych, chociaż ten talent nie jest zastrzeżony dla czarownic. To nie było miejsce na szukanie starszej kobiety w czerni i w stożkowym kapeluszu.

Słońce stało wysoko na niebie. Robiło się dość tłoczno. Wiedźmy okrężyły teren i lądowały w odległym końcu. Coraz więcej ludzi wchodziło przez bramę. Panował straszny hałas. W którąkolwiek by się Akwila obróciła stronę, tam widziała przemykające czarne kapelusze.

Przepychała się przez tłum, rozglądając się gorączkowo w poszukiwaniu przyjaznej twarzy, na przykład panny Tyk, panny Libelli czy Petulii. W ostateczności zgodziłyby się nawet na nieprzyjazną, na przykład pani Skorek.

I starała się nie myśleć. Starała się nie myśleć, że jest przerażona i samotna w ogromnym tłumie i że gdzieś na wzgórzu czeka niewidzialny współycz, który wie, jak ona się boi, ponieważ ma w sobie jej część.

Poczuła, jak zadrżał. Poczuła, jak zaczął się przemieszczać.

Potknęła się tuż obok grupy rozgadanych czarownic, ich głosy brzmiały ostro i nieprzyjemnie. Zrobiło jej się niedobrze, jakby była za długo na słońcu. Świat wirował.

Piskliwy głos w tyle jej głowy mówił: „Współycz ma niezwykłą cechę. Otóż poluje w sposób charakterystyczny dla rekina. Akurat jego wybrał ze wszystkich stworzeń...”.

- Nie życzę sobie żadnych wykładów, panie Rwetest - wyszczała Akwila. - W ogóle nie chcę pana w mojej głowie.

Ale Rwetest Prostota nawet kiedy żył, nie odznaczał się wrażliwością na cudze potrzeby, a wspomnienie o nim nie zamierzało się teraz zmieniać. Kontynuowało całkiem zadowolonym z siebie skrzekiem: „...i kiedy już wybierze sobie ofiarę, kompletnie ignoruje inne potencjalnie atrakcyjne cele”.

Wiedziała, że coś nadchodzi przez teren Prób. Przeleciało poprzez tłum jak wiatr, który kładzie trawy. Tak też zachowywali się ludzie - niektórzy mdleli, inni odwracali się z krzykiem, jeszcze inni uciekali. Ale to coś nikogo nie atakowało, było zainteresowane jedynie Akwilą.

Jak rekin, pomyślała Akwila. Morderca w morzu, gdzie zdarzają się najgorsze rzeczy.

Nie możesz się obronić! Nie wiesz, co cię atakuje. Będziesz młócić rękami, wymachiwać błyszczącymi różdżkami, ale on zawsze wróci! Będzie nieustannie wracać!

Włożyła ręce do kieszeni i wymacała tam kamień na szczęście. I sznurek. I kawałek kredy.

Gdyby to była opowieść, pomyślała gorzko, zaufałabym swemu sercu, podążyła za swą gwiazdą i zaraz by się wszystko dobrze skończyło dzięki brzęczącej Magii. Ale nigdy się nie jest w opowieści, kiedy by się to przydało.

Opowieść, opowieść, opowieść...

Trzecie życzenie. Trzecie życzenie! Trzecie życzenie jest najważniejsze.

W historiach o dżinach, wiedźmach czy złotych rybkach... dostaje się trzy życzenia.

Trzy życzenia...

Złapała za ramię przebiegającą wiedźmę i... spojrzała w twarz Annagrammie, która aż skuliła się z przerażenia.

- Proszę, nie rób mi nic złego! Błagam! Jestem twoją przyjaciółką, prawda?

- Jak chcesz, ale to nie byłam ja, teraz jestem lepsza - powiedziała Akwila, wiedząc, że kłamie. Wtedy też była sobą, co miało wielkie znaczenie. Musiała o tym pamiętać. - Szybko, Annagrammo! Jak brzmi trzecie życzenie? Szybko! Kiedy dostajesz trzy życzenia, jakie jest trzecie?

Annagramma skrzywiła się w niesmaku, jak zawsze gdy ktoś miał czelność powiedzieć coś niezrozumiałego.

- Ale dlaczego ja...?

- Proszę, nie zastanawiaj się, tylko powiedz.

- No, to może być wszystko... być niewidzialną... albo blondynką... czy coś takiego. - Annagramma miała wyraźne problemy z koncentracją.

Akwila potrząsnęła głową i puściła ją. Podbiegła do starej wiedźmy, która przyglądała się temu w zadziwieniu.

- Proszę, to ważne! Jakie w opowieściach jest trzecie życzenie? Proszę nie pytać mnie dlaczego. Tylko przypomnieć sobie!

- No... szczęście. Chodzi o szczęście, prawda? - stwierdziła stara dama. - Tak, zdecydowanie. Zdrowie, majątek i szczęście. Ale gdybym była na twoim miejscu...

- Szczęście? Szczęście... dziękuję pani. - Akwila rozpaczliwie szukała wzrokiem pomocy. Była całkiem pewna, że nie chodzi o szczęście. Magia nie daje szczęścia i to był kolejny klucz.

Pomiędzy namiotami biegła panna Tyk. Nie było czasu na półśrodki. Akwila złapała ją wpół i obróciła.

- DzieńdobryPannoTykTakumniwszystkowporządkumamnadziejężepaniteżmasię dobrzejakiejesttrzecieżyczenieszybkojestważne-proszęnie dyskutowaćaninie zadawaćpytań niemanatoczasu!

Panna Tyk, trzeba jej to oddać, zawahała się tylko przez moment.

- Mieć setki następnych życzeń? - zapytała.

Akwila patrzyła na nią w skupieniu.

- Dziękuję. Niezupełnie, ale to także jest jakiś klucz.

- Akwilo, tu jest... - zaczęła panna Tyk.

Ale dziewczynka w tej właśnie chwili dostrzegła babcię Weatherwax, która stała pośrodku kwadratu ograniczonego linami. Wydawało się, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Przyglądała się szalejącym wiedźmom broniącym się przed współzyczem, w powietrzu strzelały race magii. Była całkiem spokojna i miała niewidzący wzrok.

Akwila puściła ramię panny Tyk, zanurkowała pod linę.

- Babciu!

Błękitne oczy zwróciły się na nią.

- Tak?

- W bajkach, w których dżin, zaczarowana żaba albo dobra wróżka dają ci trzy życzenia... jakie jest to trzecie?

- Och, w bajkach! To łatwe. We wszystkich bajkach wartych opowiedzenia, które uczą, jak poruszać się w świecie, trzecie życzenie naprawia szkody wywołane dwoma pierwszymi.

- Tak! To jest to! To jest to! - krzyczała Akwila, a słowa same z niej wypływały. - On nie jest zły! Nie może być! Nie ma własnego mózgu! Wszystko zależy od naszych pragnień! Naszych życzeń. To tak jak w bajkach, gdzie...

- Uspokój się. Oddychaj głęboko. - Babcia złapała Akwilę za ramiona i ustawiła ją twarzą do spanikowanego tłumu. - Byłaś przez chwilę przestraszona i teraz on nadchodzi i już nie zawróci, nie teraz, ponieważ jest w rozpacz. Nie widzi nawet tego całego tłumu, inni ludzie się dla niego nie liczą. Liczysz się tylko ty. Szuka ciebie. Tylko ty możesz się z nim zmierzyć. Czy jesteś gotowa?

- A jeśli przegram?

- Nigdy bym nie doszła do tego, kim dzisiaj jestem, gdybym zakładała, że przegram, młoda damo. Pobiłaś go raz, uda ci się to znowu.

- Ale mogę się zamienić w coś strasznego!

- Wtedy będziesz miała ze mną do czynienia. I to na moich warunkach. Ale tak się nie stanie. Wtedy miałaś dość niechłujnych dzieciaków i głupich kobiet, prawda? Więc teraz.. jest inaczej. Dochodzi południe. Próby powinny się zaczynać o należytą porę, ale, no cóż, wygląda na to, że ludzie zapomnieli, po co tu są. No więc teraz... czy masz w sobie dość siły, by pokazać się wiedzmą w pełnym słońcu, i to z dala od twoich wzgórz?

- Tak! - Odpowiedź nie mogła być inna, jeśli się odpowiadało babci Weatherwax, która w tej samej chwili pokłoniła się nisko i cofnęła o kilka kroków.

- Wszystko w twoim czasie, madame - powiedziała.

Życzenia, życzenia, życzenia - zdenerwowana Akwila szukała po kieszeniach. Z czego może wykonać chaos? Współzyc nie jest złym potworem. Tylko daje nam to, czego pragniemy, a właściwie to, czego - jak nam się wydaje - pragniemy. A o co ludzie proszą? Zawsze o więcej!

Nie możesz powiedzieć: Potwór zajął moją głowę i zmusił mnie do tego. Pragnęła tych pieniędzy. Współzyc był tylko posłuszny jej życzeniom.

Nie możesz powiedzieć: Ale tak naprawdę ja nigdy ich nie wzięłam! Współzyc użył tylko tego, co znalazł - sekreciki, pragnienia, ataki gniewu, wszystko, czego się w sobie nie dostrzega. On to widział i tobie też pokazał!

Wtem, gdy starała się powiązać elementy w całość, jajko wymknęło jej się z rąk i powierając się grawitacji, spadło na czubek buta.

Wpatrywała się w brudny but, ogarnięta taką desperacją, że widziała wokół tylko ciemność, mimo iż było południe. Dlaczego próbowałam to zrobić? Nigdy mi się nie udało,

więc po co próbowałam teraz? Ponieważ wierzyłam, że tym razem to zadziała, dlatego. Jak w bajce. Nagle okaże się, że... umiem.

Ale to nie jest bajka, a ja nie mam już jajek...

Gdzieś w górze rozległ się krzyk i w czasie krótszym od przerwy między dwoma uderzeniami serca Akwila przeniosła się do domu. To był myszołów, punkcik na tle nieba, który stawał się coraz większy. Opadał nad miejscem, gdzie stała. Krzyknął jeszcze raz, przelatując niczym strzała koło głowy Akwili i w tym samym momencie coś niewielkiego puściło się szponów ptaka z okrzykiem „Na litość!”.

Rozbój leciał ku ziemi jak kamień, ale w chwilę potem rozległo się „szur!” i czasza z materiału otworzyła się nad jego głową. A właściwie dwie czasze. Innymi słowy, Rozbój pożyczył reformochron od Hamisza.

Wyswobodził się z niego, jak tylko wyhamował, a wpadł dokładnie w środek chaosu.

- Myślałaś, że cię zostawimy, co?! - krzyknął, wisząc na sznurkach. - Wyznaczono mi cel. Dalej, rób to, jak należy!

- Nie mogę! - Akwila próbowała go z chaosu wytrząsnąć. - Nie z tobą w środku. Zabiję cię. Zawsze mi pęka jajko. Jaki cel?

- Nie kłóć się ze mną! - wrzeszczał Rozbój, podskakując na linkach. - Rób to! Albo nie jesteś wiedźmą wzgórz. A ja wiem, że jesteś!

Wokół nich biegali ludzie. Akwila podniosła wzrok. Wydawało jej się, że widzi współzycza, poruszający się kształt we wznieconym pyłe. Spojrzała na płataninę w swoich rękach i na uśmiechniętą twarz Rozbója.

Ta chwila brzęczała jak napięta struna.

Czarownice załatwiają różne sprawy, odezwała się jej druga myśl. Zapomnij o „nie mogę”.

No...dobrze...

Dlaczego to nie działało wcześniej? Bo nie było powodu, by zadziałało. Nie potrzebowałam tego.

A teraz potrzebuję, żeby mi pomogło. Nie. Potrzebuję siebie, żeby mi pomogła.

Więc myśl o tym. Nie zważaj na hałas, na współzycza sunącego po zdeptanej trawie...

Użyłaś rzeczy, które miałaś ze sobą, więc wszystko będzie jak należy. Uspokój się. Zwolnij. Patrz na chaos. Myśl tylko o tym. Jest tu wszystko, co przywiozłaś z domu...

Nie. Wcale nie wszystko. Tym razem wiedziała, czego brakuje...

Szarpnęła za łańcuszek, na którym wisiał na jej szyi srebrny koń, i wrzuciła go w płataninę.

Nagle jej myśli były chłodne i przejrzyste jak lód, jasne i lśniące. Popatrzmy... to wygląda lepiej tutaj... a to trzeba trochę przesunąć...

Srebrny koń przebudził się do życia, zaczął wirować łagodnie, przechodząc przez sznurki i przez Rozbója, który odezwał się:

- To nic nie boli, nie przerywaj.

Akwila poczuła szczypanie w nogę. Koń, obracając się, lśnił.

- Nie chcemy cię pospieszać! - powiedział Rozbój. - Ale pospiesz się!

Jestem daleko od domu, jasna i wyraźna myśl pojawiła się w umyśle Akwili, ale widzę go w moich oczach. Teraz muszę otworzyć oczy. I jeszcze raz otwieram oczy...

Och...

Czy potrafię być czarownicą z dala od wzgórz? Oczywiście, potrafię. Nigdy tak naprawdę cię nie zostawiłam, Ziemio pod Falami...

Pasterze na Kredzie poczuli, że ziemia się zatrzęsała, jakby w murawę trafił grzmot. Ptaki wyfrunęły z krzaków. Owce spojrzały w górę.

I znowu ziemia się zatrzęsała.

Niektórzy mówili, że cień przesłonił słońce. Inni - że słyszeli tętent kopyt.

A chłopiec, który zastawiał sidła na króliki w małej dolince zwanej Koniem, opowiedział, że z wnętrza wzgórza wyskoczył koń i popłynął niczym fala do nieba, jego grzywa rozwiewała się jak morska piana, a maść miał białą jak kreda, a galopował przez powietrze jak mgła, która się wznosi, biegł niczym burza w kierunku gór.

Chłopca oczywiście ukarano za takie bajdy, ale uważał, że było warto.

* * *

Chaos jaśniał. Srebro przepływało pomiędzy nitkami. Wysunęło się z rąk Akwili, błyszcząc jak gwiazda.

W jego świetle ujrzała, że współzycz przybył do niej, rozciągnął się tak, że był teraz naokoło, niewidzialny stał się widzialny. Dziwnie marszczył i odbijał światło. W tych błyskach i lśnieniach widać było twarze, niezdecydowane, zniekształcone jak odbicia w wodzie.

Czas spowolnił. Zza ściany, którą stał się współzycz, widziała przyglądające się jej wiedźmy. Jedna w szarpaninie straciła kapelusz, ale wisiał nad nią w powietrzu. Nie miał jeszcze czasu, by spaść.

Palce Akwili się poruszyły. Współzycz zadrżał w powietrzu niczym staw zaniepokojony wrzuconym kamieniem. Fala dotarła aż do niej. Poczula jego strach, wiedział, że został złapany w pułapkę.

- Witaj - powiedziała Akwila.

Witasz mnie? - odpowiedział współzycz głosem Akwili.

- Tak. Jesteś tu mile widziany. Jesteś tu bezpieczny.

Nie! Nigdzie nie jesteśmy bezpieczni!

- Tutaj jesteście - odpowiedziała spokojnie.

Proszę, ukryj nas.

- Mag prawie się nie mylił. Chowacie się w innych stworzeniach. Ale nigdy się nie zastanowił dlaczego. Przed czym się chowacie?

Przed wszystkim.

- Wydaje mi się, że wiem, o czym mówisz.

Naprawdę? Czy wiesz, co to znaczy, gdy się jest świadomym istnienia każdej gwiazdy i każdego źdźbła trawy? Tak. Ty to wiesz. Nazywasz to „ponownym otwarciem oczu”. Ale robisz to tylko na chwilę. My robimy tak przez wieczność. Bez snu, bez odpoczynku, tylko nieskończone... nieskończone doświadczanie, nieskończona świadomość. Wszystkiego. Przez cały czas. Jakże wam zazdrościmy! Szczęśliwi ludzie, potraficie zamknąć swe umysły na nieskończoność zimnych głębi wszechświata. Macie to coś, co nazywacie... nudą? To najrzadszy talent we wszechświecie! Słyszeliśmy piosenkę „Migocz, migocz, gwiazdko mała”. Co za moc! Co za cudowna moc! Potraficie miliony trylionów ton ognistej masy, palenisko o ogromnej mocy zamienić w piosenkę dla dzieci! Budujecie maleńkie światy, maleńkie opowieści, maleńkie muszle, w których chronicie swoje umysły, które trzymają nieskończoność na uwięzi i dlatego budzicie się co rano bez krzyku na ustach!

Całkiem zafiksowany! - rzucił pogodny głos w głębiach pamięci Akwili. Pana Rwetesta po prostu nie dało się usadzić.

Lituj się nad nami, o tak, lituj się! - odezwały się głosy współzycza. Dla nas nie ma schronienia ani wypoczynku Ale ty nas ocalisz. Zobaczyliśmy to w tobie. Masz umysły w umyśle. Ukryj nas.

- Czy chcecie ciszy? - zapytała Akwila.

Tak, ciszy i czegoś większego od niej, odpowiedział głos współzycza. Wy, ludzie, tak wspaniale potraficie ignorować rzeczywistość. Jesteście prawie ślepi i prawie głusi. Patrzycie na drzewo i widzicie... tylko drzewo, roślinę. Nie dostrzegacie jego historii, nie czujecie, jak płyną w nim soki, nie słyszycie wszystkich owadów, które żyją w pniu, nie znacie chemii

jego liści, nie widzicie tysięcy odcieni zieleni, delikatnych ruchów zwracania się ku słońcu, prawie niedostrzegalnego rośnięcia...

- Ale wy nas nie rozumiecie - odparła Akwila.- Nie sądzę, by jakakolwiek ludzka istota była w stanie was uratować. Dajecie nam to, co waszym zdaniem chcemy otrzymać, gdy tylko tego zapagniemy, tak jak w bajce. A życzenia zawsze się spełniają na opak.

Tak. To już teraz też wiemy. Mamy w sobie echo ciebie. My... zrozumieliśmy. Dlatego teraz my mamy życzenie. Życzenie, by wszystko naprawić.

- Tak - kiwnęła głową Akwila. - To jest zawsze ostatnie życzenie, trzecie. Spraw, by to, co się stało, nigdy się nie wydarzyło.

Nauucz nas, jak umrzeć, poprosił współzycz.

- Aleja tego nie wiem!

Każdy człowiek to wie. Idziecie tą drogą każdego dnia waszego krótkiego, o jakże krótkiego życia. Wiecie. Zazdrościmy wam tej wiedzy. Wiedzy, jak zakończyć. Jesteście bardzo utalentowani.

Muszę wiedzieć, jak się umiera, pomyślała Akwila. Gdzieś w głębi. Niech pomyślę. Niech przewyciężę „ja nie potrafię”.

Uniosła lśniący chaos. Wstęgi światła wciąż wirowały, ale już ich nie potrzebowała. Potrafiła utrzymać moc w samej kwintesencji siebie. Wszystko polegało na równowadze.

Światło umarło. Rozbój wisiał pomiędzy nimi, lecz wszystkie jego warkoczyki były rozplecione i czerwone włosy stały na głowie niczym wielki kłęb. Wyglądał na trochę oszołomionego.

- Byłbym w stanie zamordować kebab - oświadczył.

Akwila postawiła go na ziemi, gdzie zatoczył się nieco, potem schowała resztkę chaosu do kieszeni.

- Dziękuję, Rozbój. A teraz wołałabym, żebyś sobie poszedł. To zaczyna być... poważne.

Oczywiście była to najgorsza rzecz, jaką mogła powiedzieć.

- Nigdzie nie idę! - zachnął się. - Obiecałem Joannie, że dopilnuję, byś była bezpieczna! Wchodzimy w to razem!

Kiedy Rozbój stał w rozkroku, z zaciśniętymi pięściami i podbródkiem wysuniętym do przodu, gotowy na wszystko, płonący oburzeniem, żadna dyskusja nie miała sensu.

- Dziękuję ci - powiedziała Akwila i wyprostowała się.

Śmierć jest tuż za nami, pomyślała. Życie kończy się i tam na nas czeka Śmierć. Więc... musi być blisko, bardzo blisko.

Powinny być... drzwi. No tak. Stare drewniane drzwi. Z pewnością ciemne.

Odwrociła się. Za nią w powietrzu wisiały ciemne drzwi.

Zawiasy powinny skrzypieć, pomyślała.

I kiedy popchnęła drzwi, zaskrzypiały.

Ale... to nie dzieje się naprawdę, myślała dalej. Opowiadam sobie bajkę, którą rozumiem, o drzwiach, i oszukuję samą siebie na tyle, by zaczęło to się dziać. Muszę więc utrzymać równowagę na krawędzi, żeby działało też dalej. To jest równie trudne jak niemyślenie o różowych nosorożcach. Jeśli babcia Weatherwax potrafi to zrobić, ja również potrafię.

Za drzwiami rozciągała się czarna pustynia, a nad nią było niebo i blade gwiazdy. W oddali na horyzoncie majaczyła góra.

Musisz pomóc nam tam przejść, odezwał się współzycz.

- Jeśli chcesz mojej rady, nie rób tego. - Rozbój szarpał Akwilę za kostkę. - Nie wierzę skunksowi ani ciut.

- W nim jest także cząsteczka mnie. Ja mu wierzę. Mówiłam ci, Rozbój, że nie musisz z nami iść.

- Ach tak? I mam niby patrzeć, że samiuteńka przechodzisz przez te drzwi? Nie opuszczę cię w takiej chwili.

- Ale ty masz klan i żonę, Rozbój!

- No właśnie, i okryłbym ich hańbą, puszczając cię samą za próg Śmierci - zdecydowanie oświadczył Rozbój.

Tak, pomyślała Akwila, spoglądając przez drzwi, właśnie to robimy. Żyjemy na krawędziach. Pomagamy tym, którzy nie potrafią odnaleźć drogi...

Wzięła głęboki wdech i przestąpiła próg.

Nic specjalnie się nie zmieniło. Piasek pod nogami był twardy, szeleścił, kiedy po nim szła, dokładnie tak jak się tego spodziewała, ale kiedy go kopnęła, opadał powoli niczym puch, a to ją zaskoczyło. Powietrze nie było zimne, ale rozrzedzone i oddychanie sprawiało trudność.

Drzwi zamknęły się za nią cicho.

Dziękujemy, odezwał się współzycz. Co zrobimy teraz?

Akwila rozejrzała się i spojrzała w gwiazdy. Nie rozpoznawała takiego nieba.

- Myślę, że umrzesz - powiedziała.

Ale tu nie ma „mnie”, który ma umrzeć, rzekł współzycz. Jesteśmy tylko my.

Akwila odetchnęła głęboko. Tu chodziło o słowa, a ona w słowach była dobra.

- Trzeba teraz uwierzyć w pewną opowieść - zaczęła. - Kiedyś byliśmy płamkami w oceanie, potem rybami, następnie jaszczura mi i małymi ssakami, a wreszcie małpami. I mnóstwo nas było pomiędzy. Ta ręka była niegdyś płetwą, była także szponem! W moich ludzkich ustach mam ostre kły wilka i siekacze królika, i żujące zęby krowy! Nasza krew jest słona jak morze, z którego wyszliśmy! Kiedy ogarnia nas lęk, nasza skóra zachowuje się, jakby rosło na niej futro, które powinno się zjeżyć. Jesteśmy historią. Wszystko, czymkolwiek stawaliśmy się w naszej drodze, wciąż w nas jest. Czy chcecie usłyszeć dalszy ciąg tej historii?

Opowiedz nam, poprosił współzycz.

- Jestem ulepiona ze wspomnień moich rodziców, dziadków i przodków. Od nich pochodzi to, jak wyglądam, jaki kolor mają moje włosy. Jestem też po trosze każdą z osób, które spotkałam w swoim życiu i która zmieniła to, jak myślę. Więc co właściwie znaczy „ja”?

Kawalek, który właśnie opowiedział nam tę historię, odparł współzycz. To jesteś prawdziwa ty.

- No... tak. Ale ty też musiałeś to robić. Mówisz o sobie „my” - kto to mówi? Kto powiedział, że ty nie jesteś tobą? Niczym się od nas nie różnisz. Tyle że my jesteśmy dużo, ale to dużo lepsi w zapominaniu. No i wiemy, kiedy nie słuchać małpy, która w nas siedzi.

Teraz nas zdziwiłaś, powiedział współzycz.

- Kiedy się boimy, stare partie naszego umysłu chcą się zachowywać, jakby były wciąż w głowie małpy, i zaatakować. Małpa reaguje. Ona nie myśli. Bycie człowiekiem polega na tym, by wiedzieć, kiedy nie być małpą, gadem czy którymkolwiek z dawnych ech. Ale kiedy ty przejmujesz człowieka, nie słuchasz tego, co jest w nim ludzkie. Słuchasz małpy. A małpa nie rozumie, co jest potrzebne, ona wie tylko, czego chce. Nie, ty nie jesteś żadne „my”, jesteś „ja”.

Ja. Współzycz powiedział to słowo, jakby je smakował. Ja. Kim ja jestem?

- Chciałbyś mieć imię? To pomaga. Tak. Imię...

- Zawsze podobało mi się imię Artur.

Artur, powtórzył współzycz. Mnie też Artur się podoba. Więc jeśli ja jestem, ja mogę przestać być. Co teraz się stanie?

- Te stworzenia, które... przejąłeś, czy one nie umarły?

Owszem, przytaknął Artur, ale nie wiem, jak to się stało. Po prostu przestawały być.

Akwila rozejrzała się po bezkresnym piasku. Nie widziała niczego, a jednak miała wrażenie jakiegoś ruchu. Zaskakująca zmiana światła, jakby zauważała coś, czego nie powinna była widzieć.

- Myślę - powiedziała - że powinieneś przekroczyć pustynię.

Co jest po drugiej stronie? - zapytał Artur.

- Nie sądzę, by istniały słowa, którymi można to opisać.

Naprawdę?

- Myślę, że dlatego właśnie musisz przekroczyć pustynię. By się tego dowiedzieć.

Czekam na to. Dziękuję ci.

- Zegnaj... Arturze.

Poczuła, jak współzycz się oddała. Niewiele dało się zobaczyć, poleciało kilka ziarenek piasku, coś mignęło w powietrzu - ale powoli przemieszczał się przez czarną pustynię.

- Dobrze, że sobie to paskudztwo poszło! - wykrzyknął za nim Rozbój.

- Nie mów tak - skarciła go Akwila.

- No przecież zabijał, żeby samemu utrzymać się przy życiu.

- Nie chciał tego. Nie wiedział, jak działa człowiek.

- Ale trzeba przyznać, że pięknych bzdur mu naopowiadałaś - stwierdził z podziwem Rozbój. - Nawet bard by tak nie potrafił.

Akwila zastanowiła się, czy to prawda. Pewnego razu, kiedy wędrowni nauczyciele pojawili się w wiosce, zapłaciła im pół tuzinem jaj za poranny wykład *****Cuda Wszechświata!!!*****. Jak na edukację było to bardzo drogie, ale też warto było. Nauczyciel był z lekka zwariowany nawet jak na nauczyciela, ale to, co mówił, wydawało się mieć sens doskonały. Jedną z najbardziej zadziwiających spraw we wszechświecie było to, że wcześniej czy później wszystko jest zrobione ze wszystkiego innego, choć aby do takiego stanu dojść, trzeba pewnie milionów i milionów lat. Inne dzieciaki chichotały i dyskutowały, lecz Akwila wiedziała, że to, co kiedyś było małąkimi żywymi istotami, teraz stało się kredą wzgórz. Wszystko się zmienia, nawet gwiazdy.

To był bardzo dobrze spędzony ranek, zwłaszcza że zrefundowano jej pół jajka za pokazanie błędu w słowie „Wszechświata”.

Ale czy to jest prawda? Może nie ma to znaczenia. Może wystarczy, by było wystarczającą prawdą dla Artura.

Jej oczy, te wewnętrzne, które otworzyły się dwukrotnie, zaczęły się teraz zamykać. Czowała, jak wycieka z niej siła. W takim stanie nie można pozostać długo. Gdy tak bardzo

koncentrowała się na wszechświecie, przestawała się koncentrować na sobie. Ludzie są bardzo mądrzy, bo nauczyli się zamykać swe umysły. Czy istnieje we wszechświecie coś równie wspaniałego jak nuda?

Usiadła - tylko na moment - i zagłębiła dłoń w piasku. Uniosła go w górę. Nie opadał, niczym dym odbijający światło gwiazd, wisiał w powietrzu tak, jakby miał cały czas wszechświata.

Nigdy nie czuła się tak zmęczona jak w tej chwili.

Wciąż słyszała wewnątrz siebie głosy. Współzycz zostawił za sobą kilka wspomnień. I pamiętała teraz czasy, gdy nie było jeszcze gwiazd, gdy nie było czegoś takiego jak wczoraj. Wiedziała, co jest wyżej niż niebo i co jest pod ziemią. Ale nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spała, tak porządnie, w łóżku. Stan nieprzytomności się nie liczy. Zamknęła oczy i zamknęła je jeszcze raz...

Ktoś z całych sił kopnął ją w kostkę.

- Nie wolno ci spać! - krzyczał Rozbój. - Nie tutaj! Wstawaj i idź!

Wciąż nieco otumaniona Akwila podniosła się w delikatnej chmurze czarnego pyłu i odwróciła się w stronę drzwi.

Ale niczego tam nie było.

Widziała swoje ślady na piasku, lecz prowadziły tylko kilka kroków, a potem powoli zanikały. Wokół niej była niezmierna pustynia.

Odwróciła się w stronę wysokich gór, ale widok zasłoniła jej wysoka postać, cała na czarno, trzymająca w rękach kosę. Wcześniej z pewnością jej nie było.

DOBRYWIECZÓR, powiedział Śmierć.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

ANTABA

Akwila popatrzyła w głąb czarnego kaptura. Widziała czaszkę, a oczodoły lśniły na niebiesko.

Dobrze przynajmniej, że kości nigdy nie przerażały Akwili. To była przecież tylko kreda, po której się chodzi.

- Czy ty...? - zaczęła, ale w tym samym momencie Rozbój wrzasnął i skoczył prosto w oczodół.

Rozległo się głucho uderzenie. Śmierć zrobił krok w tył i uniósł kościstą dłoń do kaptura. Wyciągnął Rozbója za włosy i trzymał go teraz na długość ramienia. Fik Mik Figiel kopał w powietrzu i przeklinał.

CZY TO TWOJE? - zapytał Śmierć Akwilę. Jego głos rozchodził się wokół jak grzmot.

- Nie. On jest... jego.

NIE OCZEKIWAŁEM DZISIAJ FIK MIK FIGLA, powiedział Śmierć. WTAKIMWYPADKU WŁOŻYŁBYM UBRANIE OCHRONNE, CHA, CHA.

- To prawda, że dużo się biją - przyznała Akwila. - Ty jesteś Śmierć, tak? Wiem, że moje pytanie brzmi trochę głupio.

NIE BOISZ SIĘ?

- Jeszcze nie... którądy do antaby? - Z jakiegoś powodu czuła, że musi się wyrażać wyszukanie.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Śmierć odezwał się zdziwiony:

- TO NIE JEST SAMICA ORŁA?

- Nie, chociaż wszyscy tak myślą. Ale tak naprawdę to jest wyjście, które można za sobą zamknąć.

Śmierć pokazał ręką, w której wciąż się szarpał rozgniewany do wrzenia Rozbój.

W TAMTĄ STRONĘ. MUSISZ PRZEJŚĆ PRZEZ PUSTYNIĘ.

- Aż do gór?

TAK, ALE TĘ DROGĘ MOŻE POKONAĆ TYLKO KTOŚ, KTO NIE ŻYJE.

- Musisz mnie puścić wcześniej czy później, ty przyrządzie do nauki anatomii! - krzyczał Rozbój. - A wtedy tak ode mnie oberwiesz...

- Tutaj były drzwi - powiedziała Akwila.

OCH TAK, przyznał Śmierć. LECZ SĄ PEWNE ZASADY TO BYŁO WEJŚCIE.

- Jaka to różnica?

PRZYKRO MI, ALE PODSTAWOWA. MUSISZ SIĘ ZOBACZYĆ WYCHODZĄCĄ. TYLKO NIE USYPIAJ TUTAJ. W TYM MIEJSCU SEN TRWA WIECZNIE.

Śmierć zniknął. Rozbój upadł na piasek, zerwał się, gotów do walki, ale nie było już nikogo.

- Musisz zrobić wyjście - oświadczył.

- Nie wiem jak! Mówiłam ci, żebyś tutaj ze mną nie wchodził. A czy ty potrafisz wyjść?

- Pewnie tak. Ale chciałbym ciebie widzieć bezpieczną. Wodza nałożyła na mnie powinność. Muszę uratować wiedźmę wzgórz.

- Joanna tak ci powiedziała?

Akwila znowu osunęła się na piasek, który zawirował wokół niej jak fontanna.

- Nigdy stąd nie wyjdę. Wejść wcale nie było trudno...

Rozejrzała się. Choć nie było to widoczne na pierwszy rzut oka, potrafiła dostrzec zmiany światła, które pojawiały się co jakiś czas, i to że piasek się nieco unosił w powietrze.

To mijają ją ludzie, których ona nie może zobaczyć. Umarli idą przez pustynię sprawdzić, co kryje się za górami.

Mam jedenaście lat, pomyślała. Znajomym będzie przykro. Przypomniała sobie farmę, tatę i mamę. Jak oni zareagują? No bo na dodatek nie będzie ciała, prawda? Więc uchwycą się nadziei, że wróci... tak jak stara pani Zdarzec z ich wioski, która co noc stawia świecę w oknie dla swego zaginionego przed trzydziestu laty na morzu syna.

Czy Rozbój nie mógłby przenieść wiadomości? Ale co niby miała przekazać? Nie umarłam, zostałam tylko uwięziona...

- Powinam była myśleć o innych - powiedziała na głos.

- No cóż, to właśnie zrobiłaś. - Rozbój usiadł przy jej stopach.

- Twój Artur odszedł szczęśliwy i wielu dzięki temu nie umrze. Zrobiłaś to, co musiałaś zrobić.

Tak, pomyślała Akwila. To właśnie trzeba było zrobić. I nie ma nikogo, kto by cię ochraniał, ponieważ to jest właśnie twoje zadanie.

A jej druga myśl odezwała się: Jestem zadowolona, że to zrobiłam. I zrobiłabym to raz jeszcze. Współzyc już nikogo więcej nie zabije, chociaż przyprowadziłyśmy go wprost na Próby.

Po tej myśli powinna się pojawić następna, lecz Akwila była zbyt zmęczona. Choć czuła, że myśl jest ważna.

- Dziękuję, że przyszedłeś ze mną, Rozbóju – udało jej się jeszcze powiedzieć. - Kiedy stąd... kiedy stąd wyjdiesz, gnaj prosto do Joanny i powiedz, jaka jestem wdzięczna, że cię przysłała. Powiedz, że żałuję, że nie mogłam jej poznać lepiej.

- No tak. Chłopaków już odesłałem. Na mnie czeka Hamisz.

W tym momencie pojawiły się i otworzyły drzwi.

Weszła babcia Weatherwax.

- Niektórzy tracą cały rozsądek, z jakim się urodzili. Chodźcie, i to już! - rozkazała. Drzwi za nią zaczęły się zamykać, ale obróciła się i wsadziła but, krzycząc: - O, ani mi się waży!

- Ale... myślałam, że są zasady! - wykrzyknęła Akwila, zrywając się na równe nogi. Rzuciła się do przodu, nagle nie czując w ogóle zmęczenia.

- Naprawdę? - zapytała babcia. - Czy coś podpisałaś? Składałaś jakąś przysięgę? Nie? W takim razie to nie są twoje zasady. A teraz szybko. I pan też, panie Bój.

Rozbój przeskoczył przez jej but tuż przed tym, jak drzwi się zamknęły. Usłyszeli trzask, potem drzwi zniknęły, a oni stali... oświetleni martwym światłem, w szarym powietrzu.

- To nie potrwa długo - wyjaśniła babcia Weatherwax. - Za zwyczaj nie trwa. Świat musi wrócić w swe kontury. No, nie patrzcie tak na mnie. Pokazaliście mu drogę, prawda? Z litości. Cóż, ja już tę drogę znam. A wy będziecie ją wydeptywać jeszcze nieraz dla jakichś biednych duszyczek, otwierać drzwi, których nie mogą znaleźć. Ale nie wolno o tym rozmawiać, rozumiano?

- Panna Libella nigdy...

- Mówiłam już, że nie rozmawiamy o tym - oświadczyła dobitnie babcia Weatherwax.

- Czy wiesz, na czym częściowo polega bycie wiedźmą? Na wyborach, które są nieuniknione. Trudnych wyborach. Ale poradziście sobie... całkiem dobrze. W litości nie ma nic złego.

Straciła kilka trawek, które przyczepiły się do jej sukienki.

- Mam nadzieję, że niania Ogg już się zjawiała - powiedziała. - Muszę wziąć od niej receptę na jabłkowy chutney. Aha... kiedy wrócimy, możecie być trochę oszołomieni. Bądźcie na to przygotowani.

- Babciu - odezwała się Akwila, kiedy światło zrobiło się jaśniejsze. Wracało do niej także zmęczenie. - Co tam właściwie się wydarzyło?

- A jak myślisz?

Światło rozbłysło wokół.

* * *

Ktoś wycierał czoło Akwili wilgotną szmatką. Leżała, czując cudowny chłód. Słyszała wokół siebie głosy, w tym wiecznie narzekającą Annagrammę:

- ...i zrobiła taki bałagan u Zygza. Naprawdę uważam, że ma coś nie po kolei w głowie. Myślę, że po prostu ześwirowała. Wykrzykiwała jakieś słowa i używając jakiegoś, no nie wiem... wiejskiego triku, wmówiła nam, że zamieniła Briana w żabę. Oczywiście mnie nie nabrała ani na chwilę...

Akwila otworzyła oczy i ujrzała nad sobą zatroskaną Petulię, która w tym momencie zawołała:

- Hm... ocknęła się!

Przestrzeń między Akwilą a sufitem zaroila się od spiczastych kapeluszy. Wycofywały się, choć niechętnie, gdy zaczęła się podnosić. Z góry musiało to wyglądać jak czarna stokrotka, która otwiera i zamyka swoje płatki.

- Gdzie ja jestem? - zapytała Akwila.

- W namiocie pierwszej pomocy i zaginionych dzieci - odparła Petulia. - Hm... zemdląłeś, kiedy panna Weatherwax wyprowadziła cię z... z tego miejsca, w którym byłeś. Wszyscy tu już zagłądali, żeby cię zobaczyć.

- Opowiadała, że zaciągnęłaś potwora do Następnego Świata! - wykrzyknęła rozentuzjasmowana Lucy Nawjazd. - Panna Weatherwax wszystkim o tym opowiada.

- Nie, to nie całkiem... - zaczęła Akwila, ale coś dźgnęło ją od tyłu. Sięgnęła tam ręką i wyjęła spiczasty kapelusz. Był prawie szary ze starości i mocno sfatygowany. Zygza czegoś takiego nie śmiałby nigdy nikomu zaproponować, ale pozostałe dziewczęta wpatrywały się w niego niczym głodny pies w rękę rzeźnika.

- Hm, panna Weatherwax dała ci swój kapelusz - szepnęła Petulia. - Jej własny kapelusz.

- Powiedziała, że jesteś urodzoną wiedźmą i że żadna wiedźma nie powinna chodzić bez kapelusza! - dodała Dymitra Hubabuba.

- Miło z jej strony - odparła Akwila. Była przyzwyczajona do donaszania ubrania po innych.

- To tylko stary kapelusz - rzuciła Annagramma.

Akwila podniosła wzrok na wysoką dziewczynę. Na jej twarz powoli wypłynął uśmiech. Uniosła dłoń z rozwartymi palcami. Annagramma cofnęła się.

- O nie! - wykrzyknęła. - Tylko nie to. Nie rób tego! Niech ktoś ją powstrzyma!

- Chciałabyś dostać balon, Annagrammo? - zapytała Akwila, odsuwając stół.

- Nie! Błagam! - Annagramma cofnęła się o kolejny krok i przewróciła się o ławę.

Akwila pomogła jej się podnieść, po czym poklepała ją serdecznie po policzku.

- Kupię ci go - powiedziała. - Tylko proszę, naucz się, co dokładnie oznacza słowo „dosłownie”, dobrze?

- Tak, oczywiście - udało się wykrztusić Annagrammie.

Uśmiech zamarł jej na twarzy.

- Dobrze. Wtedy będziemy przyjaciółkami.

Akwila wróciła po kapelusz.

- Hm, pewnie jesteś ciągle osłabiona - powiedziała Petulia. - Pewnie nie rozumiesz.

- Ja wcale nie byłam naprawdę wystraszona - mówiła Annagramma. - To były żarty.

Nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Czego nie rozumiem? - spytała Akwila.

- Że to jej kapelusz! Ten, który ona nosi! - odpowiedział chór dziewcząt.

- No bo gdyby ten kapelusz potrafił mówić, nie wyobrażasz sobie, jakie historie byś usłyszała - powiedziała Lucy Nawjard.

- To były tylko żarty - tłumaczyła Annagramma nikomu, kto jej słuchał.

Akwila przyjrzała się kapeluszowi. Był bardzo zużyty i niezbyt czysty. Gdyby ten kapelusz potrafił mówić, raczej by mamrotał.

- A gdzie jest teraz babcia Weatherwax? - zapytała.

Dziewczęta wydały kolejne „och”. To zrobiło na nich prawie takie samo wrażenie jak kapelusz.

- Hm... a ona się nie pogniewa, że tak do niej mówisz? - zapytała Petulia.

- Sama mi to zaproponowała.

- Bo myśmy słyszały, że trzeba ją znać, no powiedzmy sto lat, żeby pozwoliła komuś tak do siebie mówić - wyjaśniła Lucy Nawjard.

- Nieważne. - Akwila wzruszyła ramionami. - Czy wiecie, gdzie ona teraz jest?

- Pije herbatę z innymi starymi wiedźmami, paplając o chutneyach i jak to dzisiejsze wiedźmy nie są takie jak dawniej, kiedy one były dziewczynkami - poinformowała ją Lulu Kochana.

- Co?! - Akwila nie wierzyła własnym uszom. - Po prostu pije herbatę?

Młode czarownice popatrzyły na siebie zdumione.

- No... są też i bułeczki. Jeśli to takie ważne.

- Ale ona otworzyła dla mnie drzwi. Drzwi na... do... prowadzące na pustynię! Nie można potem usiąść sobie i po prostu zająć słodkie bułeczki.

- No... te, które widziałam, były w polewie - wyjaśniała dalej Petulia dość już zdenerwowana. - To nie były zwykłe domowe...

- Posłuchaj - odezwała się Lucy Nawjazd - my właściwie niczego nie widziałyśmy. Stałaś otoczona jakąś łuną i nikt nie mógł podejść, potem babcia... pani Weatherwax po prostu stanęła obok, luna nagle zrobiła ziu! - i zniknęła, a ty upadłaś.

- To, czego Lucy nie dopowiedziała - odezwała się Annagramma - to fakt, że nie widziałyśmy, byś gdziekolwiek chodziła. Mówię ci to oczywiście jako przyjaciółka. Była tylko luna, która może być czymkolwiek.

Annagramma będzie kiedyś bardzo dobrą wiedźmą, stwierdziła Akwila. Potrafi opowiadać sobie historie, w które naprawdę wierzy. I potrafi się podnosić jak wańka - wstańka.

- Nie zapominaj, że ja widziałam konia - dodała Harrieta De - Fraud.

Annagramma przewróciła oczami.

- No tak, Harriecie się wydawało, że widzi na niebie coś na kształt konia. Tylko że jak sama mówi, on na konia nie wyglądał.

Wyglądał tak, jak by wyglądał, gdyby się zabrało prawdziwego konia, a zostałyby jego kwintesencja, prawda, Harrieto?

- Wcale tak nie powiedziałam - zachnęła się dziewczynka.

- No... niektórzy ludzie mówili, że widzieli też białego konia, który pasł się na sąsiednim polu - dodała Petulia. - A wiele starych wiedźm opowiadało, że czuło niezwykłą ilość...

- Tak, pewnym ludziom się wydawało, że widzą konia na polu, tylko że już go nie ma - powiedziała Annagramma śpiewnie. Takie go tonu używała, gdy mówiła o czymś w jej opinii niesłychanie głupim. - W tej krainie najwidoczniej konie są bardzo rzadkie. A jeśli był tam koń, to nie biały, tylko siwek.

Akwila przysiadła na skraju stołu, patrząc na swoje kolana. Gniew na Annagrammę pobudził ją nieco, ale teraz wracało zmęczenie.

- Pewnie żadna z was nie widziała małego błękitnego ludzika o rudych włosach, wysokiego na jakieś sześć cali? - zapytała cicho.

- Pewnie żadna? - Głos Annagrammy aż ociekał złościwością i satysfakcją.

Odpowiedziało im gremialne „nie”.

- Przykro mi, Akwilo - powiedziała Lucy.

- Nie martw się - dorzuciła Annagramma. - Pewnie wsiadł na białego konia i odjechał.

To będzie znowu tak jak z Krainą Baśni, pomyślała Akwila. Nawet mnie nie wydaje się to już całkiem realne. Dlaczego ktoś miałby mi uwierzyć? Ale musiała spróbować.

- Tam były ciemne drzwi - mówiła powoli - a za nimi pustynia czarnego piasku i było dość światła, mimo że świeciły tylko gwiazdy na niebie. I był Śmierć. Rozmawiałam z nim..

- Naprawdę z nim rozmawiałaś? - musiała się wtrącić Annagramma. - I co ci powiedział? Módl się?

- Nie mówił o modlitwie. Nie rozmawialiśmy aż tak wiele. Ale nie wiedział, co to jest antaba.

- Odmiana żurawia, prawda? - zapytała Harrieta.

Zapanowała cisza, dochodziły tylko odgłosy z zewnątrz.

- To nie twoja wina - powiedziała Annagramma najprzyjaźniejszym w jej mniemaniu tonem. - Jest tak, jak mówiłam. Panna Weatherwax miesza ludziom w głowach.

- A co z luną? - zapytała Lucy.

- To był najprawdopodobniej piorun kulisty - wyjaśniła Annagramma. - Rzadkie zjawisko, ale się zdarza.

- Przecież wszyscy walili w to, nawet młotkami, było twarde jak lód.

- Phi, pewnie było zimne jak lód... - wyjaśniła natychmiast Annagramma - i jeszcze... oddziaływało na mięśnie ludzi. Chcę tylko pomóc - dodała. - Trzeba zachować zdrowy rozsądek. Ona tam po prostu stała. Widziałyście ją. Nie było żadnych drzwi ani pustyni. Tylko ona.

Akwila westchnęła. Czuła się taka zmęczona. Marzyła jedynie tym, by się gdzieś schować. Tak bardzo chciałaby pójść do domu. I poszłaby, gdyby buty nie stały się nagle strasznie niewygodne.

Podczas gdy dziewczęta się kłóciły, rozwiązała sznurowadła i wytrząsnęła jeden. Wysypał się srebrno - czarny pył. Kiedy drobinki dotknęły ziemi, odbiły się od niej i uniosły w powietrze jak mgła.

Dziewczęta patrzyły oniemiałe. Potem Petulia wyciągnęła rękę i złapała trochę pyłu. Lśniące drobiny przepłynęły przez jej palce. Opadały powoli jak puch.

- Czasami idzie coś nie tak - odezwała się jakimś dalekim głosem. - Panna Czarnykapstur mówiła mi. Czy któraś z was była w takim miejscu, gdzie przebywają starzy umierający ludzie?

Odpowiedziało jej jedno lub dwa skinienia głową, ale żadna dziewczynka nie odrywała wzroku od pyłu.

- Czasami idzie coś nie tak - zaczęła Petulia jeszcze raz. - Czasami umierają, ale nie mogą odejść, ponieważ nie znają Drogi. Po wiedziała mi, że wtedy potrzebują, byśmy byli blisko i pomogły odnaleźć drzwi, bo inaczej pobłądzą w ciemnościach.

- Petulio, nie powinnyśmy o tym mówić, przecież wiesz - łagodnie przerwała jej Harrieta.

- Nie! - Petulia była purpurowa na twarzy. - To jest właśnie czas, byśmy o tym porozmawiały, właśnie tutaj i właśnie my! Ponieważ ona mówi, że jest to ostatnia rzecz, jaką możesz dla kogoś zrobić. Opowiadała, że znajdują tam czarną pustynię, którą muszą przejść, gdzie piasek...

- Też! Pani Skorek nazywa to czarną magią. - Głos Annagrammy wbił się w jej słowa ostro jak nóż.

- Naprawdę? - marzycielsko odpowiedziała Petulia, patrząc na unoszący się piasek. - No cóż, panna Czarnykapstur twierdzi, że nie kiedy księżyc jest światłem, a kiedy indziej cieniem, a jednak musi my pamiętać, że wciąż jest to ten sam księżyc. I... Annagrammo?

- Tak?

Petulia wzięła głęboki wdech.

- Żebyś już nigdy nie ośmieliła mi się przerywać. Nie waż się.

I mówię to poważnie.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

PRÓBY CZAROWNIC

A potem... potem wreszcie odbywały się Próby. Ostatecznie to było głównym punktem dnia. Ale kiedy Akwila ukazała się w wianuszkach dziewcząt, usłyszała wiele szeptów, które zły się w pytanie: Czy warto je teraz przeprowadzać? Po tym co się wydarzyło?

Mimo wszystko ludzie utworzyli z lin rodzaj ringu, a co starsze wiedźmy stawiały sobie krzeselka, żeby być blisko, więc wszystko wskazywało na to, że Próby się odbędą. Akwila przeszła pod liną, znalazła miejsce i usiadła na trawie. Kapelusz babci Weatherwax postawiła przed sobą.

Zdawała sobie sprawę z ciągnącej za nią gromady dziewcząt, jak też z szeptów wymienianych w tłumie.

...Naprawdę to zrobiła... Nie mów!... Całą drogę do pustyni... Widziała pył... mówią, że miała go pełne buty...

Wśród wiedźm plotki przenoszą się szybciej niż zakaźna choroba. Dla wiedźm plotki są niczym pieniądze.

Nie było sędziów, nie było nagród. Próby nie na tym polegają, powiedziała Petulia. Chodzi o to, żeby pokazać, co się potrafi zrobić, i żeby ludzie odeszli z przekonaniem, że jest lepiej niż w zeszłym roku. Tutaj nikt nie wygrywa.

A jeśli ktoś w to uwierzył, to równie dobrze mógłby uwierzyć, że księżyc posuwa się po niebie pchany przez goblina o imieniu Silny Wilber.

Prawdą było, że zazwyczaj pokazy otwierała jedna ze starszych wiedźm, pokazując skomplikowaną, ale niezaskakującą nikogo sztuczkę, którą już wszyscy kiedyś widzieli, ale nadal podziwiali. To przełamywało lody. W tym roku była to stara dobra Dreptacz ze swą śpiewającą i tańczącą myszą.

Akwila nie patrzyła na mysz. Po drugiej stronie ringu, niczym królowa na tronie, siedziała na krześle w otoczeniu innych starych wiedźm babcia Weatherwax.

Szepty nie ustawały. Może otwarcie oczu spowodowało u Akwili również dodatkowe otwarcie uszu, bo wydawało jej się, że dochodzi do niej każdy szept wypowiedziany wokół.

...I to bez żadnego treningu, po prostu to zrobiła... widziałaś tego konia? Nie widziałam żadnego konia!... Nie tylko otworzyła drzwi, ale weszła przez nie!... Tak, ale kto ją sprowadził z powrotem? Esme Weatherwax, oczywiście!... Tak, zawsze to powtarzam, byle głupek potrafi otworzyć drzwi, wystarczy łut szczęścia, ale żeby sprowadzić kogoś z powrotem, na to potrzeba prawdziwej wiedźmy, oto zwycięzca... Walczyła z potworem i zostawiła go tam!... Co za dziecko... No to był ten koń, czy go nie było?... Pokażę oczywiście moją sztuczkę z tańczącą miotłą, ale już przepadła, to jasne... Dlaczego pani Weatherwax dała tej dziewczynie swój kapelusz, co? Co chce, byśmy myślały? Nigdy wcześniej przed nikim nie zdjęła go nawet!

Wyczuwało się napięcie, przeskakiwało od jednego czubka kapelusza na drugi jak letnia błyskawica.

Mysz robiła co mogła przy dźwiękach „Zawsze będę puszczać bańki powietrzne”, ale łatwo było poznać, że umysły wiedźm nie są przy niej, choć tańczyła wyprostowana jak struna i z wielkim temperamentem.

Teraz inne wiedźmy pochylały się nad babcią Weatherwax. Akwila widziała, że rozmawiają o czymś z ożywieniem.

- Wiesz, Akwilo - odezwała się Lucy Nawjazzd spoza jej głowy - teraz tylko wystarczy, żebyś wstała i powiedziała, że to zrobiłaś. Wszyscy i tak to już wiedzą. Chodzi mi o to, że nigdy nikt nie zrobił tego na Próbach!

- A już najwyższy czas, by ta stara harpia przegrała - dołożyła się Annagramma.

Przecież ona wcale nie jest zła, pomyślała Akwila. Jest twarda i oczekuje, by inne wiedźmy też były twarde, ponieważ krawędź nie jest miejscem dla ludzi słabych. Dla niej wszystko jest rodzajem próby.

A trzecia myśl podsunęła jej to, czego nie mogła wtedy znaleźć w namiocie: Babciu Weatherwax, ty wiesz, że współzycz przyszedł tutaj tylko dla mnie, prawda? Rozmawiałaś z doktorem Rwetestem, wspominałaś mi o tym. A może wkręciłaś mnie w swoją sztuczkę na dzisiaj? Czy domyślam się wszystkiego? Ile wiem?

- Wygrasz - mówiła Dymitra Hubabuba. - A nawet niektóre starsze wiedźmy chętnie by zobaczyły, jak ktoś uciera jej nosa. Wiedzą, że to, co się wydarzyło, było potężną magią. Wszystkie chaosy zostały pozrywane na wiele mil stąd.

Więc mam wygrać tylko dlatego, że niektórzy ludzie kogoś nie lubią? - pomyślała Akwila. To byłby dopiero powód do dumy...

- Założyłabym się, że ona wstanie - odezwała się Annagramma. - Tylko patrz. Opowie, jak biedne dziecko zostało wciągnięte do Ostatniego Świata przez potwora, a ona je stamtąd przyprowadziła. Sama bym tak zrobiła na jej miejscu.

Tak właśnie podejrzewam, pomyślała Akwila. Ale nie jesteś na jej miejscu, nie jesteś też na moim.

Patrzyła na babcię Weatherwax, która odganiała ręką kilka starych wiedźm.

Ciekawe, pomyślała, czy nie mówią jej właśnie: „Tej małej trzeba trochę utrzyć nosa, panno Weatherwax”. I w chwili gdy to pomyślała, babcia odwróciła się i spojrzała jej w oczy...

Mysz przestała tańczyć, zawstydzona brakiem zainteresowania. Po dobrej chwili ludzie zaczęli bić brawo, ponieważ jest to coś, co się w takiej chwili robi.

Czarownica, której Akwila nie знаła, wyszła na środek ringu, wciąż jeszcze klaszcząc w dłonie w ten przypochlebczy (ręce tuż przy sobie, ramiona wysoko) sposób, w jaki zachęca się publiczność do dalszego aplauzu.

- Wspaniale, Doris, znakomicie ci poszło, jak zawsze zresztą! - zawołała wysokim głosem. - Znaczna poprawa od zeszłego roku, dziękujemy ci bardzo, to było cudowne... znakomite... hm...

Zawahała się, a zza niej wypelzła na czworakach Doris Dreptacz, próbując namówić mysz, by wróciła do swego pudełka. W tłumie widzów kilka kobiet wpadło w histerię.

- No a teraz może... któraś z pań ma ochotę... no... zaprasza na scenę - powiedziała mistrzyni ceremonii głosem tak perlistym, że budził skojarzenie z toczącą się szklaną kulą, która zaraz się rozbije. - Nikt?

Zapanowała kompletna cisza.

- Nie bądźcie takie nieśmiałe! - W głosie kobiety pojawiło się pewne napięcie. To wcale nie jest specjalnie zabawne zorganizować boisko pełne organizatorów. - Nie odznaczamy się skromnością. Może jednak ktoś?

Akwila czuła, że część kapeluszy odwróciła się w jej stronę, a część w stronę babci Weatherwax. Oddalona zaledwie o kilka kroków przez trawę babcia strząsnęła czyjąś rękę z ramienia, nie przerywając wzrokowego kontaktu z Akwilą. Żadna z nas nie ma teraz na głowie kapelusza, pomyślała Akwila. Dałaś mi kiedyś wirtualny kapelusz, babciu Weatherwax, i dziękuję ci za to. Ale dzisiaj go nie potrzebuję. Dzisiaj wiem, że jestem wiedźmą.

- Ależ drogie panie, zapraszam! - Mistrzynie ceremonii nie kryła już zdenerwowania. - To są Próby. Miejsce na przyjacielskie i edukacyjne zmagania w atmosferze braterstwa i dobrej woli! Z pewnością któraś z pań... może któraś z młodych dam..?

Akwila uśmiechnęła się. Nie powinno być braterstwa, tylko siostrzeństwo. Jesteśmy siostrami, proszę pani, nie braćmi.

- Idź, Akwilo! - ponaglała ją Dymitra. - Wszyscy już wiedzą, jaka jesteś dobra.

Akwila potrząsnęła głową.

- No dobrze, wszystko jasne - oświadczyła Annagramma, prze wracając oczami. - Stara harpia pomieszała dziewczynie w głowie, jak zwykle...

- Nie wiem, kto miesza w czyjej głowie - zachnęła się teraz Petulia, podwijając rękawy. - Ale ja zamierzam pokazać świński trik.

Podniosła się, wywołując poruszenie.

- O, widzę, że to będzie... ach, to ty, Petulio - powiedziała mistrzyni ceremonii nieco zawiedziona.

- Tak, panno Gablotko, chciałam pokazać świński trik - oświadczyła głośno Petulia.

- Ale... no... wydaje mi się, że nie wzięłaś ze sobą świni.

- Tak, chcę przedstawić świński trik... bez świni.

To wywołało sensację, okrzyki „Niemożliwe!” oraz „Uwaga, tutaj są dzieci!”.

Panna Gablotka rozejrzała się w poszukiwaniu pomocy, ale ponieważ takowej nie znalazła, powiedziała bezradnie:

- No dobrze. Jeśli jesteś pewna, kochanie...

- Tak. Jestem pewna. Użyję... kielbasy! - Petulia wyciągnęła parówkę z kieszeni. Podniosła ją w górę. To również wywołało sensację.

Akwila nie przyglądała się sztuczce, babcia Weatherwax zresztą też nie. Spojrzenia łączyły je jak stalowa sztaba i nawet panna Gablotka instynktownie nie wchodziła między nie. Lecz Akwila usłyszała westchnienia, potem wszyscy zebrani wstrzymali oddech, a wreszcie zabrzmiały burzliwe oklaski. W tej sytuacji zebrane nagrodziłyby aplauzem wszystko, podobnie jak woda użyłaby jakiegokolwiek dziury, by uciec z wiadra.

A potem wiedźmy już wstawały jedna po drugiej. Panna Libella żonglowała kulami, które zatrzymywały się w powietrzu i tam zmieniały kierunek. Pewna czarownica w średnim wieku zademonstrowała nowy sposób powstrzymania przed udławieniem, co nawet nie wydawało się specjalnie magiczne, dopóki się nie zrozumiało, że zamienianie prawie martwych ludzi w ludzi w pełni żywotnych jest warte dziesiątków innych sztuczek. A potem jeszcze jakaś kobieta zapraszała na scenę kolejne dziewczęta, które pokazywały kolejno duże

sztuki i poręczne sztuczki, i coś, co wywoływało okrzyki, lub coś, co zatrzymywało ból zęba, a przynajmniej eksplodowało...

...i to już najwyraźniej był koniec.

Panna Gablotka wyszła znowu na środek, tym razem prawie pijana ulgą, że w ogóle Próby się odbyły. Jeszcze raz spróbowała zaprosić na ring wiedźmę lub - naprawdę, dziewczętą, nie wstyďte się - adeptkę.

Panowała cisza tak gęsta, że można by było w nią wbijać szpilki.

I wtedy wreszcie powiedziała:

- No dobrze... w takim razie ogłaszam Próby za zakończone i zamknięte. Herbata czeka w dużym namiocie!

Akwila i babcia wstały jak na komendę i ukloniły się sobie. Potem babcia odwróciła się, by włączyć się w tłum zmierzający na herbatę. Ciekawe było zobaczyć, jak tłum się rozstępuje, całkowicie nieświadomie, by zrobić dla niej przejście, niczym morze przed wyjątkowo dobrym prorokiem.

Petulię otaczały młode wiedźmy. Świński trik udał się bardzo dobrze. Akwila stanęła w kolejce, by ją uściskać.

- Ale to ty byś wygrała! - Petulia była czerwona na twarzy z emocji.

- To nie ma żadnego znaczenia. Naprawdę nie ma.

- Oddałaś wygraną - odezwał się ostry głos tuż za plecami

Akwili. - Miałas ją praktycznie w rękach i nie sięgnęłaś po nią. I jak się teraz czujesz, Akwilo? Masz ochotę być skromniejszą?

- Teraz ty mnie posłuchaj, Annagrammo! - Petulia wymierzyła w nią rozwścieczony palec.

Akwila sięgnęła i opuściła jej rękę. Potem odwróciła się do Annagrammy i uśmiechnęła tak radośnie, że każdego by to zbiło z tropu.

Chciała jej powiedzieć: Tam, skąd ja pochodzę, organizowane są zawody psów pasterskich. Zawszęd przybywają pasterze, by pokazać, jak wyszkolili swoje owczarki. Nagrodami są srebrne haczyki i pasy wysadzone srebrnymi guzami i różne takie, ale czy wiesz, Annagrammo, co jest największą nagrodą? Nie, ty tego nie wiesz. Są tam też sędziowie, ale jeśli chodzi o tę największą nagrodę, oni się również nie liczą. Jest tam... była niepozorna stara dama, która zawsze siadała na przedzie, pochylała się nad płótkami z fajką w zębach, a u jej nóg siedziały dwa najwspanialsze psy, jakie się kiedykolwiek urodziły. Nazywały się Grzmot i Błyskawica, poruszały się tak szybko, że wzniecały w powietrzu ogień, a ich futra lśniły w słońcu, ale ona nigdy nie wystawiała ich w zawodach. Wiedziała

owcach więcej, niż nawet wie owca. I tym, czego każdy młody pasterz pragnął, ale tak naprawdę, nie był żaden srebrny haczyk czy pas, tylko zobaczyć, jak ona wyjmuje z ust fajkę i cicho mówi „nie źle, nieźle”, ponieważ dopiero to oznaczało, że on jest już prawdziwym pasterzem i wszyscy pasterze też to wiedzieli. A gdybyś zaproponowała mu, by ją wyzwiał, przekląłby ciebie, tupnął nogą powiedział, że wołałby splunięciami zgasić słońce. Jak mógłby kiedykolwiek wygrać? Ona była kwintesencją pasterstwa. To było jej całe życie. Gdyby coś jej odebrał, odebrałby to sobie. Nie rozumiesz tego, prawda? Ale to jest właśnie serce, dusza i kwintesencja wszystkiego. Dusza i kwintesencja!

Jej przemowa poszła na marne, więc Akwila powiedziała tylko:

- Zamknijże się wreszcie, Annagrammo. Chodźmy zobaczyć, czy nie zostały jakieś bułeczki.

Ponad jej głową rozległ się krzyk myszołowa. Podniosła wzrok.

Ptaka obrócił się i rozpoczął pościg z wiatrem w długim ślizgu, kierując się w stronę domu.

Tam zawsze był ich dom.

* * *

Joanna otworzyła oczy nad kociółkiem.

- Wracaj do domu! - wykrzyknęła, gramoląc się na nogi. Pomachała niecierpliwie dłonią do przyglądających się Figli. - Co tak stoicie i gapicie się? Złapcie mi tu zaraz jakiegoś królika do upieczenia. Przygotujcie palenisko. I nagotujcie wody, bo zamierzam wziąć kąpiel. Spójrzcie tylko, jak tu wygląda, toż to chlew! Bierzcie się do sprzątania. Chcę, żeby dla Wielkiego Człowieka wszystko błyszczało! I ukradnijcie trochę Specjalnego Płynu dla Owiec! Natnijcie zielonych gałęzi ostrokrzewu i cisu! Wypolerujcie mi wszystkie złote talerze, żeby błyszczały. Cały ten kopiec ma aż lśnić! Na co jeszcze czekacie?

- No... co mamy zrobić najpierw, wodę? - pytały nerwowo Figle.

- Macie zrobić to wszystko naraz.

W jej komorze napełnili wazę na kąpiel. Wodza szorowała się, używając starej szczoteczki do zębów Akwili, i przysłuchiwała się, jak Figle ciężko pracują, wykonując polecenia i bez przerwy wchodząc sobie w drogę. Kopiec zaczął wypełniać zapach pieczonego królika.

Joanna włożyła swoją najlepszą sukienkę, uczesała włosy, wzięła szal i wyszła na zewnątrz. Stała tak, przyglądając się górą, aż po jakiejś półgodzinie mały punkcik na niebie zaczął rosnąć i rosnąć.

Jako wódza zamierzała powitać wojownika. Jako żona ucałuje go i będzie mieć za złe, że tak długo go nie było. Jako kobieta rozpywała się z ulgi, wdzięczności i radości.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

KRÓLOWA PSZCZÓŁ

Tak więc pewnego popołudnia, jakiś tydzień później, Akwila wybrała się w odwiedziny do babci Weatherwax.

To było tylko piętnaście mil, mierząc długością lotu, a ponieważ Akwila nadal nie przepadała za lataniem, panna Libella poleciała razem z nią.

Niewidzialna część panny Libelli. Akwila po prostu leżała płasko na kiju, obejmując go ramionami, udami i kolanami, a jeśli to możliwe - nawet uszami. Miała ze sobą dużą papierową torbę, na wypadek gdyby zwracała, ponieważ nikt nie lubi anonimowych zwrotów. Trzymała też duży worek jutowy, który traktowała bardzo ostrożnie.

Nie otworzyła oczu aż do chwili, gdy świszczanie umilkło, a inne odgłosy powiedziały jej, że najprawdopodobniej znajduje się już blisko ziemi. Prawdę mówiąc, panna Libella zachowała się nadzwyczaj rozsądnie. Dziewczynka spadła, ponieważ nogi zdrętwiały jej w czasie jazdy w tej dziwnej pozycji, prosto na mięciutki mech.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy już się podniosła. Wiedziała, że zawsze warto być szczególnie uprzejmym w towarzystwie osób, których nikt nie dostrzega.

Miała na sobie nową sukienkę. Zieloną, podobnie jak poprzednią. Skutkiem skomplikowania świata dobrych uczynków i zobowiązań, w jakim żyła panna Libella, dostały cztery jardy bardzo dobrego materiału (za przyjęcie na świat synka panny Prędkiej) i kilka godzin szycia (noga pani Łowczej ma się już znacznie lepiej, dziękuję). Czarne ubrania na razie odłożyła. Kiedy będę stara, zacznę się ubierać jak noc, postanowiła. Na razie miała dość wszystkiego co ciemne.

Rozejrzała się po polanie leżącej na lekkim wzniesieniu, z trzech stron otoczonej przez dęby i klony, ale z czwartej otwartej na stok, skąd roztaczał się piękny widok na wiele mil wokół. Klony gubiły właśnie nasionka, które wirowały leniwie nad ścieżką prowadzącą przez

ogród. Nie miał płotu, choć w pobliżu pasły się kozy. Tylko ktoś, kto by zapomniał, kim jest właścicielka tego domu, zdziwiłby się, dlaczego kozy nie robią szkód w ogródku. Była też studnia. No i oczywiście chatka.

Z pewnością chatka nie spodobałaby się pani Skorek. Wyglądała bowiem jak wyjęta z bajki. Ściany pochylały się ku sobie, wspomagając swój trud, strzecha obsunęła się nieco jak źle włożona peruka, a kominy przypominały korkociągi. Nie była to chatka z piernika, lecz bardzo ją przypominała.

Głęboko w lesie, w małej chatce mieszka zła stara czarownica...

Ten domek wyglądał dokładnie jak z najstraszniejszej bajki. Po drugiej stronie domku stały ule, niektóre bardzo wiekowe, ze słomy, ale większość już z drewna. Rozbrzmiewały aktywnością mimo późnej pory roku.

Akwila podeszła, żeby je obejrzyć, a wtedy pszczoły wyroily się czarnym strumieniem. Zbliżyły się do Akwili, uformowały kolumnę i...

Roześmiała się. Utworzyły tuż przed nią postać czarownicy, tysiące pszczoł wiszących na odpowiednich miejscach. Akwila podniosła prawą rękę. Bzyczenie się wzmogło i wiedźma z pszczoł również wyciągnęła ku niej dłoń. Akwila obróciła się dookoła, a pszczoły starannie kopiowały każdy jej ruch i ruch jej sukienki (te na brzegach rozpaczliwie brzęczały, bo zawsze miały najdłuższą drogę).

Akwila delikatnie odłożyła duży worek i wyciągnęła obie dłonie do postaci. Kształt z szumem skrzydełek stał się na chwilę po prostu chmurą pszczoł, ale potem przeformował się kawałek dalej, ale z rękami wyciągniętymi w jej stronę. Pszczoła, która stanowiła koniec palca, znalazła się dokładnie naprzeciwko koniuszka palca Akwili.

- Zatańczymy? - spytała dziewczynka.

Na polanie pełnej wirujących nosków klonowych wirowała wraz z rojem. Szło mu bardzo dobrze, pozostawał na wyciągnięcie dłoni i obracał się, kiedy ona się obracała, choć zawsze kilka pszczoł przyspieszało, by nadążyć.

Potem rój podniósł obie ręce nad głowę i zakręcił się w przeciwną stronę, pszczoły w spódnicy rozkładały się jak rozwiane. Uczyły się.

Akwila zaśmiała się i zrobiła to samo. Rój i dziewczynka wirowali po polanie.

Czuła się taka szczęśliwa! Nie wiedziała, czy kiedykolwiek wcześniej wypełniało ją tak doskonałe szczęście. Złote światło, opadające nasionka, tańczące pszczoły... wszystko to stanowiło jedność. I było przeciwieństwem czarnej pustyni. Tutaj było tylko światło, które napełniło również jej wnętrze. Czuła siebie w tym miejscu, a jednocześnie potrafiła zobaczyć

się z góry, wirującą z brzęczącym cieniem pełnym złotych błysków, kiedy słońce oświetlało pszczoły. Takie chwile jak ta liczą się za wszystkie inne.

Potem wiedźma ułożona z pszczoł nachyliła się w stronę Akwili, jakby przyglądając się jej tysiącem małych kasetonowych oczu. Z wnętrza roju rozległ się cichy melodyjny dźwięk i pszczoła czarownica eksplodowała w gwałtownie powiększającą się brzęczącą chmurę owadów, które pospiesznie opuszczały polanę i po chwili znikły. Teraz tylko poruszały się klonowe noski wirujące w kierunku ziemi.

Akwila wypuściła oddech.

- No cóż, są tacy, którzy uznaliby to za dość przerażające - rozległ się głos za nią.

Akwila nie obejrzała się, tylko najpierw powiedziała:

- Dzień dobry, babciu Weatherwax. - Dopiero wtedy się odwróciła. - Czy kiedykolwiek to robiłaś? - zapytała, wciąż oszołomiona rozkoszą.

- To niegrzeczne zaczynać od pytania. Chodź, napijemy się herbaty - odparła babcia Weatherwax.

Z trudem można było rozpoznać, że ktoś w chatce mieszka. Przy palenisku stały dwa fotele, jeden z nich bujany, a przy stole - dwa krzesła, nie bujane, lecz chybotliwe, ponieważ kamienna podłoga nie była specjalnie równa. Była też komoda i dywanik z gałganków przed dużym kominkiem. Miotła stała oparta w jednym kącie, obok czegoś tajemniczego, długiego i zakrytego materiałem. Na górę prowadziły bardzo wąskie ciemne schody. I to wszystko. Nic tu nie lśniło, nic nie było nowe i nic zbędne.

- I czemuż to zawdzięczam przyjemność tej wizyty? - zapytała panna Weatherwax, sięgając po osmolony czajnik, by napełnić równie czarny dzbanek.

Akwila otworzyła torbę, którą przyniosła ze sobą.

- Przyleciałam, żeby zwrócić pani kapelusz.

- Ach tak? A to dlaczego?

- Ponieważ to jest pani kapelusz - odparła Akwila, kładąc go ostrożnie na stole. - Ale dziękuję, że mi go pani pożyczyła.

- Idę o zakład, że mnóstwo młodych wiedźm miało by chrapkę na mój stary kapelusz - stwierdziła babcia, sięgając po zniszczone nakrycie głowy.

- Z pewnością, ale mnie się wydaje, że każda z nas powinna znaleźć własny kapelusz. Odpowiedni akurat dla niej.

- I widzę, że teraz nosisz taki kupiony w sklepie - powiedziała babcia Weatherwax. - Jeden z Drapaczy Chmur. Z gwiazdkami - dodała, a w tym słowie było tyle jadu, że

roztopiłby miedź, a potem spadł przez stół i roztopił jeszcze więcej miedzi pod spodem w piwnicy. - Myślisz, że przez to będzie bardziej magiczny? Gwiazdy?

- Ja... kiedy kupowałam, to tak właśnie myślałam. Na jakiś czas się nada.

- Dopóki nie znajdziesz odpowiedniego?

- Tak.

- Ale mój nim nie jest?

- Nie.

- Dobrze.

Stara czarownica przeszła przez pokój i ściągnęła materiał z rzeczy stojącej w kącie. Ukazał się długi drewniany stożek, dokładnie w wymiarze spiczastego kapelusza. Kapelusz był.. upinany na nim za pomocą cienkich witek wierzbowych, szpilek i sztywnego czarnego materiału.

- Sama robię moje kapelusze - powiedziała babcia Weatherwax. - Co roku. Nie ma lepszego kapelusza od takiego własnej roboty. Przyjmij moją radę. Dzięki plecionce z brzozy jest nieprzemakalny. Trudno sobie wprost wyobrazić, co możesz włożyć do kapelusza, jeśli sama go robisz. Ale nie przyszedł po to, żeby rozmawiać o kapeluszach.

Akwila zdobyła się wreszcie na pytanie:

- Czy to się wydarzyło naprawdę?

Babcia Weatherwax sięgnęła po filiżankę i spodek, potem naala trochę herbaty do filiżanki i trochę na spodeczek. Robiła to z uwagą, jakby wykonywała ważne i wymagające precyzji zadanie. Lekko podmuchała na bursztynowy płyn. Robiła to wolno i spokojnie, a Akwila z całych sił starała się pohamować niecierpliwość.

- Współżycz się już potem nie pokazał? - zapytała babcia.

- Nie. Ale...

- A wtedy jak to odczuwałaś? Kiedy to wszystko się działo? Czy czułaś, że dzieje się naprawdę?

- Nie - odparła Akwila. - Bardziej niż naprawdę.

- No widzisz. - Babcia Weatherwax upiła herbaty ze spodeczka. - A odpowiedź brzmi: jeśli nie było to prawdziwe, nie było też fałszywe.

- Jak sen, kiedy jest się już prawie przebudzonym i można na niego wpływać. Znasz, babciu, to uczucie? - zapytała Akwila. - Jeśli się jest bardzo uważnym, to działo. To było jak opowiadanie samej sobie opowieści...

- Bo zawsze chodzi o opowieść - przytaknęła babcia. - Wszystko jest opowieścią. Nawet to, że słońce wstaje co rano. Wszystko ma swoją historię. Jeśli ją zmienisz, zmienisz świat.

- A jaki był twój plan na pokonanie współzycza? Proszę, muszę to wiedzieć!

- Mój plan? - zdziwiła się niewinnie babcia. - Mój plan polegał na tym, żebyś ty sobie z nim poradziła.

- Naprawdę? W takim razie co byś zrobiła, gdyby mi się nie udało?

- Zrobiłabym wszystko co w mojej mocy - odpowiedziała spokojnie babcia Weatherwax. - Zawsze tak robię.

- Czy zabiłabyś mnie, gdybym znowu się stała współzyczem? Czarownicy spodeczek nawet nie drgnął w dłoni. Spoglądała w zadumie w herbatę.

- Uratowałam cię, gdybym tylko mogła - powiedziała wreszcie. - Ale nie musiałam nic robić, prawda? Próby były najlepszym na to miejscem. Wierz mi, czarownice, kiedy już muszą, potrafią działać wspólnie. Trudniej je zgrać niż stado kotów, ale niekiedy się udaje.

- Tylko tak sobie myślę... że zamieniliśmy to w mały spektakl.

- O nie. Urządziłyśmy wielki spektakl! - stwierdziła z wielkim zadowoleniem babcia Weatherwax. - Grzmoty i błyskawice, i białe konie, i cudowne uratowanie! To wszystko za jednego pensa! Nauczysz się jeszcze, dziewczyno, że odrobina widowiska od czasu do czasu dobrze przysłuży się twojej reputacji. Wydaje mi się, że panna Libella już się o tym dowiedziała, teraz potrafi żonglować piłkami i w tym samym momencie podnosić kapelusz. Możesz mi wierzyć!

Delikatnie popiła herbaty ze spodeczka, potem skinęła głową w stronę starego kapelusza leżącego na stole.

- Czy twoja babcia nosiła kapelusz?

- Co? No... raczej nie - odparła Akwila, wciąż myśląc o wielkim widowisku. - Kiedy pogoda była bardzo zła, zarzucała na głowę stary worek jak kaptur. Mówiła, że kapelusze nie chodzą w parze z wiatrem na wzgórzach.

- Czyli niebo było jej kapeluszem - stwierdziła spokojnie babcia Weatherwax. - A czy miała płaszcz?

- Pasterze mawiali, że jeśli się zobaczy babcię Dokuczliwą w płaszczu, to znaczy, że wiatr przegania skały! - oświadczyła z dumą Akwila.

- Czyli wiatr był jej płaszczem. To wielka umiejętność. Deszcz nie pada na wiedźmę, która sobie tego nie życzy, chociaż ja wolę zmoknąć i być wdzięczna.

- Za co wdzięczna?

- Że wyschłam. - Babcia Weatherwax odstawiała spodek i filiżankę. - Dziecko, przyszedł tu, by się dowiedzieć, co jest prawdą, a co nie, ale niewiele mogę cię nauczyć ponad to, co już umiesz. Ty tylko jeszcze nie wiesz, że wiesz, dlatego resztę życia poświęcisz nauczenie się tego, co już masz w swoich kościach.

Popatrzyła na ufną twarz Akwili i westchnęła.

- Wyjdźmy - powiedziała. - Udzielę ci pierwszej lekcji. A jest to lekcja jedyna. Nie potrzeba zapisywać jej w żadnej książce.

Poprowadziła dziewczynkę do murku z tyłu ogrodu, rozejrzała się wokół i podniosła patyk.

- Magiczna różdżka. Popatrz. - Zielony płomień strzelił z patyka, aż Akwila podskoczyła. - Teraz ty spróbuj.

Akwili nic nie wychodziło, żeby nie wiem jak bardzo próbowała.

- Oczywiście, że nic się nie dzieje - stwierdziła babcia. - Przecież to tylko kijek. A teraz zastanów się, czy rzeczywiście spowodowałam, że strzelił z niego płomień, czy może raczej spowodowałam, żebyś tak myślała. To nie ma żadnego znaczenia. Bo tak czy siak, ja to powoduję, nie kijek. Jeśli nastawisz umysł jak należy, zamienisz kijek w różdżkę, niebo w swój kapelusz, a kałużę w magiczną... magiczną... jakżeż się nazywają te wymyślne filiżanki?

- No... chodzi pani o czarę? - zapytała Akwila.

- No właśnie, magiczną czarę. Rzeczy nie mają znaczenia. Ludzie tak. - Babcia Weatherwax spojrzała przelotnie na dziewczynkę. - Mogę cię nauczyć, jak gonić po wzgórzach z zającami, jak latać nad nimi z mysołowem. Mogę ci opowiedzieć sekrety pszczoł. Mogę nauczyć cię tego i wiele, wiele więcej, jeśli zrobisz coś tutaj i teraz. Jedną prostą rzecz.

Akwila przytaknęła w oszołomieniu.

- Rozumiesz, że wszystkie te świecidełka są tylko zabawkami, a zabawki mogą cię sprowadzić na manowce?

- Tak!

- W takim razie zdejmij swego lśniącego konika, który nosisz na szyi, i wrzuć go do studni.

Akwila posłusznie, jak zahipnotyzowana, sięgnęła ku szyi i odpięła łańcuszek. Kiedy wyciągnęła rękę ponad studnię, srebrny koń załśnił. Patrzyła na niego, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu. I wtedy...

Ona sprawdza ludzi, pomyślała. Przez cały czas.

- Więc jak? - zapytała wiedźma.

- Nie - odparła Akwila. - Nie mogę.

- Nie mogę czy nie zrobię? - zapytała ostro babcia.

- Nie mogę. - Akwila hardo uniosła podbródek. - I nie zrobię!

Szybko cofnęła rękę i zapięła naszyjnik, spoglądając buntowniczo.

Babcia Weatherwax się uśmiechnęła.

- Dobrze załatwione - oświadczyła cicho. - Bo jeśli nazbyt boisz się błędzić, nigdzie nie zajdziesz. Czy mogłabym go obejrzyć?

Akwila spojrzała wiedźmie prosto w oczy. Potem rozpięła łańcuszek i podała jej naszyjnik. Czarownica uważnie się mu przyjrzała.

- To zabawne, kiedy pada na niego światło, wygląda, jakby galopował - powiedziała, machając nim lekko. - Dobra robota. Oczywiście nie przypomina wcale konia, ale jest kwintesencją konia.

Akwila patrzyła na nią z otwartą buzią. Przez moment stała przed nią uśmiechnięta babcia Dokuczliwa, a po chwili z powrotem była babcia Weatherwax. Czy to ona zrobiła, czy może ja sama? - zastanowiła się. I czy ośmielę się tego dowiedzieć?

- Nie przyjechałam tylko po to, by oddać pani kapelusz - udało jej się wykrztusić. - Przywiozłam też prezent.

- Jestem pewna, że nikt nie zasługuje na to, by przynosić mi prezent - skrzywiła się babcia Weatherwax.

Akwila, wciąż oszołomiona, nie zwróciła na to uwagi. Sięgnęła znowu do worka, skąd wydobyła małą, miękką paczuszkę, która zmieniała kształt wraz z dotknięciem ręki.

- Odniosłam większość rzeczy z powrotem do pana Wręcemocnego - powiedziała. - Ale pomyślałam sobie, że to... mogłoby się pani przydać.

Staruszka wolno odwinęła biały papier. Lekki Zefir rozwinął się pod jej palcami i uleciał w powietrze niczym dym.

- Jest śliczny, ale nie mogłabym go nosić - powiedziała Akwila, a płaszcz rozłożył się na całą swą szerokość. - Potrzeba gratacji, żeby nosić coś takiego.

- Co to jest gratacja?

- No... wdzięk. A do tego godność, powaga, mądrość i tak dalej - powiedziała Akwila.

- Aha. - Babcia odprężyła się nieco. Patrzyła na łagodnie falujący materiał i pociągnęła nosem. Lekki Zefir to naprawdę coś cudownego. Magowie osiągnęli przynajmniej jedno, tworząc ten płaszcz. Potrafił wypełnić dziurę w życiu, o której nawet nie wiesz, dopóki go nie zobaczysz.

- No cóż, przypuszczam, że są tacy, którzy mogą nosić coś podobnego, i tacy, którzy nie mogą - doszła do wniosku. Pozwoliła, by materiał owinał się jej wokół szyi, gdzie spięła go broszką w kształcie krzyża. - To trochę nazbyt wspaniałe dla kogoś takiego jak ja. I zbyt wymyślne. Wyglądałabym w tym jak trzpiotka. - Zostało to powiedziane jak stwierdzenie, a jednak na końcu pojawiło się coś na kształt znaku zapytania.

- Nieprawda - powiedziała Akwila pogodnie. - Świetnie do pani pasuje. Jeśli się nie wie, kiedy trzeba być człowiekiem, nie wie się także, kiedy być wiedźmą.

Ptaki zamilkły. Wysoko na drzewach umknęły wiewiórki. Nawet niebo przez chwilę wydało się jakby ciemniejsze.

- No... tak słyszałam - udało się powiedzieć Akwili. Po chwili dodała: - Od kogoś, kto zna się na rzeczy.

Błękitne oczy wwierały się w nią. Przed babcią Weatherwax nie można było mieć tajemnic. Cokolwiek się powiedziało, rozumiała prawdziwe znaczenie.

- Może wpadniesz do mnie jeszcze kiedyś - zaproponowała w pół obrotu, przyglądając się, jak wiatr rozwiewa połę płaszcza. - Tu zawsze jest bardzo spokojnie.

- Bardzo bym chciała - odparła dziewczynka. - Czy mam wcześniej zawiadomić pszczoły, byś mogła mieć, babciu, gotową herbatę?

Przez chwilę babcia piorunowała ją spojrzeniem, ale nagle na jej twarzy pojawił się kwaśny uśmiech.

- Jesteś sprytna - stwierdziła.

Co się w tobie kryje? - zastanawiała się Akwila. Jaka jesteś naprawdę? Czy rzeczywiście chciałaś, żebym nosiła twój kapelusz? Udajesz wielką złą czarownicę, a to wcale nie jesteś ty. Sprawdzasz ludzi przez cały czas, wystawiasz ich na próby, ale chcesz przecież, żeby okazali się na tyle sprytni, by z tobą wygrali. Trudno być najlepszą. Nie wolno ci się zatrzymać. Jesteś nazbyt dumna, by przegrać. Duma! Zamieniłaś ją w ogromną siłę, ale ona zjada także ciebie. Czy boisz się roześmiać, by nie usłyszeć rechotu żaby?

Pewnego dnia spotkamy się znowu. Obie o tym wiemy. Spotkamy się na Próbach.

- Jestem na tyle sprytna, by wiedzieć, jak ci się udaje nie myśleć o różowych nosorożcach, kiedy ktoś o nich mówi - powiedziała.

- To jest bardzo potężna magia, prawda? - zapytała babcia Weatherwax.

- Nie. Wcale. Po prostu nie wiesz, jak wyglądają różowe nosorożce, to wszystko.

Słońce wyjrzało zza chmur, kiedy stara czarownica wybuchnęła jasnym perlism śmiechem.

- Masz rację!



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

KAPELUSZ PELEN NIEBA

Był to jeden z tych dziwnych dni pod koniec lutego, kiedy jest nieco cieplej, niż powinno być i choć wieje wiatr, to raczej gdzieś rozwiewa chmury, a tam, gdzie stoisz, panuje spokój.

Akwila wdrapała się na wzgórze, gdzie w zaciszu stwarzanym przez wyższe szczyty jagnięta odkrywały, że mają nogi, i grupkami brykały, wyglądając niczym wełniste konie wyścigowe.

Coś takiego było w tym dniu, że nawet stare owce baraszkowały wraz z jagniętami, na wpół szczęśliwe, na wpół zakłopotane. Ich długie po zimie futro falowało niczym spodnie u klauna.

To była bardzo interesująca zima. Akwila nauczyła się mnóstwa rzeczy. Jedną z nich było to, że można zostać druhną na ślubie ludzi, których suma lat przekracza 170. Tym razem pan Gniewniak, z zsuwającą się z głowy peruką i w rzucających błyski okularach, uparł się, by podarować jedną ze złotych monet „naszej małej pomocnicy”, co stanowiło więcej niż wszystkie zapłaty, o które się w życiu nie upomniwała czy na które pozwoliłaby sobie panna Libella. Spożytkowała je na kupno naprawdę porządnego brązowego płaszcza. Nie nadymał się ani nie unosił za nią w powietrzu, ale był ciepły i gruby, i chronił przed deszczem.

Nauczyła się też wielu innych rzeczy. Kiedy przechodziła koło owiec i jagniątek, dotykała leciutko ich umysłów, tak delikatnie, że tego nie zauważały...

Czas Strzeżenia Wiedźm, moment oficjalnego przejścia jednego roku w drugi, Akwila spędziła w górach. Pracy było dużo, a tego święta na Kredzie nie obchodzono zbyt hucznie. Za to panna Libella z radością dała jej wolne na Święto Owiec, które starzy ludzie nazywali Konkursami Piękności. Wtedy dla pasterzy zaczynał się nowy rok. Wiedźma wzgórz nie mogła być nieobecna. W tym czasie na ciepłych posłaniach ze słomy, ochraniających przed wiatrem przez płoty i snopki ozimego zboża, stawała się przyszłość. A Akwila pomagała jej,

pracując wraz z pasterzami przy szczególnie trudnych porodach. Pracowała w spiczastym kapeluszu na głowie i czuła, jak się jej przyglądają, kiedy nożem, igłą, nicią, dłońmi i łagodnymi słowami ratuje owce przed ciemnymi drzwiami, a młode jagniątko wyprowadza na światło. Trzeba zorganizować przedstawienie. Trzeba dać opowieść. A kiedy wracała nad ranem do domu z rękami po łokcie we krwi, czuła dumę, bo to była krew życia.

Potem wybrała się do kopca Figli, zsunęła się w dół. Wszystko dobrze wcześniej przemyślała i wybrała się przygotowana - miała ze sobą uprane porwane chusteczki i szampon przygotowany według receptury podanej jej przez pannę Libellę. Czuła, że Joannie może się to przydać. Panna Libella zawsze odwiedzała młode matki. To jest coś, co powinno się robić.

Joanna ucieszyła się na jej widok. Akwila położyła się na brzuchu tak, by częścią ciała znaleźć się w pokoju wodzy, która pozwoliła jej potrzymać wszystkie osiem Rozbójniczków, jak nazywała je w myślach. Narodziły się w tym samym czasie co owce. Siedmioro wrzeszczało i bez przerwy walczyło między sobą. Ósme leżało spokojnie, czekając cierpliwie na swój czas. Nadchodziła przyszłość.

Teraz nie tylko Joanna myślała o niej inaczej. Wieści rozchodziły się szybko. Ludzie na Kredzie nie przepadali za czarownicami. Bo one zawsze przybywały z zewnątrz. Zjawiały się jako obce. A teraz mieli swoją Akwilę, przyjmującą na świat owce tak samo, jak to robiła jej babcia. Mówili, że w górach się nauczyła, jak być wiedźmą. No tak, ale to przecież nadal nasza Akwila. Co prawda nosi spiczasty kapelusz z gwiazdami, ale też robi dobry ser, zna się na owcach i jest wnuczką babci Dokuczliwej, no nie? I kiwali głowami znacząco. Wnuczka babci Dokuczliwej. Pamiętacie, co ona potrafiła zrobić? Więc jeśli ma być wiedźmą, niech to będzie nasza wiedźma. Która zna się na owcach, a ta się zna. A wiecie co, słyszałem, że miały tam w górach wielki konkurs dla czarownic i nasza Akwila pokazała im, co potrafi dziewczynka z Kredy. To są już nowe czasy! Mamy teraz własną wiedźmę, i to najlepszą ze wszystkich! I nikt nie będzie wrzucał wnuczki babci Dokuczliwej do stawu!

Następnego dnia miała znów wracać w góry. Trzy tygodnie minęły jak z bicia trzasnął, i nie tylko z powodu jagniąt. Roland zaprosił ją do zamku na herbatę. Było im nieco niezręcznie, ale aż dziw było patrzeć, jak przez te parę lat zmienił się z ociężałego prostaka w speszonego młodzieńca, który zapominał, o czym mówił, za każdym razem, kiedy się do niego uśmiechnęła. No i w zamku mieli książki!

Nieśmiało podarował jej „Słownik zadziwiająco niezwykłych słów”, a ona była na tyle przewidująca, że przyniosła mu nóż myśliwski, dzieło Zygzaka, który w ostrzach był równie wielkim mistrzem, jak kiepski w magii. Temat kapelusza omijali bardzo starannie.

Kiedy wróciła do domu, znalazła w słowniku w sekcji D słowo podkreślone lekko ołówkiem: „Dyg - rodzaj tradycyjnego krótkiego ukłonu, ze zgięciem nogi. Dziś praktycznie w zaniku”. Choć była sama w sypialni, spłonęła rumieńcem. To zawsze zaskakujące, gdy uświadamiamy sobie, że podczas gdy my przyglądamy się innym i myślimy o nich, mając się za mądrzejszych i rozumniejszych, oni też przyglądają się nam i myślą o nas.

Zapisała to w swoim pamiętniku, który był teraz dużo grubszy, pomiędzy kartkami suszyły się różne zioła, powkładane też były dodatkowe zapiski i notatki na karteczkach. Został nadeptnięty przez krowę, trafił go piorun i wpadł do herbaty. I nie miał już oka. Oko pewnego dnia wyskoczyło z okładki. Teraz to był prawdziwy pamiętnik wiedźmy.

Akwila zarzuciła noszenie kapelusza w obejściu, bo ciągle zaczepiała nim o futryny i o mało co nie zniszczyła go o niski sufit w sypialni. Ale dzisiaj szła w kapeluszu, a wiatr usiłował zdmuchnąć go z jej głowy.

Dotarła do miejsca, gdzie cztery zardzewiałe koła zagłębiły się już do połowy w ziemię. Brzuchaty piecyk wystawał nieco ponad trawę i stanowił teraz wygodne siedzisko.

Wokół panowała cisza, cisza pełna życia, gdy owce brykają z jagniętami i świat się obraca.

Dlaczego się odchodzi? Aby powrócić. Aby ujrzeć miejsce, z którego się wyruszyło, nowymi oczami i w nowych barwach. A także po to, by ludzie spojrzeli na ciebie inaczej. Powrót do miejsca, z którego się zaczęło, nie jest tym samym co nie ruszanie się z niego nigdy.

Takie myśli przebiegały Akwili przez głowę, gdy przyglądała się owcom. Poczuła, że przepełnia ją szczęście. Szczęście ma się tak do radości jak morze do bajora. Uczucie, które ma się w sobie, ale które z trudem da się tam pomieścić. Wydobywa się w postaci śmiechu.

- Wróciłam! - oświadczyła wzgórzom. - Lepsza niż wcześniej.

Ściągnęła z głowy kapelusz w gwiazdki. To nie był zły kapelusz, choć przez te gwiazdki wyglądał trochę jak zabawka. Ale to nigdy nie był jej kapelusz. I nie mógłby być. Jedyne kapelusz wart noszenia to taki, który robi się własnoręcznie dla siebie, nie kupiony ani nawet nie otrzymany w prezencie. Twój własny kapelusz na twoją własną głowę. Twoja własna przyszłość, nie czyjaś inna.

Podrzuciła gwiazdny kapelusz jak najwyżej, wiatr pochwycił go zręcznie. Przez chwilę zdawało się, że kapelusz spadnie, ale zaraz z kolejnym podmuchem, wirując i obracając się, poleciał nad wzgórzami gdzieś hen.

Wtedy Akwila zrobiła kapelusz z nieba. Usiadła na brzuchatym piecyku i przysłuchiwała się wiatrom. Słońce dążyło ku zachodowi.

Gdy cienie bardzo się już wydłużyły, z pobliskiego kopca wysypały się małe postacie, które podbiegły do niej, by wspólnie siedzieć w tym uświęconym miejscu, siedzieć i patrzeć.

Słońce zaszło, co jest magią dnia codziennego, i przyszła ciepła noc.

Kapelusz wypełnił się gwiazdami...

OD AUTORA

Doktryna Podpisu, o której wspominam na stronie 62, naprawdę istnieje, choć dzisiaj bardziej jest znana historykom nauki niż lekarzom. Ale przez całe wieki ludzie wierzyli, że Bóg, którego dziełem jest oczywiście wszystko, co nas otacza, „podpisał” każdą z rzeczy, która jest, by pokazać ludziom, do czego można jej użyć. Na przykład rumianek jest żółty, więc MUSI być dobry na żółtaczkę, przy której skóra robi się żółta. Ten tok rozumowania bywał niekiedy bardziej skomplikowany i nawet zdarzało się, że pacjent przeżył.

Zadziwiający przypadek sprawił, że Koń wycięty w Kredzie jest znacząco podobny do Białego Konia z miejscowości Uffington w naszym świecie w południowo - zachodnim Oxfordshire. Ma on 374 stopy długości, liczy sobie kilka tysięcy lat i jest wycięty w skale w taki sposób, że da się go obejrzeć jedynie z powietrza. Co sugeruje, że a) albo został wycięty, by oglądali go bogowie, b) albo łatanie wynaleziono dużo wcześniej, niż nam się to wydaje, c) kiedyś ludzie byli dużo, ale to dużo wyżsi.

Aha, w naszym świecie też organizowano próby dla czarownic. Były zazwyczaj finałem polowania na czarownice. I nie miały nic wspólnego z zabawą.

SPIS RZECZY

Wstęp.....	2
Rozdział pierwszy Odejście	6
Rozdział drugi Dwiekoszule i dwa nosy	27
Rozdział trzeci Tylko jeden umysł.....	40
Rozdział czwarty PIn.....	61
Rozdział piąty Krąg.....	81
Rozdział szósty Współzycz.....	94
Rozdział siódmy Sprawa Briana	110
Rozdział ósmy Tajemniczy ład	129
Rozdział dziewiąty Dusza i kwintesencja	148
Rozdział dziesiąty Późny kwiat.....	161
Rozdział jedenasty Artur	178
Rozdział dwunasty Antaba	195
Rozdział trzynasty Próby Czarownic	203
Rozdział czternasty Królowa pszczoł	210
Rozdział piętnasty Kapelusz pełen nieba	218
Od autora	222